

Laureat Nagrody Bookera
Autor światowego bestsellera *Ścieżki Północy*

RICHARD FLANAGAN

PRAGNIENIE



PIĘKNIE SKOMPONOWANA
„THE TIMES LITERARY SUPPLEMENT”

RICHARD FLANAGAN

PRAGNIENIE

Przełożył
Maciej Świerkocki

Wydawnictwo Literackie

Spis treści

Karta redakcyjna Dedykacja Motto Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział
4 Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11
Rozdział 12 Rozdział 13 Przypisy

Tytuł oryginału: WANTING Opieka redakcyjna: PAWEŁ CIEMNIEWSKI
Redakcja: KAMIL BOGUSIEWICZ Korekta: ANETA TKACZYK Projekt
okładki: ROBERT KLEEMANN Zdjęcia wykorzystane na pierwszej stronie
okładki:

© Ingetje Tadros / The Image Bank / Getty Images

Dirk Ercken / shutterstock.com Redakcja techniczna: ROBERT GĘBUŚ Skład
i łamanie: Infomarket Copyright © 2008, Richard Flanagan

All rights reserved

© Copyright for the Polish translation by Maciej Świerkocki

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Literackie, 2017 Wydanie
pierwsze ISBN 978-83-08-05933-3 Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o.

ul. Długa 1, 31-147 Kraków

tel. (+48 12) 619 27 70

fax. (+48 12) 430 00 96

bezpłatna linia telefoniczna: 800 42 10 40

e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl

Księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl Konwersja: eLitera s.c.

Kevinowi Perkinsowi

Otóż, proszę państwa, rozsądek to dobra rzecz, to bezsporne, ale rozsądek to tylko rozsądek i zaspokaja jedynie potrzebę rozumowania w człowieku, chcenie natomiast jest przejawem pełni życia...^[1]

FIODOR DOSTOJEWSKI

...czego nie ma, tego nie można liczyć^[2]

KSIĘGA KOHELETA

Wojna skończyła się, tak jak czasem kończą się wojny: nieoczekiwanie. Pewien człowiek, który nikogo za bardzo nie obchodził, nieco nadęty mały prezbiteriański stolarz i kaznodzieja, najpierw w towarzystwie oswojonych czarnych i bez broni przebył wielkie, dziewicze pustkowiec wyspy, a potem powrócił z całą hałastrą tubylców. Nazywano ich dzikimi czarnymi, chociaż z całą pewnością nie charakteryzowała ich dzikość, raczej świerzb, nędza i gruźlica. Byli oni, jak oświadczył kaznodzieja, niedobitkami – teraz wydawało się to niezwykle – budzących kiedyś lęk plemion Ziemi Van Diemena, które tak długo toczyły nieustępliwą i straszną wojnę z białymi.

Ci, którzy widzieli tych dzikich, mówili, że trudno uwierzyć, by taka nieliczna i żalosna zgraja mogła tak długo opierać się imperialnej potędze, że udało im się przetrwać bezlitosną eksterminację, że mogli budzić taki strach i przerażenie. Nie wiadomo, co powiedział kaznodzieja tym czarnym ani co oni sądzili, że z nimi robi, sprawiali jednak wrażenie uległych, chociaż smutnych, kiedy jedną po drugiej przygnębioną grupę zaokrętowywano na kolejne statki i wywożono na odległą wyspę, leżącą gdzieś między Ziemią Van Diemena i kontynentem australijskim, które dzieliło rozciągające się na setki mil morze. Tutaj prezbiterianin przyjął oficjalny tytuł Protektora i pensję w wysokości pięciuset funtów rocznie, objął dowództwo nad niewielkim garnizonem żołnierzy oraz katechetą i zajął się podnoszeniem swoich ciemnoskórych podwładnych do poziomu angielskiej cywilizacji.

Odnosił na tym polu pewne sukcesy, a chociaż były niewielkie, dążył do nich z całą stanowczością. Czyż oni nie byli ich godni? Czy jego lud nie znał Pana Boga i Pana Jezusa, skoro ochoczo i żywo odpowiadał na pytania katechety i entuzjastycznie śpiewał kościelne hymny? Czy ci dzicy nie chodzili chętnie co tydzień na targowisko, gdzie wymieniali skóry i naszyjniki z muszli na paciorki, tytoń i tym podobne rzeczy? Owszem, niemal codziennie umierał któryś z jego czarnych bliźnich, poza tym należało jednak przyznać, że życie w osadzie było pod każdym względem zadowalające.

Zdarzały się jednak rzeczy doprawdy dziwne. Chociaż kaznodzieja odzwyczajał czarnych od tubylczej diety, na którą składały się jagody, rośliny, skorupiaki i zwierzyna łowna, karmił ich natomiast mąką, cukrem i herbatą, dzicy dawniej byli bez porównania zdrowsi. Im chętniej korzystali z angielskich koców i ciężkich ubrań, rezygnując ze swojej sprośnej nagości, tym częściej kasłali, pluli i umierali, im częściej zaś umierali, tym bardziej chcieli zrzucić z siebie angielskie ubrania, przestać jeść angielskie pożywienie i wynieść się z angielskich domów, które, jak mówili, zamieszkiwał diabeł. Pragnęli powrócić do przyjemności

polowania w dzień i palenia otwartego ognia w nocy.

Był rok 1839. Po raz pierwszy sfotografowano wówczas człowieka, Abd al-Kadir ogłosił dżihad przeciwko Francuzom, a Charles Dickens zyskał jeszcze większą sławę niż dotąd za sprawą powieści *Oliver Twist*. To nie do pojęcia, pomyślał Protektor, zamykając rejestr po sporządzeniu kolejnego raportu z sekcji zwłok i powracając do przygotowania notatek na wykład o pneumatyce.

Otrzymaawszy wiadomość o śmierci dziecka, przyniesioną przez służbę, który przybiegł z domu Charlesa Dickensa, John Forster nie wahał się – wahanie było oznaką słabości charakteru, a jego charakter na słabość mu nie pozwalał. Korpulentny i pod każdym względem ociężały – w swoich opiniach, wrażliwości, moralności i jako rozmówca – Forster miał twarz jak pysk mastyfa i wydatne brzuszysko, a dla Dickensa był niczym grawitacja dla baloniarza. Pisarz nie potrafił się powstrzymać, by nie małpować Johna za jego plecami, chociaż bardzo lubił swojego nieoficjalnego asystenta, na którym polegał w każdej sytuacji, powierzając mu najróżniejsze zadania i zasięgając u niego rad.

Niesłychanie dumny, że ktoś tak na nim polega, Forster postanowił poczekać, aż Dickens wygłosi swoje przemówienie. Chociaż bezustannie argumentował, że ostatnie wydarzenia zwalniają autora *Olivera Twista* z obowiązku wystąpienia przed członkami General Theatrical Fund, Dickens upierał się, że jednak tam pojedzie, mimo że nawet jeszcze tego dnia Forster odwiedził go w Devonshire Terrace, aby ostatni raz spróbować odwieść przyjaciela od wzięcia udziału w spotkaniu.

– Ale już obiecałem... – powiedział Dickens, którego Forster zastał w ogrodzie bawiącego się z młodszymi dziećmi. Trzymał w ramionach swojego dziewiątego potomka, małą Dorę, i podniósł ją nad głowę, uśmiechając się do córeczki i sapiąc przez zęby, dziewczynka zaś machała rączkami w górę i w dół zawzięcie i uroczyście jak pułkowy doboisz. – Nie, nie. Nie mógłbym nas tak zawieść.

Forster się naburmuszył, ale nic nie odpowiedział. Nas! Wiedział, że Dickens czasami myśli o sobie raczej jako o aktorze niż pisarzu. Był to nonsens, Charles jednak po prostu taki już był. Uwielbiał teatr. Uwielbiał wszystko, co miało jakiś związek z tym wymyślonym światem, w którym można było ściągnąć księżyc na ziemię jednym skinieniem palca, i Forster dobrze wiedział, że jego przyjaciel odczuwa także dziwną solidarność z zespołem aktorów dających przedstawienia dobroczynne, przed którym miał dzisiaj wystąpić. Ten jego pociąg do komediantów, mających gorszą reputację niż pisarze, trochę niepokoił, a jednocześnie frapował Forstera.

– Dobrze wygląda, nie sądzisz? – powiedział Dickens, przenosząc małą na wysokość swojej piersi. – Miała dziś lekką gorączkę, prawda, córeczko? – Pocałował dziewczynkę w czoło. – Ale wydaje mi się, że już wraca do zdrowia.

Forster pomyślał, że przemówienie Dickensa – wygłaszane zaledwie kilka godzin po tej rozmowie – idzie po prostu wspaniale. Publiczność stawiała się tłumnie, słuchała uważnie, a Dickens, kiedy już zaczął, mówił genialnie

i wzruszająco, jak zwykle.

– W naszej fundacji – zwracał się do sali pełnej aktorów – nie znamy takiego słowa jak „ekskluzywizm”. Wykorzystujemy każdego artystę, każdego Hamleta i każdego Benedykta, ducha, bandytę albo aktora samotnie grającego całą królewską armię. Aby odegrać przed nami swoje role, aktorzy przychodzą do nas z pewnego innego teatru, w którym ludzie chorują, cierpią, o tak, a nawet umierają. Mimo to...

Zabrzmiały niepewne brawa, które urwały się prawie w tej samej chwili, kiedy się zaczęły, ponieważ słuchacze prawdopodobnie uznali, że byłoby w złym guście zwracać uwagę na fakt, że mówca występuje zaledwie dwa tygodnie po śmierci swojego ojca. Staruszek, jak powiedział Dickens Forsterowi, umarł w kałuży krwi, po nieudanej operacji wycięcia woreczka żółciowego, niczym zwierzę w rzeźni.

– ...mimo to – ciągnął Dickens – jakże często musimy zadawać gwałt uczuciom i skrywać nasze serca, aby kontynuować życiową batalię i dzielnie spełniać powinności oraz obowiązki.

Po skończonym przemówieniu Forster odciągnął Dickensa na bok.

– Obawiam się... – zaczął. – Jednym słowem... – Chociaż zawsze używał zbyt wielu słów, miał teraz świadomość, że właśnie to jedno słowo nie chce mu przejść przez gardło.

– Tak? – spytał Dickens, przypatrując się komuś albo czemuś ponad ramieniem Forstera, a potem znów spojrział na niego roziskrzonym wzrokiem. – Tak, mój drogi Mamucie?

Swoboda, z jaką użył tego przezwiska, założenie, że wszystko to tylko żarty, oraz przyjemność, jaką czerpał ze swojej udanej przemowy, w niczym nie ułatwiały zadania biednemu Forsterowi.

– Mała Dora... – powiedział asystent Dickensa. Jego wargi zadrżały, kiedy spróbował skończyć zdanie.

– Dora?

– Jest mi bardzo... – wymamrotał Forster, który pragnął w tym momencie powiedzieć bardzo wiele różnych rzeczy, nie potrafił jednak wydusić z siebie nic więcej. – Jest mi bardzo, naprawdę bardzo przykro, Charles – dodał pospiesznie, żałując każdego słowa, chcąc przekazać pisarzowi coś o wiele lepszego, i najpierw podniósł ramię, aby typowym dla siebie gestem podkreślić jakiś argument, którego wcale nie użył, a potem je opuścił, aż zwisło wzdłuż jego wielkiego tułowia, sprawiającego wrażenie rozdętego i bezużytecznego. – Dostała konwulsji – powiedział w końcu.

Na twarzy Dickensa nie było widać ani śladu emocji i Forster pomyślał, jakim wspaniałym człowiekiem jest jego przyjaciel.

– Kiedy?

– Przed trzema godzinami. Zaraz po naszym wyjściu.

Był rok 1851. Wielka Wystawa w Londynie świętowała zwycięstwo rozumu w szklanym pawilonie, który pisarz Douglas Jerrold drwiąco nazwał Pałacem Kryształowym, w Nowym Jorku ukazała się przyjęta bez entuzjazmu powieść o poszukiwaniu słynnego białego wieloryba, a w żelaznoszarym porcie Stromness na Orkadach lady Jane Franklin pożegnała odpływającą w biel drugą z wielu, jak miało się później okazać, nieudanych ekspedycji, wyruszającą na poszukiwanie legendy, którą był niegdyś jej mąż.

Przez kangurzą trawę, niemal równie wysoką jak ona, biegła ile sił w płucach miała dziewczynka. Bardzo lubiła uczucie, które dawały jej miękkie nitki cienkich źdźbeł, delikatnie jak piórka przenoszące na jej łydki kropelki wody, i uwielbiała biegać boso po ziemi, mokrej i błotnistej zimą, latem natomiast suchej i piaszczystej. Miała siedem lat, ziemia wciąż była więc nowa i nadzwyczajna w płynących z niej przyjemnościach, nadal przenikała przez stopy dziewczynki do głowy i rwała się ku słońcu, i można było popaść w uniesienie w tym biegu, tak jak można było się przerazić z powodu, dla którego musiała teraz biec i nie mogła się zatrzymać. Znała opowieści o duchach, które potrafią latać, i była ciekawa, czy jeśli jeszcze przyspieszy, także zdoła pofrunąć i szybciej dotrzeć do celu. Potem przypomniała sobie, że tylko umarli fruwać, i odrzuciła myśli o lataniu.

Mijała w biegu chaty, w których mieszkali czarni, biegła wśród gdaczących kur i szczekających psów, minęła kaplicę i pędziła dalej, zboczem na wzgórze do najważniejszego budynku w Wybalenna. Pokonała trzy schodki i tak jak wielokrotnie jej pokazywano, wzorem białych uderzyła w drzwi zaciśniętą w pięść ręką.

Protektor podniósł wzrok znad notatek do wykładu o pneumatyce i zobaczył, że do domu wchodzi mała aborygeńska dziewczynka. Była boso, miała na sobie brudny fartuszek i wełnianą czapeczkę z czerwonej wełny, a w prawej dziurce jej nosa jak żywe stworzenie suwał się tam i z powrotem smark, przypominający wosk topiącej się świecy. Aborygenka podniosła wzrok na sufit i powiodła spojrzeniem po ścianach, po chwili jednak wbiła wzrok w podłogę.

– Tak? – zapytał Protektor. Irytującym zwyczajem swojego ludu spoglądała wszędzie, tylko nie w jego oczy. Prawdziwe imię dziewczynki, które sam nadał jej na chrzcie, brzmiało Leda, ale z jakiegoś powodu wszyscy oprócz niego nazywali ją tubylczym imieniem. Zirytował się, stwierdziwszy, że teraz on też się tak do niej zwraca. – Tak, Mathinno?

Spojrzała na swoje stopy, podrapała się pod pachą, ale nie odpowiedziała ani słowa.

– No, co się stało? Co jest, dziecko?

Nagle zdawszy sobie sprawę, po co tu przyszła, Mathinna rzuciła: „Rowra”, używając miejscowej nazwy diabła, powtórzyła ją szybko, jak gdyby leciała ku niej w powietrzu niczym dzida: – Rowra... – i wreszcie krzyknęła: – Rowra!

Protektor zeskoczył ze stołka, chwycił składany nóż z otwartej szuflady i wypadł na zewnątrz, poprzedzany przez Mathinnę. Pobiegli w kierunku szeregu połączonych ze sobą ceglanych tarasów, zbudowanych dla krajowców, by przyzwyczaić ich do angielskich domostw i zniechęcić do budowy własnych

prymitywnych osłon wiatrowych. Protektorowi, który nim został zbawicielem, był cieślą, zawsze sprawiało przyjemność, że widok dwóch szeregów tych czynszówek do złudzenia przypomina domy na jakiejś nowej ulicy wielkiego nowoczesnego miasta, jak Manchester – jeżeli nie patrzeć na leżącą dalej białą plażę, usianą czerwonymi kamieniami i porośniętą skórzastymi wodorostami, oraz na ciągnący się dalej dziwny poskręcany las, czyli jeśli zapomnieć o tej nieszczęsnej dzikiej wyspie na krańcu świata, gdzie mieszkali, i widzieć wyłącznie europejskie zabudowania.

Kiedy zbliżali się do domu numer siedemnaście, Mathinna przystanąła na chwilę, zapatrzyła się na niebo nad głową i zrobiła taką minę, jak gdyby sparaliżowało ją niemające żadnego uzasadnienia przerażenie. Protektor miał już przebiec obok niej, gdy zobaczył znak, którego tubylcy obawiali się najbardziej: ptaka kradnącego ludzkie dusze, czyli czarnego łabędzia opadającego ku ceglany tarasom.

Jeszcze zanim wszedł do środka, osaczył go silny fetor tłuszczu burzyków, niemytych ciał i niemej, nienazwanej obawy, że ów gnilny zapach zawsze i wszędzie towarzyszy jego czynom i poglądom. Czasami przychodziło mu do głowy, że ludzie, których tak kochał, prowadził ku Bożej światłości oraz bronił przed grabieżą i wyzyskiem ze strony najokrutniejszych białych osadników, polujących na tubylców i strzelających do nich z taką samą radością i beztróską, z jaką polowali na kangury, z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu umierają przez niego. Wiedział, że jest to irracjonalna myśl. Perwersyjna, niemożliwa. Wiedział, że wynika ze zmęczenia, nie mógł jednak nic poradzić na to, że ciągle powracała. Często miewał wtedy migreny, dotkliwe bóle głowy nad czołem, tak okropne, że musiał kłaść się do łóżka.

Przeprowadzając sekcje zwłok, przyglądał się rozciętym przełykom zmarłych, wybebeszonym jamom brzuszny, zaropiałym jelitom i skurczonym płucem w poszukiwaniu dowodów swojej winy albo niewinności, ale nie udawało mu się nic znaleźć. Jako pokutę próbował przyjąć smród całych szklanek ropy, która czasami wydawała mu się jedyną siłą życiową w nieszczęsnych bebechach Aborygenów. Starał się zrozumieć ich cierpienie jak swoje, a dzień, w którym wymiotował na widok jasnej, grubej na cal pleśni, porastającej niczym wole krater wrzodu biegnącego od pachy Czarnego Ajaksa niemal do jego uda, próbował uznać za coś w rodzaju koniecznego wyrównania rachunków w swojej duchowej księdze buchalteryjnej. Rzygowiny nie były jednak żadnym wyrównaniem rachunków i w głębi duszy Protektor obawiał się, że nie jest ono możliwe. W głębi serca bał się, że mimo wszystko to on stał się przyczyną okrutnych cierpień i makabrycznej śmierci tubylców.

Robił wszystko, co mógł, żeby ich ratować – Bóg wiedział, że nie był w stanie uczynić nic więcej. Jak najstaranniej kroił więc wszystkie trupy, by

znaleźć przyczynę zgonów, wstawał w środku nocy, żeby stawiać chorym bańki, przystawiać im pijawki, przylepiać wezykatorie i puszczać krew, co właśnie zamierzał zrobić ojcu Mathinny.

Otworzył nóż, zwilżył palec wskazujący i kciuk i przesunął nimi wzdłuż ostrza, żeby oczyścić je z zakrzepłej krwi, będącej wszystkim, co pozostało z Rzężącego Toma. Naciął nadgarstek dygoczącego mężczyzny starannie, zgodnie z nauką medyczną, płytko, w miejscu, w którym można było puścić jak najwięcej krwi, wyrządzając pacjentowi jak najmniejszą krzywdę.

Kiedy co wieczór przed położeniem się spać robił przy świecy zapiski w swoim dzienniku, poszukiwał odpowiednich słów, tak jak wcześniej w życiu szukał odpowiedniego drewna, które następnie odpowiednio wyginał. Szukał słów długich, aby niczym desek podłogowych można było ich użyć do zamaskowania jakiegoś niewytłumaczalnego, choć wstydliwego błędu. Słowa jednak tylko intensyfikowały ciemność, którą widział – zakrywały ją, lecz nie mogły jej wyjaśnić. W takich chwilach uciekał się do modlitwy, hymnów, znajomych wzorców, krzepiących rytmów. Czasami te święte słowa trzymały wszystkie jego lęki na dystans, a on rozumiał, za co jest wdzięczny Bogu, choć także, dlaczego się Go boi.

Krew trysnęła niczym niewielki gejzer, trafiła Protektora w oko, po czym spłynęła mu po twarzy. Odsunął nóż, cofnął się, przetarł oko i spojrział w dół. Wycieńczony tubylec pojękiwał już tylko od czasu do czasu. Protektor podziwiał jego stoicyzm: znosił krwawienie jak biały.

Tym tubylcem był Król Romeo, niegdyś pełen życia, życzliwy białym mężczyzna, który wskoczył do rzeki Fury i uratował jego, Protektora, kiedy ten stracił równowagę, usiłując przejść na drugi brzeg wśród wzbierających wód. Teraz jednak w tej nieszczęsnej, zapadniętej, okolonej cienkimi włosami twarzy i w nienaturalnie dużych oczach Protektor nie widział nic z człowieka, którym Romeo był dawniej.

Pozwolił krwi wypływać przez dobrą minutę, zbierając ją najlepiej, jak potrafił, do sporej miski. Krajowiec jęczał z cicha. Protektor wiedział, że czarne kobiety, siedzące półkolem na podłodze wokół jego łóżka, są wyraźnie poruszone, bo wszystkie wydawały podobnie brzmiące, gardłowe dźwięki.

Gdy przewiązywał ranę Króla Romea, by powstrzymać upływ krwi, wyczuł nieuchronność śmierci i daremność swojej kuracji, a wtedy ogarnęła go panika. Zdał sobie sprawę, że Romeo ciężko oddycha, że upust krwi był bez sensu, że chce zrobić krzywdę temu czarnemu za to, że jest nieuleczalnie chory, za wszystkich nieuleczalnie chorych Aborygenów, za to, że nie pozwolili mu się wyleczyć, ucywilizować, skorzystać z szansy, której nikt inny nie miał najmniejszej ochoty tym ludziom ofiarować.

Mrucząc coś o konieczności wyrównania sił pneumatycznych wewnątrz i na

zewnątrz – by z jednej strony dodać sobie otuchy, z drugiej zaś jak zwykle zapewnić publiczność, że za jego działaniami stoi trafne połączenie racjonalnej nauki z chrześcijańskim współczuciem – Protektor mocno chwycił drugą rękę Romea. Tubylec krzyknął z bólu, tym razem bowiem biały raczej go dźgnął, niż naciął mu żyłę w przegubie.

Pozwolił krwi płynąć, aż skóra pacjenta zrobiła się lepka, a on odzyskał spokój. Potem opatrzył ranę i podał pełną po brzegi miskę jednej z kobiet, pokazując gestem, żeby opróżniła ją przed domem.

Wyprostował się, skłonił głowę i zaczął śpiewać:

– Prowadź mnie, światło, swą błogą opieką, światło odwieczne!

Głos miał drżący i przenikliwy. Przełknął ślinę, po czym ciągnął dalej niższym, głośniejszym i bardziej zdecydowanym barytonem:

– Noc mroczna, dom mój daleko, ty mię prowadź.

Wydawało się, że czarne kobiety dołączają do niego – co prawda, fałszując – po chwili jednak Protektor zdał sobie sprawę, że Aborygenki po prostu kontynuują swoje żałobne zawodzenia na melodię hymnu.

– Przebacz mi tamte lata! – śpiewał, teraz już jak mógł najgłośniej, chociaż czasami sam nie potrafił sobie wybaczyć przeszłości. Urwał w pół zdania, ale kobiety nie zamilkły. Wyprostował podwinięte rękawy, odwrócił się i ze zdumieniem stwierdził, że Mathinna przygląda mu się uważnie, jak gdyby wierząc, że Protektor ma magiczną moc, i starając się zrozumieć, na czym ona polega, choć zaczynała chyba wątpić w jego możliwości. Zaniepokojony, zaczął szukać nowego toku słów, aby ukoić nerwy.

– Układ oddechowy Króla Romea odzyska równowagę – zaczął Protektor. – A potem zdrowie... bo krew...

Mathinna popatrzyła na swoje bose stopy i przez chwilę patrzył też na nie Protektor; następnie, odczuwając graniczącą z niewytłumaczalnym wstydem konsternację, podniósł wzrok, odwrócił się i wyszedł z chaty na przynoszące mu ulgę zimne, morskie powietrze.

Odczuwał gniew, który wprowadził go jednak w zakłopotanie. To, co zrobił, było zadaniem lekarza, ten jednak przed miesiącem też umarł nędzną śmiercią, a mimo że zapowiedziano już następcę medyka, do jego przybycia mogło upłynąć jeszcze wiele czasu. I chociaż był zły na starego doktora, że uległ dyzenterii, a także wściekły na gubernatora, że nie przysłał mu następcy szybciej, to odczuwał również dumę ze swoich umiejętności medycznych, umiejętności człowieka, który wiedział, jak się puszcza krew i stosuje wezykatorie, który umiał przygotować lewatywę, robić sekcję zwłok i pisać fachowe raporty – chociaż był przecież laikiem, cieślą, człowiekiem, który polegał wyłącznie na sobie, wszystko zawdzięczał wyłącznie swojej pracy i wszystkiego sam się nauczył: był chodzącym zwycięstwem nad samym sobą.

Po południu Protektor poświęcił czas, by zrobić coś, co uważał za wielce pożyteczne, a mianowicie przygotować plan nowego cmentarza, musiał bowiem jakoś sobie poradzić ze skutkami rosnącej śmiertelności w osadzie. Kiedy zbliżał się zmierzch, poszedł z tubylcami na stare miejsce pochówku i poprosił, by podali mu imiona tych, którzy zostali tam pogrzebani. Aborygeni najwyraźniej panicznie bali mu się je wyjawić, toteż Protektor, rozdrażniony taką niewdzięcznością, kazał im odejść.

Postanowił, że nowy cmentarz zostanie ukończony na nieuchronną wizytę gubernatora Ziemi Van Diemena, sir Johna Franklina, i jego małżonki, lady Jane, których spodziewano się zobaczyć tu za tydzień. Południowy wiatr przybierał na sile, więc dzięki sprzyjającej pogodzie gubernator mógł przybyć jeszcze wcześniej. Sir John był człowiekiem nauki, jednym z największych podróżników swoich czasów, autorem licznych projektów, jak badanie rozległych transylwańskich odludzi na zachodzie wyspy, zakładanie towarzystw naukowych albo zbieranie muszli i kwiatów dla królewskich Kew Gardens.

Tak, myślał Protektor, odmierzając krokami dokładne wymiary miejsca wiecznego spoczynku, budowa nowego cmentarza i podniesienie poziomu wykonania hymnów religijnych przez tubylców to rozsądne cele, które mógł osiągnąć przed wizytą królewskiego namiestnika. Zawsze był nade wszystko dumny ze swojego realizmu.

Wieczorem wygłosił wykład o pneumatyce przed publicznością złożoną z oficerów, ich rodzin i tubylców. Tekst wystąpienia w ostatecznej wersji liczył sto czterdzieści cztery strony. Protektorowi wydawało się, że z logicznego punktu widzenia dobrze przedstawił swoje stanowisko, od czasu do czasu posługując się jakimś przykładem praktycznym, jak choćby gdy podgrzał butelkę nad parującym czajnikiem, który zawiesił nad ogniem. Następnie przytknął ją do obranego ze skorupki ugotowanego jajka, które zostało powoli zassane do środka.

W tym momencie Troilus roześmiał się i powiedział głośno: „Butelka Wybalenna, jajko czarna człowiek”, wyciągając całkowicie błędny wniosek z eksperymentu.

Potem Protektor wypił kieliszek białego wina i jadł kanapki z szynką w towarzystwie oficerów, a żeby pokazać, że nie będzie tolerował żadnych różnic w traktowaniu białych i czarnych, poczęstował się też podaną tubylcom herbatą, którą, jak mu się wydawało, uwielbiali.

Rankiem Króla Romea znaleziono martwego. Prawdę mówiąc, jego śmierć nie przyszła nieoczekiwanie i nie było w niej nic niezwykłego, kiedy więc Protektor poszedł zbadać zwłoki, ogarnęło go zdumienie równie wielkie jak niegdyś litość. Kobieta, z którą Romeo związał się przed kilku laty po śmierci swojej żony, znajdowała się w normalnym dla tubylców stanie nieumiarkowanego roztrzęsienia. Zawodziła głośno jak szarpany przez szaleńca dzwon, a po jej twarzy

ściekały strużki krwi, bo własnoręcznie pocięła się potłuczoną butelką.

Córka Króla, jak się wydawało, miała jednak więcej chrześcijańskiego rozsądku, a jej pełna powagi rozpacz dawała Protektorowi pewną nadzieję na to, że jego dzieło jest mimo wszystko czymś więcej niż tylko przejawem kolosalnej próżności. Dziewczynka siedziała tak cicho, że zastanawiał się, czy przypadkiem nie jest bardziej podatna na wpływy cywilizacji, niż dotąd przypuszczał.

Ponieważ zajął się zwłokami Romea, spóźnił się do szkoły, której był dyrektorem, i to uchybienie punktualności ściągnęło na zmarłego jego gniew: w końcu najważniejszy jest dobry przykład. A jeśli on sam jako przykład będzie niedostateczny, to jak może się spodziewać, że tubylcy zmienią swoje zwyczaje?

Jego spóźnienie zostało odczytane przez zebranych jako sygnał rozluźnienia dyscypliny – rozmawiali dalej i śmiali się nawet wtedy, kiedy do nich mówił. Wściekł się i zamiast zacząć dzień od katechizmu, zwymyślał klasę. Czy kiedykolwiek ich oszukał? Czy nie zapewnił im dobrych, ciepłych i solidnych nowych ceglanych domów? Dobrych ubrań? Obfitości pożywienia? Co więcej, czy nie postanowił zreorganizować szeregów ich zmarłych i oznaczyć groby, żeby wiedzieli, kto gdzie jest pochowany?

Po lekkim lunchu, złożonym z kilku burzyków i chleba, poszedł do chaty, w której przeprowadzano zabiegi chirurgiczne i sekcje zwłok. Ciało Króla Romea spoczywało na długim sosnowym stole. Po pewnym czasie Protektor podsumował rezultaty swojej pracy w następujący sposób:

Zmarł z przyczyn naturalnych wskutek ogólnego wyniszczenia organizmu: płuco tak mocno przylegało do piersi, że trzeba było użyć siły, aby je oderwać; w klatce piersiowej znajdowała się znaczna ilość płynu; chore płuco, śledzionę, cewkę moczową i wyrostki wycięto, by przewieźć je do Hobarton, gdzie wymienione narządy zbada doktor Arthur: zmarły był interesującym człowiekiem.

Pod koniec autopsji Protektor wyjął z drewnianej skrzynki piłę do kości, którą trzymał tam dobrze naostrzoną tylko w tym jednym celu. Wybrał właśnie to narzędzie, bo jego hebanowa rączka była zaopatrzona w głębokie nacięcia, dzięki czemu mógł mocno trzymać piłę, nawet kiedy miał spoconą dłoń, i jak najstaranniej wykonać swoją pracę.

Już miał ją rozpocząć, gdy rozległo się pukanie do drzwi, a kiedy je otworzył, ujrzał tubylczą kobietę, Afrodytę, która zaczęła go błagać, by przyszedł do niej do domu: jej mąż, Troilus, właśnie dostał spazmów. Protektor przemawiał do niej najłagodniej, jak umiał. Wydawało mu się, że litościwie. Kazał jej wrócić do męża i zapowiedział, że niebawem przyjdzie, żeby się nim zająć. Zamknął drzwi. Wrócił do zwłok. Przyłożył ostrze piły równiutko do karku Romea.

Czy stał się Bogiem? Już nie był tego pewien. Tubylcy wciąż umierali. Otaczały go trupy, czaszki, raporty z sekcji zwłok, plany budowy kaplicy i cmentarza. Jego marzenia były pełne ich tańców i pieśni, piękna ich wiosek,

szmeru ich rzek, wspomnień ich czułości, a jednak wciąż umierali i nic, co robił, nie mogło tego zmienić. Ciągłe umierali i umierali, a on – który żył w starym świecie i nieustannie pracował, by udoskonalić nowy dzięki cywilizacji, chrześcijaństwu i angielskim zwyczajom – był ich Protektorem, Aborygeni jednak nadal odchodzili. Jeżeli jest bogiem, to jakim?

Ostrożnie przeciągnął ostrzem po skórze, aby wydrapać na niej czerwoną kreskę, wzdłuż której zacznie piłować. Następnie jak dobry rzemieślnik, którym był, dokończył dzieła długimi, mocnymi, odliczanymi kolejno pociągnięciami piły. Wystarczyło ich zaledwie sześć, aby odciąć Romeowi głowę. Protektor zirytował się, że choć pracował bardzo uważnie, ręce ma tłuste od krwi.

Powiadano, trzeba to przyznać, że jego talent słabnie. Lord Macaulay stwierdził, że najnowsza powieść Dickensa to niewiele więcej niż ponury socjalizm, fabuła jest nieprawdopodobna, a całość niszczą tandetne fragmenty o charakterze polemicznym. Nie czytała tej książki, gdyż nad rozrywkę przedkładała klasykę. A Dickens nie jest nieśmiertelny jak Thackeray.

Podnosząc na niego wzrok, kiedy się pochylała i brała do ręki czajnik z herbatą, lady Jane Franklin ujrzała niskiego człowieczka, który wydawał się jej znacznie bardziej sterany życiem, niż wskazywałyby na to jego średni wiek. Nadal niczym dandys nosił długie włosy, były one już jednak przerzedzone i posiwiałe, a okalały wymizerowaną, pobrużdżoną twarz. Myślała, że może prawdziwy problem nie polega na tym, czy książki go przeżyją, lecz na tym, ile czasu Dickens będzie żył i czy dłużej niż one. Tymczasem wciąż był jednak najpopularniejszym pisarzem w kraju. Dopóki żył, jego opinia mogła mieć wpływ nawet na rządy suwerennych państw. I dopóki oddychał, był najlepszym sojusznikiem, na jakiego lady Jane mogła mieć nadzieję.

– Jeszcze herbaty? – spytała.

Przyjął poczęstunek z uśmiechem. Nie zwracała uwagi na podsuwające jej spodeczek i filiżankę grube palce – które pasowały bardziej, jak jej się wydawało, do robotnika niż powieściopisarza – tak jak nie zwracała uwagi na jego przesadnie kolorowy strój, nadmiar biżuterii oraz sposób, w jaki wydawał się pożerać ją wzrokiem, tak jak pożarł makowiec, czyli w łapczywym pośpiechu, po którym pozostał mu na ustach osad żółtych okruchów i czarnych ziarenek. Przypominał kurczącego się kraba pustelnika wyglądającego ze swojej barwnej muszli. Wszystko to może wydawałoby się jej niemiłe, gdyby ten człowiek nie był tym, kim był. Nie mogła o tym zapominać.

– Mleka, panie Dickens?

I tak tego zimowego wieczoru w Londynie opowiedziała mu swoją historię, jasną i ostrą jak nóż, bo powtarzała ją już niezliczoną ilość razy, historię takiej ekspedycji, takiego przedsięwzięcia, którego nikt poza wielkimi Anglikami nie mógłby choćby brać pod uwagę. Jej mąż chciał podążyć tam, gdzie nie stanął jeszcze żaden człowiek, i na krańcu świata odkryć szlak, o którym ludzkość od wieków jedynie marzyła: legendarne Przejście Północno-Zachodnie przez lody Arktyki.

Dickens wprawdzie sporo o tym wiedział – bo kto nie? – słuchał jednak cierpliwie. Lady Jane opowiadała o dwóch wspaniałych statkach, „Terrorze” i „Erebusie”, które powróciły z legendarnego rejsu na Antarktydę i były wyposażone w najnowsze cuda techniki: silniki parowe, wysuwane i wciągane

śruby napędowe, miedziane osłony kadłubów, ogrzewanie parowe, nawet napędzane parą organy, samodzielnie wygrywające popularne melodie. Dzięki niezwykle nowemu wynalazkowi statki wzięły też na pokład obfite zapasy żywności przechowywanej w tysiącach blaszanych puszek. I lady Jane udało się podać wszystkie te szczegóły na temat wyprawy – najkosztowniejszej i najniezwyklejszej w dziejach Royal Navy – w sposób fascynujący, wręcz przykuwający uwagę.

Najdłużej rozwodziła się jednak nad formatem oficerów i załóg, w których skład wchodził najwspanialszy z Anglików, w tym nadzwyczajny weteran wypraw na biegun południowy, kapitan Crozier, a także dowódca ekspedycji, mąż lady Jane, sir John Franklin: mówiła o jego nieugiętym charakterze, łagodnej, lecz niezłomnej woli, o jego niebywałych zdolnościach przywódczych, o niezwykle i bohaterskim wkładzie w badania Arktyki, jak również o tym, że ucieleśnia wszystkie największe cnoty angielskiej cywilizacji. Lecz odkąd dziewięć lat temu wypłynął w podróż do północnego koła podbiegunowego, zaginął wszelki śluch o nim oraz o stu dwudziestu dziewięciu członkach jego załogi.

– Czy zatem można się dziwić, że ta zagadka poruszyła wyobraźnię całego cywilizowanego świata? – spytała lady Jane, starając się nie dać rozproszyć Dickensowi, który ssał swój język i cmokał w dziwnym skupieniu. – Bo jak to jest możliwe, żeby tak wielu wspaniałych ludzi już tak dawno zniknęło z powierzchni ziemi bez żadnego śladu?

Słuchając lady Jane, Dickens miał wizję, od której potem nie mógł się opędzić, wizję, która była dla niego jednocześnie talizmanem, tajemnicą, wyjaśnieniem i magnesem – zobaczył skutą lodem statek, pochylony pod nienaturalnym kątem, wyniesiony bokiem w górę przez lód. Za przekrzywionymi masztami wznosiły się olbrzymie białe ściany. Widział blask księżyca na niekończącym się śniegu i słyszał smutne jęki umierających ludzi, odbijające się echem w nieskończonej, białej, smaganej wiatrem przestrzeni. Poddając się dziwnej mocy tej halucynacji, odniósł niezwykle wrażenie, że rozpoznaje siebie w tej krze i w padającym śniegu, jak gdyby sam był nieskończonym, zamrożonym światem czekającym na niemożliwe odkupienie.

– Taka duchowa wielkość, jaką odznacza się sir John, zdarza się raz na sto lat – powiedział, starając się uwolnić od tych okropnych widziadeł. – Magellanowie, Kolumbowie, Franklinowie: oni nie zniknęli ani z powierzchni ziemi, ani z naszej historii.

Lady Jane Franklin miała rozległe znajomości, nieświeży oddech i budziła lęk w niejednym kręgu towarzyskim. Trudno było zliczyć jej triumfy. Podobno odznaczała się zniewalającym urokiem, chociaż patrząc na nią tego ranka, Dickens nie za bardzo go dostrzegał. Zamiast żałobnej, wdowiej czerni miała na sobie suknię w kolorze zielono-fioletowym, na szyi zaś błyszczący wisior,

przedstawiający sir Johna z profilu, w bieli wedgwoodowskiej porcelany; dziwny dodatek, pomyślał Dickens. Jak gdyby sir John stał się już z całą pewnością człowiekiem lodu.

– Była poobwieszana jak choinka, bardziej niż damę Królestwa Brytyjskiego przypominała stację sygnałową – powiedział później swojemu przyjacielowi Wilkiemu Collinsowi – która przekazywała lordom admiralicji i paniom z towarzystwa tylko jedną jedyną informację: „Mój mąż nie zginął!”. Czy to wariactwo, czy wierność, żeby aż tak się obnosić z lojalnością małżeńską?

A przecież nikt nie wydawał się odporny na jej sygnały – jak Dickens mógłby temu zaprzeczyć? Mówiła, że jest w osobistym kontakcie z największymi osobistościami, nie tylko w Anglii, ale na całym świecie. Wszyscy, od cara Moskali po amerykańskich milionerów kolejowych, wysyłali wyprawy ratunkowe po sir Johna, lecz każda z nich wracała z niczym.

Mimo to lady Jane podtrzymywała swoją stanowczą miłość i nie chciała przyjąć do wiadomości, że zagadka, o której mówi, jest tragedią. Nic nie wynosiło tej kobiety wyżej w oczach angielskiego społeczeństwa niż jej niechęć do pogrążenia się w rozpacz. I chociaż jej mąż wyjechał przed dziewięciu laty – z wielkimi, mającymi wystarczyć na trzy lata zapasami żywności i prawie z równie wielką pompą – to angielska opinia publiczna, jak dobrze wiedział pisarz, z rozkoszą witająca każdą sensację, przyznawała jej słusność. No a angielska opinia publiczna była pewna, że nie ma absolutnie żadnego powodu, by sądzić, iż sir John, wielki Anglik, podróżujący w gronie najtęższych przedstawicieli swojego narodu, jakich kiedykolwiek wybrano na podobną wyprawę, nie jest w stanie przetrwać tam, gdzie dają sobie radę nawet dzikusy.

– A teraz jeszcze to – głosem, który nagle zabrzmiał jak arktyczny lód, dodała lady Jane, biorąc ze stolika złożoną gazetę i podając ją Dickensowi. – Jestem pewna, że już pan to czytał.

Nie czytał. Ale oczywiście słyszał o sprawie. Gazetą, po którą sięgnęła lady Jane, była „The Illustrated London News”, a jeden z zamieszczonych tam artykułów został gęsto podkreślony na zielono. Zawierał opowieść znanego badacza Arktyki, doktora Johna Rae’a, dotyczącą niezwykłych i okropnych odkryć, jakich dokonał w najodleglejszych zakątkach polarnego świata. Straszne wieści rozeszły się po Londynie, zdumiały Europę i wprawiły imperium w oszołomienie.

Na podstawie relacji doktora Rae’a, kontynuowała lady Jane, a także biorąc pod uwagę trudniejsze do obalenia poszlaki w postaci różnych drobiazgów, które podróżnik przywiózł ze swojej wyprawy, jak zepsute zegarki, kompas, lunety, skalpele chirurgiczne, Order Zasługi, kilka srebrnych widelców i łyżek z herbem Franklinów, a także srebrny talerzyk z wygrawerowanym napisem „Sir John Franklin, kawaler Orderu Gwelfów”, można było wysnuć straszliwy wniosek, że wszyscy członkowie ekspedycji zginęli śmiercią tragiczną. Musiała przyznać, że

istnieje taka ewentualność. Nie zaprzeczała jej, bo dopóki nie pojawią się niezbite dowody, wciąż była to tylko ewentualność.

Jako stary dziennikarski wyga Dickens uważał gazety za coraz lichszą odmianę literatury. Przejrzał pobieżnie początkowe partie tekstu. Była w nich mowa o tym, jak po wielu przygodach doktor Rae spotkał Eskimosów, którzy najwyraźniej znaleźli różne drobiazgi pozostałe po wyprawie Franklina. Następnie autor, który przeprowadził wiele szczegółowych rozmów z tymi Eskimosami, zbudował swoją mrozącą krew w żyłach historię. Wzrok Dickensa zatrzymał się na jednym fragmencie, zaznaczonym z boku długą, falistą zieloną kreską. Jedynie ten fragment przeczytał jak należy.

– Tylko że to – powiedziała wreszcie lady Jane – nie jest już zwyczajnym przypuszczeniem. To nie do zniesienia.

Tekst brzmiał zdumiewająco.

– „Sądząc po okaleczeniach, widocznych na wielu zwłokach, i po zawartości kociołków – czytał Dickens po raz drugi, podziwiając wspaniałe detale tych naczyń – staje się oczywiste, że nasi nieszczęśni rodacy zostali zmuszeni do skorzystania z ostatecznego i przerażającego sposobu, aby ratować życie: do kanibalizmu”.

– To kłamstwo – powiedziała lady Jane. – Bzdura. A jej sensacyjny charakter uwłacza pamięci największych przedstawicieli narodu angielskiego.

Oddając jej gazetę, Dickens uważnie przyjrzał się twarzy damy.

– Jeśli mój mąż zginął, to tylko ja zostałam, aby ratować jego cześć przed podobnymi pomówieniami. Jeżeli natomiast żyje, to jak będę mogła prosić wielkich ludzi albo opinię publiczną o dalszą pomoc, żeby go znaleźć, skoro zwyciężą poglądy doktora Rae’a?

Dopiero teraz Dickens pojął, że jedynym celem lady Jane jest zapewnić sobie jego poparcie w potępieniu doktora Rae’a i doniesień z wyprawy. Lady Jane chciała, by pisarz położył kres straszliwym plotkom o tym, że sir John zjadł swoich towarzyszy. No cóż, pomyślał, w dalszym ciągu słuchając jej z powagą, musiał przecież coś jeść, żeby zachować tę swoją potężną posturę.

– Rozumie pan problem, jaki się rodzi w tym miejscu, panie Dickens?

– Jak najbardziej, lady Jane.

I rzeczywiście rozumiał. Ta sławna kobieta chciała jego pomocy. Był synem człowieka skazanego na więzienie za długi i wiedział, czym jest wstyd, chociaż on sam, niegdyś pracownik fabryki pasty do butów, gręplarz i urzędnik sądowy, miał w życiu szczęście. Dzięki sobie stał się kimś, ba, znakomitością, i tutaj, w każdym słowie lady Jane, miał na to niezaprzeczone dowody: oto wspaniała dama chce od niego czegoś, czym najwyraźniej nie dysponują nawet możni tego świata. On, syn dłużnika, teraz ma się stać kredytodawcą.

– Czy takiemu świadectwu można ufać? – zapytała.

– A czy sprytnego szczura można nazwać wiarygodnym świadkiem?

– No właśnie – odpowiedziała lady Jane, przez chwilę oszołomiona. – W tym rzecz. – Urwała, zatopiona w jakiejś odległej, nieuchwytej myśli, a potem odezwała się znowu w taki sposób, jak gdyby recytowała coś, czego nie bez bólu nauczyła się dawno temu na pamięć: – Szczury, jak wiadomo, rzeczywiście są sprytne – wycedziła – nie sądzimy jednak, że taki spryt oznacza posiadanie cech ludzkich albo zdolność budowy cywilizacji. Szczury robią to czy tamto, dopóki są nagradzane, potrafią jednak dopuścić się najgorszej zdrady, jeśli...

Poddała się jakimś nieoczekiwanie głębokim emocjom, które przez chwilę kazały jej się jękać. Mylnie sądząc, że przemawia przez nią rozpacz po stracie męża, Dickens poczuł się wzruszony czymś, co ewidentnie było uczuciem bardziej autentycznym niż te, które okazywała do tej pory. W malowanym przez nią triumfalnym obrazie małżonka widział coś niesamowitego, a nawet idiotycznego. Z jednej strony gardził takimi bzdurami, z drugiej jednak chciał w nich uczestniczyć, załatać ziejące w nich dziury, wzmocnić i wyszlifować tę nieprawdopodobną historię angielskiej wspaniałości i dobroci.

– Zrobiłam, co... – zaczęła, ale wydało się jej, że ktoś czy coś szarpie ją za spódnice. Odwróciła się, sądząc, że zobaczy dziewczynkę w czerwonej sukience, nikogo jednak nie zauważyła. Przyjaciółka napisała jej przed kilku laty, co stało się z Mathinną.

Lady Jane pragnęła wstać, uciec; chciała, żeby ktoś, ktokolwiek, oczyścił ją z grzechów i ukoił. Chciała, aby ktoś ją przygarnął. Chciała poczuć, że ktoś ją szarpie za suknię. Widziała, jak na czerwonej sukience tańczą papugi, oposy, węże. W młodości pragnęła, by ludzie uważali, że jest słodka. Ale nie dało się tego o niej powiedzieć. Wiele się nauczyła. Pamiętała łagodność tych ciemnych oczu, bose stopy; widok, który kiedyś tak ją denerwował, a w tej chwili wzruszał.

„Dobroć może najwyżej niejako wpaść w słowo przeznaczeniu tych ludzi – zakończyła jej korespondentka – lecz nigdy go nie zmieni”.

Jestem taka samotna, pomyślała. Te bose czarne stopy. Spaliła tamten list, a potem zrobiła coś niezwykłego – jak na nią. Rozpłakała się.

Podniosła wzrok. Głowie lady Jane udało się uspokoić nieobliczalne serce, które kiedyś, dawno temu, przysporzyło jej tylu kłopotów. Bała się, że wielki powieściopisarz może uznać, że jest podstarzała i niegodziwa, chciała jednak, aby jej słowa współbrzmiały ze zdrowym rozsądkiem.

– Znam takich ludzi – powiedziała w końcu dziwnie twardym głosem. – Nie Eskimosów, ale podobnych dzikusów. Krajowców z Ziemi Van Diemena...

– Kanibali? – przerwał jej Dickens.

Lady Jane przypomniała sobie dzień, kiedy ostatni raz widziała to obdarte dziecko, samotne na błotnistym, nędznym podwórku. Chwycił ją ból, jak gdyby w straszliwym odwiecie, który rozumiała tylko mgliście, jak gdyby był zemstą,

zdolną ją pochłonąć całkowicie, jak lód pochłoniął jej męża. Zmusiła się raz jeszcze do uśmiechu.

– Pani mąż... – powiedział Dickens. – Nie jestem w stanie nawet sobie wyobrazić pani okropnego...

– Nie... – powiedziała. – Nie żeby nie... – Urwała. Wydawało się jej, że czuje zapach wilgotnego piaskowca. – Trudno jest... – ciągnęła, ale co właściwie chciała powiedzieć? Mimo wszystko nie przerwała, starając się wykroić wiarę i pewność ze słów, które dodawały jej otuchy. – Nie można wyciągać żadnych wniosków co do charakteru takiej czy innej rasy dzikusów na podstawie tego, w jaki sposób ulegają białemu człowiekowi, kiedy ten jest silny.

– Muszę powiedzieć – rzekł z uśmiechem Dickens – że ani trochę nie wierzę w szlachetnego dzikusa.

– Oczywiście słyszy się o takich rzeczach, nawet wśród białych. Ostatecznie na Ziemi Van Diemena zdarzały się przypadki zbiegłych skazańców, którzy aby ratować życie, uciekali się do nikczemnych praktyk ludożerczych. Byli to jednak ludzie pozbawieni uczuć religijnych, stokroć gorsi od nawet najbardziej barbarzyńskich pogan, odwrócili się bowiem od religii. Widzi pan, panie Dickens, dystans pomiędzy dziczą i cywilizacją jest...

Ale czy nie mówiła już kiedyś czegoś podobnego? Coś było nie w porządku – z jej rozumowaniem, pamięcią albo niegdysiejszym zachowaniem. Zrobiło się jej niezwyczajnie słabo, poczuła się zagubiona, lecz w tym momencie Dickens przyszedł jej z pomocą.

– Ów dystans, szanowna pani, zależy od tego, na ile odchodzimy od pożądanego rozumowi. – Nie zamierzał jej mówić, że całe jego życie było próbą zapanowania nad namiętnościami. Że właśnie to kazało mu tu usiąść z nią tego dnia.

– Nie w pełni zgadzam się z ludźmi, którzy uważają, że jest to kwestia nauki – powiedziała lady Jane. – To raczej sprawa ducha.

Wstała i podeszła do gabloty, z której wyjęła drewniane pudełko. Postawiła je na mahoniowym gerydonie, stojącym między nią i Dickensem, po czym podniosła wieczko. W środku, na miękkim czerwonym filcu, leżało kilka złożonych listów i żółknąca czaszka.

– To król dzikusów z Ziemi Van Diemena, panie Dickens. Pokazywałam ten czerep kilku profesorom i uczonym frenologom. Chciałam ich sprawdzić, więc nie mówiłam, kto to. Jedni znajdowali w kształcie czaszki tego człowieka ewidentne cechy degeneracji, inni szlachetności. Miał prawdopodobnie jedno i drugie.

– Skazaniec, Eskimos, dzikus, wszyscy oni są zniewoleni nie przez otaczającą ich mózgi puszkę kostną – stwierdził Dickens, wyciągając rękę i zamykając pudełko – lecz przez swe namiętności. – Uniósł rękę w szerokim geście, jak wtedy, kiedy przemawiał publicznie. – Natomiast taki człowiek jak sir

John jest od nich wolny dzięki swojemu ucywilizowanemu i chrześcijańskiemu duchowi.

– Właśnie – powiedziała lady Jane.

– Co do szlachetnego dzikusa, to nazywam go ogromnym utrapieniem i nie dbam o to, jak on nazywa mnie. Wszystko mi jedno, czy gotuje w kotle swojego brata, czy się przebiera za fokę. Może ulegać takim namiętnościom, jakim chce, lecz właśnie z tego powodu jest dzikusiem, krwiożerczym, dzikim zwierzęciem, którego główną rozrywką są opowieści w najlepszym wypadku nonsensowne, w najgorszym zaś kłamliwe.

– Mówi pan „kłamliwe”, panie Dickens?

– Otóż to, lady Jane. Straszne, żalosne, obrzydliwe, małpie kłamstwa. Mamy tu oto przedstawicieli rasy złodziejskich, morderczych kanibali, którzy twierdzą, że najlepsi synowie Anglii zmienili się w złodziejskich i morderczych ludożerców. Cóż za niezwykły zbieg okoliczności!

– Dysponowali dowodami, panie Dickens – powiedziała lady Jane.

– Morderczy złodzieje wytwarzają miażdżące dowody morderczego złodziejstwa, a co my robimy? – spytał Dickens, biorąc do ręki „The Illustrated London News”. Wymachiwał gazetą niczym parlamentarzysta ustawą obarczoną wadami prawnymi, a jego zwycięski uśmiech był doskonale wystudowany. – Upubliczniamy opowieść o ich niewinności, ot co!

Później, kiedy na pożegnanie przyszło mu ucałować jej pokrytą plamami wątrobowymi dłoń, lady Jane spytała, czy jest w jego mocy zakwestionować taką wersję wydarzeń.

– Wiem tylko tyle, że wspieram pani wersję – odparł pogodnie.

Lecz kiedy drzwi domu lady Jane zamknęły się za nim i stanął twarzą w twarz z poranną szarówką, grube płatki sadzy zawirowały wokół niego niczym czarny śnieg i świat nie wydawał się pogodny. Odjechał z Pall Mall powozem przez błoto i łajno zalegające tak gęsto, tak głęboko, że zarówno psy, jak i konie wydawały się z nich ulepione. Ludzie rozpływali się w brudnej mgle i wyłaniali z niej niczym potwory z bagien, jak widma, owijając twarze paskudnymi łachami, aby ustrzec się miazmatów cholery, która zaledwie przed miesiącem zabrała sześćset osób. Londyn wydawał się cały składać ze smrodu i czerni: czerni w powietrzu, w oczach Dickensa, a nawet w jego duszy, błagającej, aby odzyskać biel, gdy wracał już do domu, do rodziny.

Oczywiście tamtego ranka 1854 roku rodzina była już wszystkim – i mamy tu na myśli zarówno rodziny podobne, jak i niepodobne do siebie, szczęśliwe i nieszczęśliwe – pojęcie rodziny wjechało bowiem niczym parowóz do wszystkich klas społecznych, na wszystkie przedmieścia i do wszystkich hrabstw, niespodziewanie, lecz niezaprzeczalnie. Wszyscy musieli należeć do rodziny i wysławiać ją, od młodej królowej wraz ze swoim małżonkiem po

najbiedniejszego robotnika fabrycznego. Jak w przypadku każdej koniunktury, dzięki rodzinie można było skorzystać z dobrych okazji, i tak jak pojawili się spekulanci kolejowi, powstałi również spekulanci rodzinni. Niewielu z nich zaryzykowało tak odważnie i zgarnęło takie duże zyski jak lady Jane, przykładna, oddana małżonka, albo jak Dickens, pierwszy piewca podstawowej komórki społecznej. Pisarz jednak z czasem przekonał się, że jej wysławianie to jedno, ale praktykowanie życia rodzinnego to całkiem inna sprawa.

Ponieważ za często padało, a jego za często ogarniał ponury nastrój, ponieważ czuł, że krok w krok chodzi za nim coś, co za bardzo przypomina niepowodzenie, ponieważ chciał światła i musiał wiedzieć, czy nadal we wszystkim, co robi, posuwa się do przodu, ponieważ było mu zimno, a chłód jeszcze narastał, zaproponował tego wieczoru swojej żonie, Catherine, by w przyszłym miesiącu pojechali do Włoch. Catherine jednak nie chciała: latorośle miały różne obowiązki, a poza tym jej stan zdrowia po urodzeniu dziesięciorga dzieci nie czynił planowanej podróży przyjemną perspektywą.

Potem, po pewnej – jego zdaniem niewinnej – uwadze na temat jej tuszy, uwadze będącej, jak powiedział, po prostu prawdą, Catherine raptownie wstała i wyszła. Według ich córki, Katy, która natychmiast wybiegła w ślad za matką, rozgniewana na niego, na nią i na ten cały nieszczęsny, żaloszny dom, na którego wspólne zamieszkiwanie byli skazani razem ze wszystkimi pozostałymi dziećmi, domownikami, psami i ptakami, Catherine położyła się do łóżka.

Do łóżka! – pomyślał Dickens, odwracając się od Katy. Zawsze, za każdym razem, po każdej sprzeczce kładła się do łóżka, gdzie znowu stawała się wzdychającym kopczykiem, złożonym z puchowej kołdry, kaprawych oczu i stłumionych łkań. Ostatnio czynił jej wymówki, spierał się z nią, przeproszał, a potem ośmielił się dotknąć jej czoła, policzków, warg, ale Catherine odsunęła się od niego jak ukąszona przez wściekłego psa. Tym razem nic nie zrobił. Rozważywszy różne możliwości, zrozumiał, że nie ma wyjścia, że w jakiś sposób coś między nimi pękło i nie naprawi tego żadne słowo ani czyn.

Wiedział, że ta sytuacja sprawia ból wszystkim w domu, który wydawał się rodzić wyłącznie kłótnie – między synem i córką, między starszymi i młodszymi domownikami, między guwernantką i służbą – albowiem cały dom był niszczonej przez jakiegoś niegodziwego ducha i nawet meble żywiły jakby jakąś urazę do ścian. Wydawało się, że nie ma końca nieszczęściu, lecz wbrew wszystkiemu życie po prostu toczyło się dalej. Jednak tego wieczoru, zamiast kłócić się z żoną, Dickens z przerażeniem zdał sobie sprawę, że brakowało mu zapалу nawet do tego, by kontynuować spór z małżonką.

Zamiast do niej pójść, włożył płaszcz. Dawno temu uciekł sam przed sobą w Catherine, teraz jednak uciekał przed nią w głąb siebie. Wtedy potrzebował jej i wwiercił się w nią, by bronić się przed tym wszystkim, co mu chodziło po głowie,

przed wszystkim, co na razie utrzymywał na dystans dzięki temu, że ciągle był czymś zajęty. Ludzie mówili, że zdecydował się wżenić w rodzinę z wyższej klasy społecznej – ale żaden cynik nigdy nie jest do końca cyniczny, a Dickens kochał Catherine. Teraz jednak już sama jej obecność sprawiała mu niewymowne męczarnie. Wolał iść pieszo do Lands End i z powrotem, niż spędzić z nią noc w łóżku.

Nie potrafił znieść jej przygnębienia ani apatyczności. Nie umiał jej wybaczyć tego, że wycofała się ze swoich świętych obowiązków żony i matki w letarg, który zdawał się pogłębiać po każdym połogu – będącym przecież chyba powodem do radości, a nie melancholii? – i że z każdym dniem tyła i robiła się coraz nudniejsza. Dlaczego uciekała się do drobnych przykrości życia domowego – do kostycznej uwagi na stronie, do wymuszonego uścisku, do raptownego, straszego spojrzenia, pełnego mądrej pogardy – i dlaczego on odpowiadał jej małostkowością, wściekłością i nieobecnością? Im gorzej było między nimi, tym mniej z tego rozumiał, a im bardziej Catherine wycofywała się w siebie i im bardziej mu ustępowała, pisarz nabierał tym większego przekonania, że to wszystko jej wina. Czy jest na tym świecie dwoje mniej odpowiednich dla siebie ludzi niż oni?

Jego poglądy zmieniały się niczym „Erebus” i „Terror”, rzucone na burtę przez lód; ich maszty kładły się ukośnymi kreskami na zmarzniętej głębinie, a wiatr intonował żałobną pieśń w usztafirowanym sopłami olinowaniu. I ten lód, zimno i zawodzący wiatr stały się nim, on zaś jednocześnie został w nich pogrzebany, bo czyż już od dwudziestu lat jego małżeństwo nie przypominało Przejścia Północno-Zachodniego, mitycznej, nieznanej, niemożliwej do odkrycia, skutej lodem cieśniny wiodącej ku miłości, zawsze ciągnącej się przed nim, ale niemożliwej do przebycia?

Postanowił więc wyjść i jak to często czynił ostatnimi czasy, spędzić noc na spacerze. Spacer był dla niego jak zawór bezpieczeństwa, a on jak maszyna parowa, gotowa bez niego wybuchnąć. Patrząc, myśląc, improwizując sceny, powtarzając monologi, dialogi i wymyślając fabuły, pokonywał wiele mil, coraz bardziej zagłębiał się w tajemniczy labirynt największego miasta świata. Przepelniały go stukot, rudery, krzyki i fetor, lecz spacerował dalej, a wstrętne brudy codzienności przewalały się w jego alchemicznej głowie, która zmieniała je w czyste złoto wedle swojej woli.

Kiedyś lubił patrzeć, naśladować i wspominać, łącząc wszystko w mieszankę równie wspaniałą i błotnistą jak ulice, po których teraz wędrował, wiedząc, że nic nie jest przypadkowe, a wszystko dzieje się z jakiegoś powodu. Dziś jednak cały świat wydawał mu się ponury.

Kiedy wybierał się na włóczęgę po teatrach i ulicach miasta z przyjacielem, mogli otwierać „małe muszelki” – jak Wilkie Collins nazywał kobiety pracujące

nocą – i chociaż to oraz wszystko, co miał, powinno mu było wystarczyć, to jednak, z jakiegoś powodu, którego nie potrafił ubrać w słowa, już mu nie wystarczało. Choć bardzo starał się stłumić tę niebezpieczną, niesforną myśl, pragnął czegoś więcej – nie umiał jednak powiedzieć czego.

Wydawało mu się, że na miejsce, które zamieszkiwał przez kilka krótkich lat w młodości, opada kurtyna: była to karnawałowa rzeczywistość z najjaśniejszą z aren, na której wiruje kurzawa; cyrkowy namiot, do którego pozwolono mu wejść jedynie na krótko i gdzie aranżerem mógł być jeszcze krócej, gdyż zaraz został wyrzucony z powrotem w czarną niczym smoła noc. Panikował, bał się, że zgaśnie światełko, którego nie umiał opisać, lecz które kiedyś rozjaśniało mu świat.

Wiedział, że w końcu będzie musiał wrócić do domu i chrapiącej Catherine. Zapadnie w dziwny, ciężki letarg, pulsujący rytmem jego kroków: będzie na poły czuwał, na poły spał, i będą go nawiedzać najdziwniejsze sny. Czy to za sprawą laudanum, które zażywał nocami coraz częściej, aby łatwiej zasnąć? Czy może po prostu życie tak się zmieniło? Potem z wolna poczuje się lepiej, gdy zaczną przemawiać do niego postaci z jego książek, on zaś zrozumie, czym oprócz powietrza pragną wszystkie oddychać.

Po kilku krótkich godzinach snu budził się przed świtem przy akompaniamencie turkotu wyładowanych towarami wozów jadących na targ, a hałas na ulicy za oknem jego sypialni rychło przynosił mu ukojenie. Życie jakimś cudem się nie zatrzymało. Kiedy powoli odzyskiwał zmysły, ponownie odczuwał niesłychaną ulgę na myśl, że nawet w krótkim czasie, kiedy spał, ten cudowny świat nadal się kręcił, a on razem z nim.

– To nie jej wina – usłyszał głos Katy za swoimi plecami, gdy poszedł otworzyć drzwi frontowe.

Wyrwany z zadumy, odwrócił się i spojrzał na nią. Piętnastolatka, ciemnowłosa piękność, popędliwa i prędką jak on. Kochał wszystkie swoje dzieci, ale rozumiał się jedynie z Katy. Nikt inny nie śmiał z nim rozmawiać w taki sposób jak ona.

– Że Dora umarła. Była jeszcze niemowlęciem. Mamusia zrobiła wszystko, co było w jej mocy.

– Oczywiście – odpowiedział najłagodniej, jak potrafił. – Oczywiście, że to nie jest wina twojej matki.

– Szanowny panie, w jego piersi płonie nieśmiertelny płomień geniuszu – mówił Wilkie Collins do Johna Forstera w Garrick Theatre, kiedy przybył niezauważony przez nich obu Dickens. Rozmawiali o skandalu dotyczącym pewnego znanego malarza i dwóch kobiet.

Wilkie Collins miał bardzo dużą, rozchwianą głowę, która wieńczyła wyjątkowo drobny tułów, a jego dziwny wygląd podkreślały jeszcze skronie, wypukła lewa i wklęsnięta prawa, dlatego widziany z jednej strony wyglądał

inaczej niż z drugiej, jak dwóch różnych ludzi. Jeśli nie liczyć zawartości słoików anatomicznych, był jedną z najdziwniejszych istot, jakie Forster kiedykolwiek widział. Nie podobało mu się, że autor *Wielkich nadziei* ostatnio najwyraźniej poczuł sympatię do tego dziwnego młodzieńca, który, jak uważał Mamut, odbierał mu pozycję totumfackiego Dickensa.

– Geniusz – ciągnął Wilkie – angielskiego...

– Mniejsza o jego geniusz, panie Collins – rzekł Forster. Słowo „geniusz” wymówił tak, jak gdyby oznaczało przewlekłą chorobę. – W tym kraju nie mamy geniusza, jeżeli nie towarzyszą mu szacunek i przyzwoitość. Dopiero wtedy... By nie kłaść na tę kwestię zbyt dużego nacisku... Jednym słowem, jeśli można tak powiedzieć... Dopiero wtedy bardzo się cieszymy, że go mamy... Naprawdę bardzo.

– Mój drogi Mamucie – odezwał się Dickens, który podszedł do nich z tyłu i położył rękę na wielkim ramieniu swojego asystenta, po czym usiadł na zielonej marokinowej sofie koło Wilkiego. – Jak to wspaniale widzieć obu moich przyjaciół razem. Wypijemy grzane sherry?

Forster jednak nie chciał sherry, tak jak nie chciał więcej mieć z tym wszystkim nic wspólnego, wymówił się więc pod pierwszym lepszym pretekstem, wstał i wyszedł. Dickens nie sprawiał wrażenia poruszonego nagłym wyjściem przyjaciela – jak się później wyraził, była to „część lodowatej ojcowizny Mamuta” – i zaczął opowiadać Wilkiemu o spotkaniu z lady Jane Franklin.

– Jeśli chodzi o podróże i kanibalizm, jestem mocny – powiedział na zakończenie.

– A jeśli chodzi o lód?

– Bardzo mocny – odparł Dickens, unosząc rękę, by dać znak kelnerowi. – Niczym niebieski gin. Czasami wydaje mi się, że sam jestem rozbitkiem w lodach Arktyki.

Układ nerwowy Collinsa był jeszcze w dobrym stanie. Wilkie miał dopiero stworzyć powieść kryminalną, zostać uznanym przez współczesnych za jednego z największych pisarzy swojej epoki, a potem, zapomniany, stracić zdrowie i zażywać w celach przeciwbólowych takie ilości opium, aż uwierzył, że ma sobowtóra, Widmowego Wilkiego. Świat stanowił dla niego obietnicę, która dopiero miała się roztrzaskać na fantomy, jego oczy dopiero miały się zmienić w krwawe wory, na razie zaś jego przyjacielem i mentorem był wielki Dickens. Spędzał z nim wakacje, oddawał się rozrywkom, a nawet pracował dla niego w prowadzonym przez pisarza piśmie „Household Words”. Życie dopiero miało go ukształtować, choć Wilkie nadal wierzył, że to on je kształtuje. Był młody, błyskotliwy i co ważniejsze, chętnie zgadzał się na wszelkie pomysły Dickensa. Jeśli więc pisarzowi przychodziło na myśl polowanie na „muszelki”, to Wilkie prowadził go do najlepszych salonów i domów, które warto było odwiedzić w tym

celu.

– Frykasy ze sławnych osobistości pod zwałami lodu, wielcy ludzie ginący szlachetną śmiercią... Naprawdę myślisz, że to historia dla ciebie?

– I kociołki – odparł Dickens. – Nie zapomnij o kociołkach.

– Ale zaledwie tydzień temu mówiłeś, że zamierzasz zacząć nową powieść i nie chcesz się obciążać żadną pracą pisarską, która mogłaby stać między tobą i tą nową książką.

– Ach, nigdy nie twierdziłem, że jestem konsekwentny. Poza tym, mój drogi Wilkie, czuję się zmęczony. Mało nie zwariowałem i nie popadłem w delirium, harując w takim pośpiechu nad *Ciężkimi czasami*.

– Dla „Household Words” to były dobre czasy – stwierdził Wilkie.

– A ja byłem kompletnie wykończony.

Wilkie wiedział, że czasopismo Dickensa, w którym jego powieści najpierw ukazywały się w odcinkach, a dopiero potem jako książki, było czymś więcej niż tylko głównym źródłem dochodu dla pisarza. Liczyło się też to, że tygodnik, jak wszystko, czego Dickens tknął, nie stał się po prostu zwyczajnym, lecz ogromnym sukcesem.

– W tej chwili nie dam sobie rady z powieścią – mówił pisarz – potrzebuję jednak jakiejś historii, żeby sprzedać numer bożonarodzeniowy. – Rozpromienił się, zobaczywszy zgarbioną, przypominającą żuka postać w przeciwległym kącie sali. – Ależ to Douglas Jerrold... On nam coś napisze.

Przywołany gestem Jerrold, którego jasne oczy wydawały się bardziej niebieskie niż zwykle pod wielkimi brwiami wiszącymi nad jego ostro zarysowaną twarzą niczym czujne ómy, okazał zachwyt na widok Dickensa, odmówił jednak sherry, twierdząc, że od kilku miesięcy marnie się czuje. Opowiedział natomiast krótką i zabawną anegdotkę o grzonym sherry i bracie Jane Austen, z którym służył w marynarce.

– Czytałem chyba kiedyś jakąś jej powieść – zamyślił się Dickens. – Kto jeszcze dzisiaj czyta książki tej autorki?

– Macaulay – odpowiedział Jerrold.

– Właśnie – stwierdził Dickens. – W przeciwieństwie do ciebie, Douglasie, Jane Austen nie rozumiała, że to, co pulsuje w nas mocno i szybko, powinno się zawierać w każdym zdaniu. Dlatego od swojej śmierci popada w coraz większe zapomnienie, zamiast zyskiwać na popularności... I dlatego naprawdę muszę cię namówić, żebyś napisał coś dla nas do świątecznego numeru.

– Zrobiłbym to, Charlie, gdybym tylko mógł. Ale pracuję nad nową sztuką i nie widzę żadnej możliwości, by zrobić coś dla ciebie przed nadejściem wiosny.

Po wyjściu Jerrolda Dickens bawił się swoją masywną obrączką ślubną, zsuwając ją z palca i kręcąc nią wokół paznokcia. Choć się do tego nie przyznał, niespodziewanie i nieuchwytnie odezwało się w nim jakieś echo spotkania z lady

Jane Franklin. Nie mógł go zagłuszyć. Wsunął obrączkę na miejsce.

– Wilkie, co byś powiedział na to, żebym napisał artykuł na temat raportu doktora Rae'a, podnosząc argumenty, które kwestionowałyby jego wiarygodność?

W domu, w Tavistock House, Dickens uważniej przejrzał „The Illustrated London News”. Londyński poranek był niemal tak ciemny jak noc, ale syki lamp gazowych uspokajał i usypiał pisarza czytającego relację doktora Rae'a. Po chwili z ulgą stwierdził, że podobnie działa na niego jej treść. Ten człowiek nie miał za grosz daru opowiadania.

Odłożył gazetę, przesunął brązową figurkę pojedynkujących się żab na środek biurka i zabrał się do pracy. Zaczął od szybkich, wymownych sztychów i zrobił małą dygresję, żeby zręcznie pochwalić doktora Rae'a, wykluczając w ten sposób możliwość uznania artykułu za atak osobisty.

Wtedy, dopiero wtedy, w sposób, w jaki robili to adwokaci, o których pracy pisywał za młodych lat, zaczął zgłaszać wątpliwości co do wszystkich szczegółów opowieści doktora, zaczynając od kompletnej niemożliwości wiernego przekładu eskimoskiego szwargotu, a kończąc na jak najbardziej realistycznym zastrzeżeniu, że niejasne gesty dzikich można interpretować na wiele różnych, wręcz przeciwstawnych sposobów. Zakwestionował też tezę, by uczestnicy wyprawy mogli zaszlachtować i ugotować któregoś ze swoich bliźnich. „Czy płomyczek lampy spirytusowej, którą zapewne dysponowali podróżnicy, wystarczyłby do tego celu?” – napisał.

Spojrzawszy życzliwiej na swój artykuł, siebie i życie, przerwał, ponownie przeczytał ostatnie zdanie, a potem podkreślił sformułowanie „zapewne dysponowali”. Argumentacja nabierała rumieńców i Dickens czuł, że słowa spływają w pędzie z jego gęsiego pióra, pozostawiając niebieskie jak lód ślady atramentu, prowadząc go wraz z czytelnikami do dziwnego i straszego świata.

Wrócił do nieuniknionej kwestii okaleczonych ciał. „Czyżby w okolicy nie było niedźwiedzi, które mogłyby rozharatać zwłoki, nie było wilków i lisów?”. Nie odpowiedział na to retoryczne pytanie – niechaj odpowie czytelnik, rzekł sobie w duchu, spiesząc się, żeby natychmiast zadać kolejny wymowny cios.

Czyż uczestnicy ekspedycji, pytał teraz z kolei, nie padliby ofiarą szkorbutu, skoro głodowali? I czy szkorbut ostatecznie nie odbiera ludziom apetytu, nie wspominając już o tym, że pozbawia ich sił? Gdy już przygotował i sprowokował czytelnika, podsuwając mu fałszywe tropy oraz kuszące możliwości, zatrzasnął pułapkę, ujawniając prawdę, która jego zdaniem prawie na pewno kryła się za tajemnicą wyprawy.

„A wreszcie żaden człowiek nie może zasadnie twierdzić, że nieszczęsne niedobitki wspaniałej drużyny Franklina nie wpadły w zasadzkę Eskimosów i nie zostały zamordowane właśnie przez nich”.

Urwał, bo jego uwagę na chwilę zaprzętnęła dziwna myśl.

„Sądźmy, że każda dzikuska jest w głębi duszy pożądliva, zdradziecka i okrutna”.

Zdawszy sobie sprawę z pomyłki, skreślił „każda dzikuska” i napisał wyżej „każdy dzikus”. Lecz czy to określenie nie było podsumowaniem jego szaleństwa sprzed lat? Owa dziwna myśl przybrała postać i nazwisko kobiety i Dickens wymamrotał dwa słowa:

– Maria Beadnell.

Ach, jak to nazwisko go drażniło, złościło, wprawiało we wściekłość, przypominało mu o jego nędznym pochodzeniu i niezliczonych upokorzeniach, których postanowił nie zaznać już nigdy więcej. Zanim stał się Charlesem Dickensem wspaniałym, dobroczyнным i cnotliwym geniuszem literackim, był Charlesem Dickensem w gorącej wodzie kąpanym, naiwnie szczerym i nierzadko głupim młodym kawalerem.

Maria Beadnell. W tamtych czasach przedstawił się jej ojcu, bankierowi, jako ktoś stojący niżej od niego. Później nigdy już nie popełnił podobnego błędu. Odpowiedzią Dickensa na hierarchiczność społeczną była jego osobista wyjątkowość. Odrzucił nawet zaproszenie od samej królowej. Teraz wchodził do socjety, kiedy mu się podobało, i to na swoich warunkach.

Maria Beadnell, jego pierwsza miłość, fałszywy impuls jego niegdyś niesforne serce. I te słowa, „niesforne serce”^[3], ciągle do niego wracały – jak ostrzeżenie, strach czy przerażenie wywołane odpowiedzią na pytanie, kim naprawdę może być. Widział je w snach, wypisane na ścianach nieznanomych domów, znajdował je nieproszone w swoim pisaniu.

Maria Beadnell i jej niegodziwa rodzina traktowali go niewiele lepiej niż trupa, którym można się bawić i żywić ku swojej uciechu. Jednak patrząc wstecz, dochodził do wniosku, że była to dla niego słuszna kara, albowiem poddał się swoim namiętnościom, zamiast trzymać je stanowczo pod kontrolą. Ostatecznie czy to właśnie nie opanowanie odróżniało Anglików od dzikusów?

Posunął się nawet do tego, że w jednej ze swoich powieści napisał: „Odpowiedz mi, niesforne serce!”. Nigdy jednak nie odpowiedziało. Dlatego skrzępował je i skuł łańcuchami, pogrzebał głęboko i tylko takie jego surowe zdyscyplinowanie pozwoliło mu osiągnąć sukces; dzięki temu nie runął w przepaść jak jego zadłużony ojciec czy bracia nicponie, i dzięki temu nie stał się dzikusiem, którym – czego się obawiał – mógłby być.

Zdecydowany pozbyć się tych obrzydliwych myśli, próbował wrócić do doktora Rae’a i kanibali, okazało się to jednak niemożliwe, teraz bowiem miał w głowie tylko jedną myśl, która miała tylko jedno imię. Albowiem po dwudziestu pięciu latach Maria Beadnell – nazywająca się dziś panią Winter – zamężna, jak przypuszczał, za jakimś możliwym przez nią do przyjęcia ponurakiem, napisała do niego i spotkał się z nią na obiedzie, dla komfortu obojga i aby nie uchybić

przyzwoitości, wydanym w domu jego przyjaciela.

Miłość – cóż nam po niej?

Patrzył na zwiędłe ciało Marii, na cienkie kreski warg i byczką szyję, rozpływającą się w zarysach piersi, pomarszczonych niczym stary lakier. Roztyła się i ciągle brakowało jej tchu, dyszała jak stary spaniel. Pisarz zwrócił się do pozostałych gości, po czym z uśmiechem i nie bez dwuznaczności powiedział:

– Pani Winter jest moją przyjaciółką z dzieciństwa.

Nudną pustotę Marii Beadnell brał kiedyś za tajemnicę. A teraz ona, której zdarzało się gardzić nim w młodości, flirtowała z nim, będąc już przecież w leciech – Charlie to, Charlie tamto. Jakie to wszystko ohydne! Jakże odpychający potrafią być ludzie! Gruba, nudna Maria Beadnell dosłownie ociekała flegmą, która bulgotała jej w gardle niczym lawa, gdy próbowała kokieteryjnie chichotać, Dickens potraktował ją więc chłodno i stracił dla niej całe swe dawne uczucie.

A kilka lat wcześniej nawet sportretował ją w powieści, w znacznej mierze autobiograficznej, w *Davidzie Copperfieldzie*, obsadzając Marię w roli kobiety, którą bohater poślubia: w roli Dory Spenlow. I kiedy tak siedział w swoim gabinecie owego mrocznego poranka, starając się uratować sir Johna, powróciło do niego jeszcze jedno gorzkie wspomnienie, które wydało mu się nie do zniesienia: to właśnie wtedy, gdy pisał tę wyidealizowaną opowieść o swoim życiu, o nieodwzajemnionej miłości, która została wreszcie odwzajemniona, i o przekształceniu świata w to, czym chciał, żeby był, urodziło się jego dziewiąte dziecko, on zaś nadał dziewczynce imię Dora.

Wydało mu się niezwykle dziwnym i niesamowitym zbiegiem okoliczności, że jego córeczka umarła zaledwie kilka miesięcy po tym, jak uśmiercił Dorę w książce. Ogarnęło go straszliwe przeczucie, że świat dostosował się do jego fantazji, chociaż wyłącznie po to, by z niego zadrwić w najokrutniejszy możliwy sposób.

Słyszał, że za drzwiami gabinetu po korytarzu biegają młodsze dzieci, piszcząc i obijając się o ściany. Wstał i zamknął drugie drzwi, które zamontował specjalnie w tym celu, aby odizolować się od tych hałasów, po czym wrócił do biurka. Odgłosy rodziny stały się dalekie i stłumione, pisarz jednak całkiem stracił wątek.

Odłożył pióro, podszedł do biblioteczki i przez kilka minut czegoś w niej szukał, przez cały czas zastanawiając się, dlaczego chciał być kiedyś z Marią Beadnell. Dziękował Bogu za to, że jej ojciec żywił uprzedzenia do niżej urodzonych. Miał żonę, kobiety ze swoich książek i nocne „muszelki”. To wystarczyło – musiało mu wystarczyć.

Jego wzrok błądził po półkach, aż wreszcie natrafił na *Journey to the Polar Sea* sir Johna Franklina. Dwukrotnie przejrzawszy tekst, znalazł te fragmenty, które

słabo pamiętał – jak się teraz przekonał, nadawały się do jego celów jeszcze lepiej, niż mógł się tego spodziewać. Bez względu na to, ile było prawdy w tej książce, Franklin sprawiał wrażenie nieskończenie lepszego pisarza niż poczciwy, biedny doktor Rae. Sir John Franklin, stwierdził Dickens, jest niewątpliwie równie wspaniałym wytworem pióra swojego autora jak Oliver Twist.

Było kilka passusów, w których sir John opowiadał o tym, jak w najbardziej krytycznym momencie słynnej wyprawy z 1819 roku jego kompletnie wycieńczeni z głodu towarzysze, chociaż zginęło już wtedy jedenastu z dwudziestu ludzi załogi, nie zeszli poniżej pewnego poziomu przyzwoitości. Zamiast rozważać myśl o kanibalizmie, sir John zjadł własne buty. Dickens poweselał. Oto prawdziwy Anglik. Niezlomne serce, duszone buty, przyzwoitość przyobleczona w zwyczaje kulinarne.

Czując, że atmosfera została już podgrzana, zaczął snuć swoją opowieść: pisał o tym, że kiedy pierwsza ekspedycja Franklina umierała z głodu, jego irokeski myśliwy, Michel, wpadł „na straszny pomysł, by żywić się ciałami maruderów” i najprawdopodobniej nawet zabił z tą myślą jednego czy dwóch członków wyprawy, a wtedy sir John Richardson cudownie strzelił owemu irokeskiemu diabłu w łeb. „Ku nieskończonej radości wszystkich pokoleń czytelników” – napisał Dickens.

Piéro ponownie poruszało się zgodnie z fantazją pisarza, a jego duch unosił się z jej życiodajnym przyływem. Oto, czego dokonał! Oto, kim jest! Żył, odnajdywał się i poznawał samego siebie tylko przez opowieści, i w akcie pisania czuł, że staje się częścią skazanej na zagładę wyprawy sir Johna oraz owego dziwnego, zmrożonego świata, kryjącego wszystkie ich tajemnice. Myślał o tym, że ludzie tak wielcy duchem zawsze do końca wytrzymają wszystko ze stoickim spokojem, podobnie jak on w małżeństwie. Sir John nie popełni błędu, na który skazany był ten Irokez, Michel, ze względu na swoje pochodzenie rasowe, na błąd namiętności, który popełnił kiedyś sam Dickens, ponieważ był jeszcze młody. Czyż nie pragnął wgryźć się w uda Marii Beadnell równie gorąco, jak Eskimosi chcieli się pożywić wielkopańskimi udzami starego sir Johna? Zdolność przewyciężenia swoich pragnień, odrzucenia i zmiżdżenia ich jest jednak oznaką mądrości i ucywilizowania. W przeciwnym wypadku człowiek nie jest w niczym lepszy niż ten Irokez albo jakiś Eskimos.

Sedno sprawy stawało się oczywiste. Słów dzikiego nie można brać za prawdę, bo dziki „jest kłamcą”. Poza tym było jasne, że ugotowane i rozczłonkowane trupy w świecie Eskimosów czy tamtego tatuującego się plemienia Indian dowodzą tylko jednego.

„Często widziano podobne ofiary składane ich barbarzyńskim, szerokoustym bogom o wybałuszonych ślepiach – napisał Dickens, czując, że przekonał w tej kwestii także samego siebie – wiadomo zatem, że takowe czynili”.

Był teraz podniecony, bo zbliżał się do końca; w jego uszach rozbrzmiewała muzyka. Nienawiść pisarza do dawno minionej niezdolności, aby wznieść się ponad swoje pragnienia, w jakiś sposób stała się tym samym co rozczarowanie, którym, jak uważał, przez całe życie były dla niego kobiety – matka, Maria Beadnell, żona, „muszelki” – i przez chwilę myślał o pozbawionym kobiecego towarzystwa sir Johnie z zazdrością.

„Szlachetna postawa i przykład tych ludzi, w tym także ich wielkiego dowódcy – napisał – o całe niebo przewyższa paplaninę garstki przedstawicieli obrzydliwego, niecywilizowanego plemienia, dla którego codziennością są krew i tran wielorybi”.

Zakończył na cichnącą nutę mszy żałobnej, czyli łagodną oracją na temat tego, dlaczego zmarli zasługują na to, żeby ich bronić i czcić; Bóg wie, że kiedy przyjdzie jego czas, zachowa się właśnie tak, by sobie na to zasłużyć. Spali swoje listy w ognisku, co zajmie mu prawie cały dzień. Stworzy prawdziwie dwoisty świat, dziwniejszy niż którakolwiek z jego powieści i bardziej skomplikowany niż jakakolwiek fabuła. Zobowiąże przyjaciół do zachowania tajemnicy. Zażąda, by sprawy poufne pozostały tajemnicą również za grobem.

I zapłaci olbrzymią, paraliżującą cenę za to, że w ostatecznym rozrachunku nie udało mu się zdyscyplinować swojego niesfornego serca. Ceną tą miała stać się jego dusza.

Protektor uważał, że gubernatorska inspekcja w Wybalenna rozpoczęła się wyjątkowo pomyślnie. Na plaży było pełno Aborygenów, którzy powitali gubernatora – sir Johna Franklina – i jego świtę po wylądowaniu, podskakując i płasząc wylewnie, a także wydając okrzyki dzikiej radości. Nie było to może zbyt eleganckie ani cywilizowane, zostało jednak dobrze przyjęte. Lady Jane Franklin wrzuciła zwłaszcza drobna czarna dziewczynka, tańcząca w czasie dziecięcego przedstawienia przygotowanego na powitanie gości na czystym białym piasku. Dziewczynka miała na szyi całkiem ładny naszyjnik i nosiła przewieszoną przez ramię dużą skórę z białego kangura. Wyróżniała się nie z powodu prostego, chociaż uderzającego kostiumu, niskiego wzrostu czy wielkich ciemnych oczu. Chodziło raczej o jej specyficzną, ale trudną do określenia postawę.

Lady Jane nie mogła mieć dzieci; kiedy naciskano ją w tej kwestii, mówiła przyjaciółom, że nigdy nie stanowiło to dla niej brzemienia, lecz w pewien dziwny sposób niosło raczej ulgę. Był to po prostu wykręt, który jednak, jak zwykle, z czasem właściwie stał się prawdą. Lady Jane zaczęła unikać dzieci, a kiedy się postarzała – liczyła już sobie czterdzieści siedem wiosen – jej stosunek do problemu potomstwa przekształcił się w ogólny niepokój. W dzieciach było coś, czego jej brakowało i co w głębi serca uważała za przerażające. Jak gdyby im było ich więcej, tym bardziej ubywało lady Jane. Jak gdyby tym bardziej umierała, im bardziej one żyły.

Ich krzyki i śmiech rozbrzmiewały bowiem nazbyt głośno w pustych salach wspomnień gubernatorowej. Nigdy nie zapomniała, jak w młodszych latach sir John wypytywał ją, dlaczego jest taka blada, a ona ze wstydu i strachu nie była w stanie mu powiedzieć, że wypłynęła z niej mała czerwona plamka. Zamknęła książkę, podniosła na niego wzrok i powiedziała, że mimo wszystko zgadza się z Wordsworthem, że w samotności zawsze można znaleźć wzniosłość.

– Czyż nie tak? – spytała łamiącym się głosem.

Odpowiedział, że tak. Zawsze się z nią zgadzał. Kolejne cięższe kończyły się gwałtownie. Tworzyła życie, lecz ono ją opuszczało. Nikt o tym nie wiedział. O życiu lady Jane nic się nie mówiło. W „Timesie” nie było nekrologów. Żadnego współczucia, rozmów, żałobnej czerni. Rozpacz nie miała się gdzie podziać, tylko w jej sercu. A potem było już za późno: jej ciało się zmieniło. Dlatego teraz, patrząc na tę małą aborygeńską dziewczynkę na plaży, zdumiała się, poczuła bowiem, jak z jej barków znika nieznośny ciężar, a wzbiera w niej nienazywalne uczucie.

Dziewczynka spóźniała się nieznacznie w stosunku do innych dzieci, lady Jane zauważyła jednak, że w pewien sposób przyciąga to uwagę do niej i jej tańca,

właściwie zatem tylko podkreśla jej występ. Gubernatorową ogarnęła nagle przemożna chęć, by dotknąć tego dziecka.

– No popatrz tylko – zwróciła się do swojego leciwego, korpulentnego męża – prawie chce się objąć to małe dzikie zwierzątko i je pogłaskać.

Była to nieoczekiwana uwaga dla nich obojga. Lady Jane postanowiła nie pozwolić, by takie uczucia napełniały ją strachem. Z jej punktu widzenia ta mała na szczęście właściwie nie była dzieckiem, ponieważ była dzikuską, i na szczęście właściwie nie była dzikuską, ponieważ była dzieckiem.

Zakładając, że małżonka gubernatora bardziej interesuje się rzeczami martwymi niż ludźmi, Protektor wyjaśnił, że naszyjnik dziewczynki zrobiony jest z setek maleńkich jasnozielonych muszelek, nawleczonych na kilka jardów oposowego ścięgna, które zostało kilkakrotnie owinięte wokół jej szyi. Gdy dodał, że naszyjnik należał niegdyś do jej zmarłej przed kilkoma laty matki, a skóra białego kangura była własnością ojca, który zmarł zaledwie przed tygodniem, lady Jane wzruszyła się jeszcze bardziej.

– Kochana sierotka – powiedziała.

– Leda – powiedział Protektor. – Na imię jej Leda. Ma siedem lat. Jest najmłodsza na wyspie.

– A jak pan sądzi, panie Robinson, jakie jajo – uśmiechnęła się lady Jane – zostawi po sobie ta Leda dla przyszłych pokoleń?

– Jajo? – spytał Protektor, nieco zdezorientowany. – Mówiłem o dziewczynce, nie o kurze.

– Powinien ją pan chronić przed łabędziami – oświadczyła lady Jane, pozwalając sobie na żarcik.

– Nie rozumiem, szanowna pani – odpowiedział Protektor, którego znajomość mitologii klasycznej właściwie nie wykraczała poza imiona zawarte w wyświechtanym egzemplarzu *Carswell's Classical Names & Almanac*.

– Leda... – powiedziała lady Jane.

– Tak – uśmiechnął się Protektor. – Antyczna piękność.

– Starożytni wierzyli, że aby zgwałcić piękną Ledę, Zeus przybrał postać łabędzia.

– Ach tak, to wspinała opowieść, oczywiście – zaśmiał się Protektor, do głębi przerażony mitem, śmiałym sposobem wyrażania się lady Jane, a przede wszystkim tym, że wykazał się taką ignorancją. – Ci boscy starożytni! – westchnął. – Takie historie! Swoją drogą – dodał szybko, kiedy dzieci, które skończyły już tańczyć, przebiegały obok nich – my wolimy nazywać ją Mathinna.

Lady Jane zazwyczaj nie spoufalala się z dziećmi, teraz jednak wyciągnęła rękę i chwyciła Mathinnę za ramię. Dziewczynka zaczęła się odwracać z szerokim uśmiechem, aż wreszcie zobaczyła białą kobietę, która ją zatrzymała.

– Pięknie tańczysz – stwierdziła lady Jane.

I nagle zawstydzona dziwną spontanicznością swojego zachowania, puściła ramię Mathinny. Dziewczynka uciekła, a Protektor zaczął mówić o nowym cmentarzu, który gubernator z małżonką mieli obejrzeć. Połączenie uniesienia z tragedią w sercu tak małego dziecka zaintrygowało jednak lady Jane.

Litość, kiedy już się na nią zdobywała, stanowiła dla niej poważne i straszliwe uczucie. A może po prostu wolą obserwować dzieci, niż oglądać cmentarz. W każdym razie z takiego czy innego powodu uparła się, by powróciły i odtańczyły jeszcze jeden taniec.

Przyglądając się Mathinnie po raz drugi, poczuła, że rozumie tę dziewczynkę. Wyobraziła sobie jej rozpacz, potrzeby, marzenia. Gdy potem wspinali się pod górę na cmentarz, narzuciła wściekle szybkie tempo, pozostawiając zasapanego sir Johna dość daleko w tyle. Biegający między nimi Protektor, chociaż odczuwał ulgę na myśl, że oboje wspierają go w jego dziele, spostrzegł, że lady Jane myślami błądzi gdzie indziej. Medytowała nad tańczącą Mathinną i nad tym, że poruszała się tak powoli, wyraziście oraz przejmująco.

– Można by wręcz powiedzieć – zwróciła się do sir Johna, kiedy ją wreszcie dogonił przy cmentarnej bramie – że jej ciało myśli.

Tymczasem ciało sir Johna nie sprawiało wrażenia, że odznacza się żywą inteligencją bardziej niż wypielęgnowana dynia. Mimo to lady Jane od dawna wyczuwała, że w jej małżonku kryje się jakiś mechanizm, duch albo namiętność, które czekają tylko, żeby je uruchomić. Początkowo w myślach nazywała sir Johna Niedźwiedziem, bo tak go sobie właśnie wyobrażała: jako wielkiego niedźwiedzia w stanie hibernacji. Byli już jednak przeszło dziesięć lat po ślubie, a ona ciągle czekała, żeby się obudził, i trzepotała się wokół jego wybitności niczym ćma.

Równie drobna jak on duży, lady Jane może uchodziłaby za piękną, gdyby zdecydowała się podkreślać walory swojej urody. Wyglądało jednak na to, że raczej nie dba o nie. I nawet jeśli niezupełnie tak było, to niewątpliwie jej natura pozostawała w nieustannej sprzeczności sama ze sobą. Pragnienie przystosowania się do otoczenia i uzyskania jego aprobaty, które odziedziczyła po matce, córce zubożałego szlachcica, szło w niej o lepsze z energią i wiarą w siebie, które przejęła od ojca, właściciela młyna z Northern Midlands. Podobnie jak jej matka lady Jane wyszła za mąż, by podnieść swój status społeczny, i zgodziła się poślubić podstarzałego polarnika, którego w tamtym czasie londyńska socjeta traktowała jako ważną osobistość i największego podróżnika od czasów Drake'a i Raleigha. Podobnie jak jej ojciec przekonała się, że nudziarstwo sir Johna było niczym węgiel: dobre tylko wtedy, kiedy można było je wykorzystać jako paliwo napędzające jakiś złożony mechanizm.

Rozmawiała z nim o historii, pejzażach, malowniczych ruinach i zawrotach głowy, które zaczęły jej dokuczać, kiedy w dzieciństwie wśród nieprzebranych tłumów, złożonych z przedstawicieli najniższych warstw społecznych Londynu,

oglądała przejazd konduktu pogrzebowego lorda Byrona. Wydało się jej wtedy, że spada i będzie spadać dalej w nieskończoność. Sir John w odpowiedzi robił żonie wykład o raportach nawigacyjnych, zarządzeniach admiralicji, zorzach polarnych i o tym, jak pyszne są ozory reniferów, kiedy się je odpowiednio przyrządzi, bo skórka schodzi z nich wówczas jak skarpeta. Nie łączyło ich nic poza szacunkiem dla wszelkich rytuałów. Bez względu na to, co lady Jane sądziła o perspektywie zjedzenia czegoś, co mogło zalatywać brudnymi nogami, podobała jej się mężowska powaga, chociaż niesłusznie brała ją za osiągnięcie, w którym może mieć swój udział.

Sir John od początku okazał się jednak ucieleśnieniem nudy i jeśli trudno było pogodzić aurę romantyzmu, otaczającą jego nazwisko, z apatią, w jaką można było popaść w jego towarzystwie, to z czasem stało się jasne, że można go zmienić i że to ona może zostać główną twórczynią jego reputacji. Lady Jane postanowiła więc, że będzie zarówno jego żoną, jak i stworzycielką.

Jej aspiracje wynikały z tego samego źródła co wstydlivość i energia: były dziedzictwem po ojcu. Od pierwszych dni małżeństwa zniechęcała sir Johna do stosunków intymnych. Brzydziła się go, dźwięków, które wydawał, jego ciała i twarzy, ponieważ przypominał jej o wszystkim, o czym przez całe życie starała się nie tylko nie pamiętać, ale co usiłowała wręcz wypalić w sobie i zastąpić doświadczeniami niejako wyższego rzędu. Od czasu do czasu sir John się zapominał i ulegał swoim najniższym instynktom: w takich sytuacjach lady Jane uważała się za chodzący przykład tolerancji wobec owej ohydnej zwierzęcości, którą jest mężczyzna. Znosiła powtarzające się nieporadne, nudne zbliżenia, palcówki muzyka głuchego na reakcje kobiecego ciała. Z czasem zaczęła uważać mężczyzn za istoty słabsze – chociaż oczywiście zdeprawowane – i niewolniczo oddane niepohamowanym animalnym żądom, co w jej przypadku tchnęło tym większą ironią, że nigdy nie doprowadziły one do narodzin dziecka.

Mimo wszystko wierzyła w swojego męża. Nie miała wyboru, zaczęła się już starzeć, a poza tym po swoim pierwszym rozczarowaniu jego nudziarstwem i brakiem ikry przekonała się, że jest nieoczekiwanie uległy i daje się ciągnąć drogą, jaką wyznaczały jej ambicje i namiętności. Zdała sobie sprawę, że główną zaletą sir Franklina jest wytrwałość. To właśnie ona pozwoliła mu przetrwać koszmar Arktyki w czasie jego słynnych wypraw z 1819 i 1821 roku i to ona sprawiała, że zgadzał się bez sprzeciwu czy też komentarzy na wszystkie jej marzenia i plany. Był jej tańczącym niedźwiedziem.

Z tej przyczyny nie opierał się przed różnymi propozycjami żony, takimi jak wyłupienie węży na Ziemi Van Diemena, za których skóry miałoby płacić – z własnej kieszeni – po szylingu za sztukę. Zrezygnowali z tego pomysłu dopiero, kiedy zubożeli o sześćset funtów, węży na wyspie nadal było pełno, a tymczasem pojawił się i porządnie okrzepł nieznanym wcześniej zawód hodowcy tych gadów.

Sir John zgodził się też odwiedzić aborygeńską osadę na Flinders Island, chociaż zupełnie go nie interesowała. Lady Jane oświadczyła, że krajowcy z Ziemi Van Diemena są naukowym kuriozum, równie nadzwyczajnym jak zebra kwagga, biegająca swobodnie po Ménagerie du Jardin des Plantes. Teraz zaś orszak gubernatora zasiadał do obiadu w domku Protektora, słuchając wspaniałych i – co trzeba dodać – dość rozwlekłych opowieści gospodarza o jego historycznej misji koncyliacyjnej.

– Jego było królestwo wielkich gór i dzikich rzek – mówił Protektor, gdy uprzętało talerze z drugim daniem, czyli pieczoną walabią. – Lasy i majestatyczne plaże w zachodniej części Ziemi Van Diemena.

Wydawało mu się, że chwile ciszy mają ogromne znaczenie, i nauczył się zatrzymywać na sobie uwagę przy stole, zarówno popadając w milczenie, jak i przemawiając, brał jednak uprzejmość gości za narastający zachwyty. Powiódł spojrzeniem po zebranych przy obiedzie wybitnych osobistościach – sir John, lady Jane, pół tuzina ich pacholków i sługusów – a także jego dwór: syn, żona i katecheta, Robert McMahon, ubierający się w najgorsze łachy od tragicznego utonięcia swojej ciężarnej żony, która zginęła, schodząc ze statku w czasie straszliwej burzy. Protektor zastanawiał się, czy któreś z nich ma choćby najmniejsze pojęcie, jaka to ciężka praca, stworzyć tak wspaniałą tragedię i postawić samego siebie w jej centrum.

– Bo był to król, rozumieją państwo... – powiedział w końcu, podnosząc rękę, by tym bardziej podkreślić swój uroczysty głos, mówił bowiem o miejscach i ludziach jak gdyby od dawna zaginionych w innej epoce, w średniowieczu, w czasach najazdów normańskich, gdy topory wikingów lśniły w porannym słońcu u ujścia rzeki, w światach tylko słabo wyczuwanych w kłębowisku mitów i podniosłych zdań. I chociaż wszyscy wiedzieli dobrze, że mówi o ludziach i wydarzeniach sprzed mniej niż dekady, to zdawał sobie sprawę, że chodzi już o inną epokę, dla której był zarówno Normanem, jej ostatecznym niszczycielem, jak i Bedą, jej jedynym kronikarzem.

– I zamierzał pan takich upadłych imperatorów zmienić tu w silnych rolników? – spytała lady Jane. – Czy takie rzeczy są możliwe z punktu widzenia nauki, panie Robinson?

Protektor zaczął to, co określał mianem „misji przyjaźni”, z mglistą nadzieją, której właściwie nie było nawet warto nazywać ambicją. Opanowało go pragnienie, którego na dobrą sprawę nie był w stanie zrozumieć, a kiedy zgasło, nie potrafił pojąć, co się stało. Jeden świat się skończył, drugi zaczął, a on nie przemieszczał się już przez stary świat w zadziwieniu, bo utkwiał w Wybalenna, w nowym koszmarze, z którego nie mógł uciec. Uśmiechnął się. Wyciągnął ręce przed siebie.

– O takich sprawach decyduje Bóg, szanowna pani. Jak nauka mogłaby Mu się sprzeciwić? Poza tym – ciągnął – ten człowiek był bardzo do mnie

przywiązany. Poznałem go w 1830 roku.

Powiedział to takim tonem, jak gdyby chodziło o jakiś nowy modny klub londyński. Ale wspomniany monarcha nie siedział w ciemnym kącie Ateneum w sercu największego miasta świata. I nie był znany jako Król Romeo, chociaż takie miano miał nadać mu Protektor w innym czasie i świecie, w tej absurdalnej, odwróconej do góry nogami, skundlonej imitacji Anglii. Opowieść, którą snuł dalej, mówiła o odwadze i szlachetności, o dziecinnym lęku, jakim odznaczają się dzicy, i o ocalonej w końcu rodzinie, prawdziwa historia Króla Romea wyglądała jednak całkowicie inaczej.

Dawniej Romeo nazywał się Towterer. Stał na kamiennym usypisku na zboczu bezimiennej góry, wznoszącej się pośrodku wielkiego, nieoznaczonego na mapach pustkowia. Oczywiście nie znał map. A gdyby mu nawet jakąś pokazano, pomyślałby, że to idiotyzm – bo przecież mieszkał nie na wyspie, ale w świecie, w którym czas i rzeczywistość są nieskończone, a prawdę przekazują święte opowieści. Był wysokim, potężnie zbudowanym, ostrożnym i czujnym mężczyzną. Nosił przewieszoną przez ramię skórę białego kangura. Wzdłuż odległej grani przyszli ku niemu ludzie, których przybycia się obawiał, ale których postanowił się nie bać. Święte opowieści nie zapowiadały żadnej tragedii, a poza tym Towterer ufał swojemu sprytowi.

Dawniej Protektor nie był Protektorem. Chociaż kilku ludzi nadało mu inny przydomek – Mediator – większość białych znała go jako George’a Augustusa Robinsona, które to nazwisko czarni swoim zwyczajem skrócili do Gustera. I to właśnie kiedy śnił o sobie jako o Mediatorze, chociaż nazywano go Gusterem, przyszedł na tę górę w towarzystwie swoich oswojonych czarnych, żeby porozmawiać z Towtererem.

Zimny deszcz siekł mocno, ludzi Robinsona oblaźło robactwo, a ich kiepskie nastroje pogłębiała jeszcze paskudna choroba. Od miesiąca wędrowali po tej zdumiewającej ziemi, zamierzając dotrzeć do najdalszych plemion, lecz nie schwyтали ani jednego krajowca. Wyrąbывали przejścia przez zimne lasy deszczowe, tracili orientację w chmurnych ogrodach wiszących mchów, zdobiących wstęgami niebo, szli po wielkich plażach ogłuszanych gniewnym oceanem, wznoszącym się i opadającym jak płynne pasmo górskie, wspinali się na skalne granie, cierpiąc ból samotności w obliczu otaczającego ich ze wszystkich stron bezmiaru. Ale dopiero teraz, gdy powitali tego wysokiego Aborygena, wydawało się, że niepomysłny los wreszcie się od nich odwrócił.

Towterer zachował ostrożność w odpowiedzi, mówił niewiele, Robinsona i jego ludzi powitał jednak gościnnie. Zaprowadził ich do wąwozu, potem wzdłuż strumienia i na leśną polanę, na której stała wioska, typowa dla plemion zachodnich, złożona z kilku krytych strzechą kopulastych chat, mogących pomieścić do dwudziestu osób. Mimo to grupa Towterera liczyła tylko – albo aż –

trzydzieści osób, zależy, jak na to spojrzeć. Być może, myślał Robinson, przybyły tu już roznoszone przez białego człowieka plagi, siejące spustoszenie wśród krajowców na zasiedlonym wschodzie i będące obrzydliwym zwiastunem jego przybycia.

Deszcz zelżał, a potem całkowicie przestał padać, chmury odsłoniły nocne niebo usiane gwiazdami i zatrzęszczało wielkie ognisko. Tubylcy zaczęli obmacywać Robinsona po całym ciele, by sprawdzić, czy ma kości i czy nie jest duchem. Zmusili go, żeby poczerzył sobie twarz, jak gdyby dzięki temu łatwiej przyszło go im zaakceptować. Potem wszyscy czarni, zarówno dzicy, jak i oswojeni, zaczęli tańczyć i śpiewać w środku lasu. W końcu Robinson dał się przekonać ich pochlebstwom i dołączył do nich, chociaż wstydził się i tańczył niezgrabnie. Przez południowy nieboskłon przepłynęła jutrzienka, fale czystego ducha, mętne wstęgi czerwonego i zielonego światła, toczące się przez świat. Towterer zaczął nalegać, by Robinson się rozebrał. Przytłoczony logiką, której nie pojmował, biały zdjął ubranie.

Na chwilę osaczyła go przerażająca myśl, że tego właśnie naprawdę w życiu pragnął. Skakał, tupał i fruwał nago, pogrążony w dziwnym zatraceniu pod gwiazdami Południa. Czy to była jego prawdziwa nagroda, a nie pieniądze, które by otrzymał, gdyby przyprowadził ze sobą wszystkich tutejszych krajowców?

Wspominał później tę sytuację jako absurd, ale wtedy, kiedy skakał i krzyczał, kiedy błyskały płomienie, a on czuł ich niepokojący żar na swoich nagich udach i w kroczu, nie wiedział, co się z nim dzieje, nie umiał tego opisać. Tamtej nocy włą się w niego wszechświat, Robinson był otwarty na wszystko, żył dla innych ludzi i dla siebie w sposób, którego nigdy wcześniej nie doświadczył. Czuł, że wisi między gwiazdami i górami, lasami i ogniskiem. Taniec był oszałamiający, figlarny i ekscytujący. To nie miało sensu. Przekraczało jego rozumienie. Przez chwilę – być może jedyną taką w swoim życiu – poczuł, że jest wolny i wcielił się w coś, co go przekraczało.

To nie mogło trwać długo.

Kiedy wrócił do namiotu i zobaczył swoje pełnomocnictwo, wystawione przez gubernatora Arthura, włożone między pierwsze kartki dziennika, nagle sobie przypomniał, czego się od niego oczekuje i kim naprawdę jest. Przybył tu z bardzo konkretnego powodu i jego podróż nie mogła się zakończyć inaczej niż pojmaniem miejscowych krajowców i sprowadzeniem ich do świata, w którym Robinsona witano tylko nieznacznie bardziej gościnnie niż ich. A robił to wszystko po to, aby wywyższyć siebie i swoją rodzinę, żeby zrobić karierę i zyskać sławę jako człowiek ważny i szanowany, mile widziany na salonach wytwornego towarzystwa, w świecie, w którym nikt nie tańczył nago i nikt się przed nikim nie otwierał; przeciwnie, tam wszyscy starali się raczej zamykać siebie i wszystko dokoła.

Poczuł, że jest skazany na zagładę, podobnie jak jego współtowarzysze w tańcu.

A kiedy takie myśli zmaciły mu rozum, głowa Robinsona zrobiła się cięższa. Jego umysł, w którym ładu pilnowała religia, mógł traktować taki bezład tylko jako herezję. W głowie miał pełno idei, o których wiedział, że są nie tylko bluźniercze, ale i szatańskie. Zastanawiał się, czy Bóg istnieje jedynie jako ostateczna bariera, która oddziela człowieka od jego duszy. Potem zostało mu już wyłącznie wspomnienie dziwnych śpiewów i szalonego czerwonego światła ogniska, igrającego na skórze ich wszystkich, a później zapadł w sen.

Obudził się nagle przed świtem, zdając sobie sprawę z czyjejs nieprzyjemnej obecności. Usiadł, instynktownie się odwrócił i ujrzał siedzącą za jego plecami u wejścia do namiotu młodą Aborygenkę, która najwyraźniej nad nim czuwała. Spróbował ją przepłoszyć, a wtedy dziewczyna długim patykiem wskazała jego plecak, gdzie miał schowane trzy pistolety.

Wiedzieli o tym od początku.

Jak bardzo żałował, że nosił przy sobie broń! Zrozumiał, że mu nie ufają, bez względu na to, jak często deklarował dobre intencje i niechęć do brania jeńców, bez względu na to, ile dawał im herbaty i chleba, a nawet na to, że zrzucił ubranie i dołączył do nich w lubieżnym nagim tańcu. Nigdy nie zamierzał używać broni wobec nich, bo widział, jaką katastrofalną porażką kończy się podobne postępowanie. Te pistolety były wyłącznie do samoobrony, do użytku w skrajnej ostateczności.

Jego metody były inne – perswazja i zdrowy rozsądek – za jego argumentami i tak zawsze stali bowiem ludzie z bronią. Po co grozić i strzelać do tubylców, skoro inni mogą to zrobić za ciebie? Grupa Robinsona była zaledwie jednym z wielu zespołów przeczesujących busz w poszukiwaniu Aborygenów, lecz tylko jego oddział obiecywał życie, a nie śmierć, prawda?

Z nadejściem poranka kobiety z plemienia Towterera zniknęły. Towterer powiedział, że poszły łowić ryby, ale choć zapadł już zmrok, jeszcze nie wróciły. Krajowiec nadal uważnie słuchał argumentów Robinsona, jak gdyby zniknięcie połowy jego plemienia nie było niczym ważnym.

Z pomocą tłumacza, swojego aborygeńskiego porucznika, Czarnego Ajaksa, Robinson powiedział Towtererowi, że Aborygeni nie mogą wygrać tej wojny i że proponuje im ostatnie i jedyne realistyczne wyjście: azyl na wyspach w Cieśninie Bassa w zamian za ich ziemie. Na wyspach dostaną żywność i wszystko, co dobre ze świata białych: ubrania, schronienie, herbatę, mąkę i Boga. Był tak przekonujący, że uwierzył niemal samemu sobie. Drugiej nocy las znowu rozbrzmiał echem aborygeńskich śpiewów i tańców, a Robinson znów zasnął i znowu raptownie zbudził się przed świtem.

Tym razem jednak tubylcy nie postawili wartownika w jego namiocie. Dzicy

czarni zniknęli w mroku nocy co do jednego, nie budząc nawet krajowców Robinsona. Ludzie Towterera nie chcieli dać się zniewolić, choćby nie wiadomo ilu kłamstwom.

Kiedy trzy lata później Robinson wrócił na południowy zachód, wszystko się zmieniło. Schwytał tych czarnych, którzy uniknęli zagłady w czasie wojny, i wysłał ich do obozu jenieckiego na Flinders Island, z którego potem wyrosło miasto Wybalenna. Na wolności w najdalszej głębszy pozostało tylko niewielu Aborygenów. Władze uważały za absolutnie konieczne, żeby ich też stamtąd wyprowadzić i w ten sposób raz na zawsze pozbyć się zagrożenia, jakie mogły dla nich stanowić powtarzające się zbrojne powstania czarnych.

Robinson powiedział swoim oswojonym krajowcom, że odtąd aby osiągnąć ostateczny cel, mogą używać siły. Jego niewielki biały oddział wyciągnął broń, czarni utwardzali zaś ostrza swoich dzid w ogniu. W czasie burzy, która wydawała się nie mieć końca, Czarny Ajaks wyruszył na południe z grupą Aborygenów, a Robinson czekał na niego, wydawszy mu rozkaz, którym było tylko jedno słowo:

– Towterer.

Bo Robinson nie zapomniał wodza z południowego zachodu ani jego ostrożnych, sprytnych uników. W przeciwieństwie do innych przywódców plemiennych Towterer nie był uległy, nie dał się oszukać i nie okazał się na tyle głupi, by zaatakować białych albo uciekać. Był dość odważny, żeby nawiązać z nimi przyjazne kontakty, i dość przebiegły, aby po cichu odejść.

Tydzień później Czarny Ajaks i jego ludzie wyłonił się z szarzyzny deszczu ze śniegiem, prowadząc ośmiu dzikich Aborygenów. Towterera między nimi nie było, ale na ramieniu Ajaksa wisiało nosidełko ze świeżej kangurzej skóry. Tubylec podszedł do Robinsona i przesunął nosidełko na pierś. W szarej, powleczonej krwią skórze leżało maleńkie dziecko, niepotrafiące jeszcze nawet raczkować. Była to córeczka Towterera.

Czarny Ajaks opowiedział o tym, jak jego zbrojni urządzili w czasie burzy zasadzkę na Towterera i nielicznych niedobitków z jego plemienia. Twierdził, że Towterer porzucił dziecko, by uciec ze swoją żoną, Wongerneep.

Robinson zanotował tę nieprawdopodobną historię Czarnego Ajaksa w dzienniku, ale w nią nie uwierzył. Był pewien, że Ajaks porwał dziecko na przynętę, chcąc zwabić Towterera w pułapkę. Podziwiał przebiegłość swojego porucznika i odniósł się z szacunkiem do jego talentów dyplomatycznych, które kazały mu wymyślić bajeczkę o porzuconej córce.

Następnego dnia wypogodziło się niedługo przed świtem: brudne chmury pierzchły, pozostawiając za sobą intensywnie błękitne, chociaż chłodne niebo. Zmienił się też ludź Towterera, stali się gburowaci i niespokojni. Obawiając się, że mogą uciec, Robinson rozkazał swoim ludziom ich otoczyć: oswojeni tubylcy stanęli wokół nich z uniesionymi dzidami, a biali z naładowaną bronią. Pod taką

zbrojną strażą nieszczęsnych współplemieńców wodza odprowadzono do tymczasowego obozu w Hell's Gates.

Robinson musiał ich zastraszyć i cierpiał z tego powodu. Rozbolała go głowa, a na widok jeńców żołądek podchodził mu do gardła.

„Darzę tych ludzi niezmiennie największym współczuciem” – zapisał tego wieczoru w swoim dzienniku.

Chciał się pomodlić, lecz kiedy odłożył pióro, poczuł w spodniach coś ciepłego i śliskiego i zrozumiał, że zrobił pod siebie. Był słaby, umysł miał jednak jasny i spokojny. Postanowił, że nie będzie nic jadł, póki biegunka nie minie; potem ruszy na południe i sam wyłapie ostatnich tubylców. Wiedział, że to nie będzie trudne. Przecież miał ich dziecko.

Dwa dni później, wyruszywszy o świcie ze swoim synem i czterema oswojonymi krajowcami, wędrował po ścieżkach wypalanych przez Aborygenów w lasach i na torfowiskach. Zaledwie półtora dnia później, kiedy na płaskowyżu dostrzegli Towterera i Wongerneep, Robinson kazał swojemu oddziałowi położyć się na ziemi, a sam zbliżył się do poszukiwanych tylko w towarzystwie czarnoskórej kobiety, która była jego tłumaczką.

Towterer traktował Robinsona zupełnie inaczej niż w czasie pierwszego spotkania. Wyglądało na to, że nie posiada się z radości na jego widok, i oświadczył, że uważa go za starego, drogiego przyjaciela. W końcu zapytał o swoją córkę. Powiedział, że ma na imię Mathinna.

– Już się uczę modlić – odparł Robinson. – Czeka ją naprawdę świetlana przyszłość.

Towterer powiedział, że szanuje Robinsona pod każdym względem, na równi z członkami swojej rodziny. Wymyślił sobie nową ideę równości, żeby jakoś wytrzymać zniewolenie, a może nawet z nim walczyć. Choć była to iluzja, można było również uznać ją za próbę zniwelowania straszliwie wysokiej ceny, jaką miał zapłacić za odzyskanie uprowadzonej córki.

– A ja szanuję ciebie i twoją rodzinę co najmniej w takim samym stopniu – odrzekł Robinson. – Tak bardzo, że chciałbym, żebyś poszedł ze mną i odnalazł dziewczynkę, potem zaś razem moglibyśmy wyruszyć w cudowną podróż i zacząć nowe życie.

W wylewnym zachowaniu wodza było coś wymuszonego, Robinson dostrzegł w nim jednak także pewien autentyzm: zrozumienie, że odtąd będą się do siebie odnosić właśnie w ten nowy sposób. Towterer chciał bowiem odzyskać córkę i z pewnością nie był głupi, a Robinson chciał dostać Towterera i był dla niego jedyną drogą prowadzącą do dziecka. Biały człowiek poczuł, że jego żołądek wreszcie się uspokaja.

Burzliwego poranka cztery dni później pchany ciepłym, północno-zachodnim wiatrem pojawił się wreszcie pod pełnymi żaglami bryg

„Gulliver”, wynajęty do przewozu schwytanych przez Robinsona krajowców do rozrastającej się tubylczej osady na odległej Flinders Island.

„Darzę tych ludzi niezmiennie...” – zaczął pisać tej nocy w dzienniku Protektor, wyglądając z namiotu na żalosne resztki plemienia oczekujące na wygnanie z ojczyzny. Przerwał jednak i wykreślił to zdanie. „Przyb. kap. Bateman. 5 ppoł. Wiatr ppz.” – zaczął jeszcze raz.

Bateman powiedział mu, że w ciągu trzynastu dni w osadzie na Flinders Island zmarło trzynastu krajowców. Robinson odnotował to w dzienniku, lecz nie zapisał komentarza kapitana.

– Padają jak muchy.

Kapitan wyraził zdumienie, słysząc o nieustających sukcesach Robinsona, który miał wyraźnie lepszy humor i czuł się lepiej, bo nie bolały go już żołądek ani głowa. Zapomniał o tańcu pod gwiazdami południowego nieba.

„Powiedzenie *veni, vidi, vici* dobrze do mnie pasuje” – napisał.

Śmierć Wongerneep, która nastąpiła rok po ich przyjeździe do Wybalenna, zamiast przygnębić jej córkę, odniosła dziwnie przeciwstawny skutek: mała zrobiła się bardziej przyjacielska, ożywiona i bardziej zainteresowana tym, co robią inni. I to pomimo wielkiej wściekłości, w jaką wpadł Protektor, kiedy się dowiedział, że zamiast sprawić żonie chrześcijański pochówek na cmentarzu, Towterer zaniósł jej ciało na szczyt Flagstaff Hill i zbudował tam stos, na którym spalił zwłoki. Mathinna patrzyła, jak dym unosi się ku gwiazdom i wprawia księżyc w drżenie, kiedy na dole jej matka paliła się i obracała w popiół.

Od tamtej pory dziewczynka ciągle wydawała się kręcić dorosłym pod nogami, jak gdyby w poszukiwaniu nowej matki, ale chociaż była jeszcze taka mała, wiedziała już, że lepiej być pomocną, niż sprawiać kłopoty. I tak wyrosła na pełne życia dziecko, które wydawało się nie podlegać narastającemu przygnębieniu i apatii, ogarniającym osadę Wybalenna, i słuchała opowieści ojca o świecie, w którym czas i rzeczywistość są nieskończone, a cała wiedza pochodzi ze świętych opowieści.

– I ten czarnuch, panie Robinson – zapytał sir John – ten Tutteraramadzig czy jak mu tam... Powiadasz pan, że było w nim coś majestatycznego?

W odpowiedzi Protektor, który zakończył okrojona opowieść o spotkaniu z Towtererem, właściwie nie ujawniając w niej nic, co się naprawdę zdarzyło, wstał, podszedł do kredensu i wziął drewniane pudełko koloru słomy, wyglądające jak pudło na kapelusze.

Niczym najświętszy sakrament wniósł szkatułę w krąg zalewającego stół światła kandelabrow.

– To jest drewno z Ziemi Van Diemena, z sosny huon – powiedział. – A pudełko zrobił pod moim nadzorem Marek Antoniusz.

Krzesła zaszurały po drewnianej podłodze, gdy biesiadnicy zadrżeli niczym

czułki przestraszonego anemona morskiego i raptownie przysunęli się bliżej, by lepiej zobaczyć to cudo.

– Wyglądał jak Saracen – powiedział Protektor – a nosił się jak Saladyn.

Podniósł wieko. Goście przy stole wpatrywali się bez słowa w trudny do rozpoznania kształt, formujący się i rozplywający w jakby tłustych cieniach, który wreszcie przybrał niewątpliwie postać ludzkiej czaszki.

– Przedstawiam wam Króla Romea, ostatniego z królów z Port Davey.

Po kilku chwilach szeptów lady Jane, zachwycona swoim darem, a jeszcze bardziej opowieścią o jego pochodzeniu – która czyniła „ich czaszkę”, jak teraz o niej myślała, jednym z najwspanialszych okazów wśród pamiątek po przedstawicielach rasy aborygeńskiej – podziękowała Protektorowi za „taki wyjątkowy prezent” i ożywiła się.

– I to właśnie Król Romeo – spytała – był ojcem tej ładnej dziewczynki, którą widzieliśmy tańczącą dziś po południu?

– Tak jest – odparł Protektor.

– A zatem ta kochana mała nie ma matki, ojca ani żadnej rodziny?

– Ma rodzinę, szanowna pani, ale nie bliską. Tubylcy podchodzą do tych spraw w sposób bardziej swobodny, a jednocześnie bardziej skomplikowany niż my. Dla nas rodzina jest jak sznur, dla nich zaś koronka.

– Ale jest sierotą.

– Wedle naszego rozumienia: tak – odrzekł Protektor.

– Nikt nie może wątpić w to, że wykonuje pan tu dobrą robotę, panie Robinson – stwierdziła lady Jane, głośniejszym głosem, bo na zewnątrz rozszczękał się jakiś pies, a potem drugi i kolejne, aż wreszcie zaczęła ujadać cała niezliczona, jak mogło się wydawać, populacja miejscowych, na wpół zagłodzonych kundli. – Czy można jednak przedstawić lepszy dowód wartości pańskich dokonań, niż podnieść któregoś z tych ludzi do wyższej klasy i rangi? – Zwróciła się do męża. – Nie uważasz, sir Johnie?! – zakrzyknęła.

Jej zdziwiony małżonek mruknął, że się zgadza, psy przestały przeraźliwie szczekać, a potem sir John już nieco pewniejszym tonem oświadczył, że byłby to duchowy eksperyment wart zachodu zarówno dla nauki, jak i dla Pana Boga.

– Jeżeli rzucimy boskie światło na zatracone dusze, ci ludzie staną się warci nie mniej niż my – powiedział. – Najpierw jednak trzeba wyprowadzić ich z ciemnoty i uwolnić od jej barbarzyńskich wpływów.

Przed przyjazdem lady Jane poprosiła na piśmie o taki właśnie okaz na potrzeby nauki – o czaszkę człowieka należącego, jak to określiła, do „ginącej rasy” – i Protektor z radością spełnił jej prośbę. Lecz kiedy obcinał głowę swojemu przyjacielowi, a potem rozbierał ją, gotował i preparował, myśląc z radością, że trafi w ręce takich wspaniałych ludzi, żywo interesujących się nauką, ani trochę nie spodziewał się prośby, która właśnie padła przy jego stole. Podano następne danie,

pieczone czarne łabędzie, a lady Jane oznajmiła, że pragnie zaadoptować jakieś miejscowe dziecko – takim tonem, jak gdyby chodziło o ostatnią potrawę z długiego jadłospisu.

– Będziemy ją traktować jak własną córkę – powiedziała gubernatorowa.

– Wybiorę dla państwa... – zaczął Protektor.

– Źle mnie pan zrozumiał – odparła lady Jane, uśmiechając się słodko. – My już wybraliśmy.

I wymieniła imię dziecka, którego pragnęła bardziej od innych, imię tej dziewczynki, którą obserwowała w tańcu, przystrojona w skórę białego kangura.

– Ją – powiedziała. – Mathinę.

A co z Dickensem? Dla tych, którzy śledzili najbardziej tajemniczą sprawę tamtych czasów, zapowiedź, że najpopularniejszy współczesny pisarz wyłoży swoje poglądy na temat pogłosek o aktach kanibalizmu wśród białych podróżników, brzmiała porywająco. Artykuł zatytułowany *The Frozen Deep* został opublikowany w „Household Words” tuż przed Bożym Narodzeniem w 1854 roku – czyli w najlepszym czasie, jak pewnego wieczoru powiedział Dickens Wilkiemu, by siedzieć w przyjemnym cieple i myśleć serdecznie o ludziach, którzy okropnie marzną. Kiepska proza doktora Rae’a okazała się marnym przeciwnikiem, artykuł święcił triumfy, świąteczne wydanie „Household Words” sprzedawało się wyjątkowo dobrze, a argumenty Dickensa przeważały: jeśli sir John zginął, to szlachetnie, wspaniale, bohatersko, nie jako barbarzyńca o wyłupiastych ślepiach.

W ten sposób pisarz złączył swoje nazwisko z działaniami zmierzającymi do uśmierzenia bólu brytyjskiego imperium i nikt nie był mu z tego powodu niewdzięczny. Po publikacji artykułu lady Jane przywdziała wreszcie żalobę. Dzieło jej życia, polegające na przemianie nudnego męża w wielką osobistość, uwolnioną w końcu od ciągłej i kolosalnej indolencji, zaczęło przynosić owoce. Dickens przemawiał na obiadach dobroczynnych, organizowanych przez lady Jane, by zebrać fundusze na kolejne wyprawy poszukiwawcze, których celem miało być potwierdzenie, że sir John odniósł sukces i znalazł niedosiężne wcześniej Przejście Północno-Zachodnie, szczęśliwym trafem brakło bowiem dowodów na to, że mu się to jednak nie powiodło.

Mniej udane były próby Wilkiego Collinsa, by podnieść swojego towarzysza na ducha dzięki piciu i „muszelkom”. Dickens był przygnębiony, uporawszy się bowiem z doktorem Rae’em i kanibalami, nie był w stanie pozbyć się coraz silniejszego wrażenia, że ktoś ważniejszy od niego zmienił cały świat w podwórzec więzienny. Bez względu na to, jakie spotykały go zaszczyty czy bezużyteczne względy, będące wyrazem popularności albo poważania, oraz jakimi obdarzano go komplementami, gratulacjami, owacjami czy też nagrodami, wszystkie żelazne przedmioty rdzewiały, kamienie były oślizgłe, powietrze cuchnęło, a światło słabło. Dla niego pozostawała jednak tylko jedna droga – podążał naprzód, wciąż naprzód, i nigdy się nie zatrzymywał.

Jesienią zaczął pisać nową powieść wymierzoną przeciwko przedstawicielom władzy i jej absurdom, przeciwko bezdusznym ustawom i urzędowi, a gdy dochodził do końca, czuł się jeszcze bardziej gniewny, smutny i zagubiony wśród gęstniejącej kry swojego życia. Tym razem słowa nie niosły mu ratunku, mimo że opublikowana w odcinkach *Mała Dorrit* – jak nazwał swe nowe dzieło – odniosła ogromny sukces.

Trwał w małżeństwie. Nadal wierzył, że tak jak wszystko w życiu, uda mu się je naprawić czystym aktem woli. Przebywanie w jednym pokoju z żoną przychodziło mu z trudnością, wytrzymywał jednak jej obecność. W literaturze pozostawał orędownikiem życia rodzinnego i starał się nie myśleć, że być może właśnie takie życie go ominęło, że może tak naprawdę nie istniało, a jeśli istniało, to tylko jako kolejny pręt jego więziennych krat.

Ciągle widział zimną biel Przejścia Północno-Zachodniego i wydawało mu się, że znalazł się w jej pułapce razem z trupem sir Johna. Śnił, że jest jednym z zaginionych marynarzy, przedzierających się rozpaczliwie przez straszny i niezwykle polarny świat, którzy wreszcie natrafiają na zamrożony statek sir Johna. Tutaj, mają pewność, czeka ich zbawienie, gdyż znajdą ciepło i żywność; tu znajdą tych, którzy wiedzą, jak znaleźć drogę do domu. Niestety poszukiwania w milczących, zimnych kabinach ujawniają tylko kolejne zamrożone trupy.

Coś w nim gasło, chociaż bardzo starał się dokładać do ognia. W towarzystwie postanowił udawać wcieloną wesołość, wołał jednak samotność. Przemawiał tu, tam i wszędzie, lecz coraz bardziej dystansował się od tego, co robił. Nigdy wcześniej nie spacerował tak dużo i często, częściej niż kiedykolwiek wyjeżdżał za granicę, a mimo to w duchu czuł się niczym zablokowane koło zębate. Nic się w nim nie poruszało.

Postanowił spędzić rok w samotności w Alpach szwajcarskich w towarzystwie mnichów i psów bernardynów. Przeprowadzić się do Australii. Uciec od samego siebie – ale taka ucieczka nie była możliwa. Odczuwał najgłębszą litość dla żebraków i nieszczęśników, których dostrzegał wszędzie, dla obdartusów, z którymi często rozmawiał, nie rozumiejąc, dlaczego jego żona, z którą przeciwnie, teraz już niemal wcale nie rozmawiał, sprawia wrażenie zastraszonej i przygnębionej, dlaczego rzadko się do niego odzywa i dlaczego, kiedy już to robi, tak często czyni to ostro. Zaczął podejrzewać, że nienawidzi sam siebie. I czuł, że jeśli nie będzie dalej parł do przodu, to pęknie.

W pociągu do Dover przeczytał relację pewnego kapitana, wielorybnika, który opowiadał, że zimą w rejonach polarnych dryfująca kra zbija się czasami w wielką masę i każdy statek, który nieszczęśliwie w niej ugrzęźnie, jest ściskany coraz mocniej i mocniej, wszyscy wyczekują, aż z gruchotanych pokładów zostanie wyciśnięta cała terpentyna, słuchają boleści umęczonych desek i nie mogą zrobić nic, tylko czekać dalej, nie wiedząc, czy statek zostanie przełamany i wszyscy zginą. Podobnie mogłaby wyglądać opowieść o jego życiu.

– Wydaje mi się, że nie ma na świecie dwojga ludzi, którzy mieliby ze sobą mniej wspólnego! – zawołał pewnego wieczoru do Wilkiego na Montmartrze, kiedy wraz z hałaśliwym tłumem oglądali walkę dwóch tureckich zapaśników: pierwszy był duży i pokryty ohydными wrzodami, a drugi drobny i dziwnie nieustępliwy. – To niemożliwe... – Przez chwilę wydawało się, że brakuje mu

słów. – Nie ma między nami wzajemnego zainteresowania, empatii, zaufania, uczucia ani żadnej czułości – powiedział głucho, jak gdyby opisywał kloaczne wyziewy.

Wilkie nie wiedział, co robić; gdyby wyraził współczucie, byłaby to zachęta do czegoś, do czego zapewne nie powinien Dickensa zachęcać, czyli do pochopnych słów, których mógłby później żałować – jednak gdyby nie zareagował, sprawiałby wrażenie gruboskórnego obojętnego na problemy najwyraźniej trapiące przyjaciela. Na szczęście, zanim zdecydował, jak się zachować, Dickens znów się odezwał.

– Dla niej to olbrzymie nieszczęście – powiedział, kręcąc głową i sprawiając wrażenie oszołomionego, co rzadko mu się zdarzało. – I dla mnie też. Jest jedyną osobą w moim życiu, z którą nie umiem się dogadać w taki czy inny sposób. Wiem, że mam wiele... wad. – Znowu pokręcił głową, jak gdyby układał układankę, której kawałki do siebie nie pasują. – Które to wady – dodał, próbując junaczyć – wynikają z mojej wyobraźni. W głębi duszy jestem jednak cierpliwy i troskliwy i gdybym tylko mógł, doprowadziłbym do lepszego zakończenia tej naszej wspólnej podróży...

I znowu Wilkie nie wiedział, co odpowiedzieć, a Dickens po raz drugi odzyskał równowagę i ciągnął dalej, tym razem jednak w mroczniejszym, bardziej gorzkim i stanowczym stylu, mówiąc, że Catherine nigdy nie dbała zbyt o dzieci i okazywała im niewiele serca. Tymczasem owrzodzony Turek przygniótł w końcu przeciwnika do ziemi. Tłum wokół nich ryknął z uznaniem, a potem zaczął się śmiać, kiedy zwycięzca splunął swojemu rodakowi w twarz.

Po tym wieczorze z tureckimi zapaśnikami Wilkie nie słyszał już Dickensa mówiącego o swoim małżeństwie – w każdym razie do chwili, kiedy jego sprawy osobiste przybrały tak żałosny obrót, że właściwie nie potrafił mówić o niczym innym. Tymczasem Dickens prowadził coraz bardziej gorączkowy tryb życia: spacerował teraz jeszcze więcej, a spał jeszcze mniej. Częściej występował publicznie i brał na swoje barki wciąż nowe obowiązki. Pewnego wieczoru siedział z Wilkiem w teatrze w Covent Garden na przedstawieniu *Romea i Julii*. Połączenie realizmu i tajemnicy tej inscenizacji, poezja, światła, towarzystwo, olśniewające zmiany połyskliwej i wspaniałej scenografii zachwyciły pisarza do tego stopnia, że kiedy wyszedł o północy na zalaną deszczem ulicę, poczuł się tak, jak gdyby spadał z chmur na rozgoryczony, złośliwy świat błota, hałasu i nieszczęścia.

By opóźnić upadek chociaż o kilka chwil, spróbował wznieść się z powrotem, mówiąc o swoim kolejnym amatorskim przedstawieniu teatralnym, jakie wystawiał co roku w Tavistock House. Aktorami byli członkowie jego rodziny, służący i przyjaciele. Wpływy z biletów pisarz przeznaczał na jakiś szlachetny cel, a jego spektakle stały się ważną pozycją w londyńskim kalendarzu kulturalnym.

– Problem jednak polega na tym, że rok powoli mija – odezwał się do Wilkiego – a ja wciąż nie mam pojęcia, jaką sztukę powinniśmy wystawić.

Kiedy ruszyli obskurną ulicą w kierunku domu polecanego przez Wilkiego jako przybytek „świadczący szczególnie wysokiej jakości usługi na polu sybaryckich przyjemności”, chaos wspaniałych zgonów pod koniec sztuki, którą właśnie obejrżeli, i żywe zainteresowanie ekspedycją Franklina, jakie wykazywał Dickens, zbiegły się w umyśle Collinsa i pomogły mu zasugerować rozwiązanie.

– Znowu dopadają mnie szalone pomysły, Wilkie – mówił Dickens swojemu towarzyszowi. – Bardziej szalone niż kiedykolwiek, żeby wyjechać do Paryża, do Rouen, do Szwajcarii, gdziekolwiek, gdzie mógłbym pisać w pokoiku na piętrze w jakiejś dziwnej gospodzie. Nosi mnie, Wilkie.

– Wyobraź sobie – zaczął jego towarzysz – że twoja kolejna sztuka, którą wystawiasz w Trzech Króli, rozgrywa się w tym zimnym, białym świecie.

– Potrzebuję jakiejś zmiany, Wilkie, ale muszę mieszkać pod jednym dachem z żoną. Podobno Chrystus był dobrym człowiekiem, czy kiedykolwiek jednak mieszkał z kobietą?

Wilkie zakaszłał.

Collins lubił przedstawicielki płci przeciwnej i z trudem znosił wymierzone przeciwko nim filipiki Dickensa. W przeciwieństwie do starszego przyjaciela nie traktował ich ani sentymentalnie, ani konwencjonalnie, i za jakiś czas miał nawet zamieszkać z dwiema kobietami, z których żadna nie była jego żoną. Żywił też dość niezwykle przekonania na temat skrofułów, mesmeryzmu i ludzi stojących w płomieniach w wyniku samozapłonu, a jego opinia na wszystkie takie tematy ciekawiła Dickensa.

– W tym świecie, który zdobył Parry... – ciągnął Wilkie, trzepocząc palcami, bo w migotliwym świetle latarni gazowej przez moment widział nie wielkiego pisarza u szczytu swoich możliwości twórczych, tylko jakąś biedną, przedwcześnie postarzałą istotę. Przez chwilę nie był pewien, czy jego pomysł chwycił, i zaczął podejrzewać, że może jest bardzo niedobry. Brnął jednak dalej. – I w którym zginął Franklin.

Dickens odwrócił się i obrzucił Wilkiego uważnym spojrzeniem. Collins słyszał tylko wychodzące z ust przyjaciela dziwne cmokanie, potem zaś Dickens konspiracyjnie nachylił się blisko ku niemu.

– Jak wejdziemy do środka – powiedział – zamówmy po dwie porcje najpodlejszego niebieskiego ginu i po pięć porcji najlepszych miejscowych perwersji.

I twarz pisarza rozjaśnił uśmiech, gdy zwrócił się w stronę otwieranych drzwi.

– Oczywiście taka historia byłaby inspirowana wyprawą Franklina – wołał za nim Wilkie. – A chociaż opowieść to fikcja, byłaby to fikcja wynikająca

z najprawdziwszej prawdy. I o ileż lepiej można w ten sposób pokazać, że Anglicy umierają szlachetnie, nie jak dzikusy, a ich najwspanialsze cechy biorą górę nad najnikczemniejszymi.

– Tak – powiedział Dickens, nadal odwrócony do niego plecami. – Jestem pod wielkim wrażeniem tej propozycji. Więcej. Jestem oczarowany. To mocny, oryginalny pomysł na sztukę. – Mgła wokół nich przybrała rdzawożółtą barwę od lejących światło latarni gazowych, gdy Dickens jako pierwszy wszedł na górę po wytartych kamiennych schodach i się odwrócił, nadal z uśmiechem na twarzy. – I to ty, drogi Wilkie, powinieneś ją napisać.

Po wejściu do domu, gdzie otoczyły ich ciepłe dźwięki i przypominający woń przejrzałych owoców zapach tanich perfum, Collins odniósł wrażenie, że dostał po prostu zadanie, którego Dickens pozbył się z radością.

– Czyli chcesz jednak zostawić tę kwestię dialogową? – zapytał Wilkie, gdy kilka miesięcy później przyszedł do Tavistock House, by sprawdzić, jak przebiegają przygotowania do przedstawienia. Pomyślał, że w Dickensie zaszła jakaś zmiana od czasu, kiedy widział go ostatnio przed dwoma tygodniami.

– Którą? – spytał głośno pisarz, kiedy szli korytarzem w kierunku źródła piekielnego hałasu. Wydawało się, że inaczej się nosi, że w samej jego postawie widać wigor i zachwyt.

– Tę, w której Wardour krzyczy – krzyknął Wilkie – że „Jedynym beznadziejnym nieszczęściem na tym świecie jest nieszczęście, którego sprawczyniami są kobiety!”.

– Bez tego zdania postać Wardoura będzie niezrozumiała – zawołał Dickens, jak gdyby wydawał kolejne proste polecenie, jak co dzień w redakcji „Household Words”, zbyt oczywiste, by wymagało wyjaśnień. Czyż kobiety nie zawodziły go przez całe życie? Jego matka. Maria Beadnell. Jego żona. Czy to nie oczywiste?

Wilkie zakaszłał.

– Nigdy nie ulegaj swojemu brzuchowi, Wilkie – powiedział Dickens – a twój brzuch ulegnie tobie! – Wskazał Collinsa palcem ozdobionym ciężkim pierścieniem. – To jeszcze jedna kwestia, która musi się znaleźć w tekście! Widzisz, Wilkie, to jest życie Franklina i coś, czego się w nim nauczył. Wszyscy mamy swoje apetyty i pragnienia, ale tylko dzikus zgadza się je zaspokajać.

I z tymi słowy z rozmachem otworzył drzwi, ujawniając chaos i kakofonię działań licznych cieśli i malarzy, ciężko pracujących w sali, która ani trochę nie przypominała dawnej klasy szkolnej. Wszystkie parapety i stoły zdobiły kubły z farbą, tu i ówdzie stały skrzynki z narzędziami, a w ścianie naprzeciwko demontowano właśnie wykuszowe okno i konstruowano znacznie większą niszę, pod którą miała znaleźć się scena. W wielkim tyglu, wciśniętym do kominka, robotnik podgrzewał klej, którego smród unosił się w całym pomieszczeniu, a gazownicy z jakby zdumionymi minami instalowali dodatkowe rury i lampy.

– To ma być stocznia Chatham? – spytał Wilkie.

– To jest nasz teatr – odparł wzruszony Dickens, promieniejąc i rozkładając ramiona. – Najmniejszy w Londynie, ale przecież prawdziwy!

I wtedy Wilkie zrozumiał, że nie tylko ta sala się zmieniała.

– Podoba mi się twój zarost – powiedział. – Jest bardzo modny.

Dickens podkręcił swoje nowo wyhodowane bokobrody.

– Zapuściłem go do roli. Wygląda na to, że coraz bardziej utożsamiam się z Richardem Wardourem. Właściwie żyję tą rolą. Nie dalej jak wczoraj przespacerowałem prawie dwadzieścia mil, a najlepsze było to, że przeraziłem mieszkańców Finchley i Neasden, którzy myśleli, że jestem umierającym z głodu i cierpiącym na pomieszanie zmysłów polarnikiem, skazanym na rychłą śmierć z powodu braku pożywienia i z zimna, bo byłem taki zarośnięty i w kostiumie. Znam już tekst na pamięć, Wilkie, każdą twoją kwestię mam tutaj – dodał, pukając się w swoją jakby koźlą głowę. – Wiesz, co tak bardzo podoba mi się w Arktyce? – spytał i ponownie się uśmiechnął. – Że nie ma tam kobiet. – Po chwili zniknął, by powiedzieć gazownikowi, gdzie powinien umieścić szereg lamp.

Wilkie zakaszłał.

Początkowo Dickens nie chciał się podpisywać pod projektem, który nie był w pełni jego autorstwa, i tylko podsuwał przyjacielowi pomysły fabularne albo taką czy inną kwestię dialogową. Jednak gdy *Mała Dorrit* wbrew woli pisarza stawała się dla niego coraz większym więzieniem, jedynym promieniem światła wpadającym do jego lochu okazała się nowa sztuka Wilkiego.

Autor *Opowieści o dwóch miastach* zainteresował się bliżej tym polarnym dramatem dopiero wówczas, gdy Wilkie zaproponował, by Dickens wcielił się w rolę jednego z głównych bohaterów, złoczyńcy, mającego nosić nazwisko Richard Wardour. A w przedstawienie zaangażował się całym sobą wtedy, kiedy zaczęło do niego docierać, że Wardour wcale nie jest takim odpychającym człowiekiem, jak go opisał Wilkie. Albowiem postać Wardoura zaciekała Dickensa, a im więcej o niej myślał, tym bardziej wydawała mu się dziwnie bliska i znajoma. Zaczął poświęcać czas, przeznaczony na ostatnie odcinki swojej powieści, by skrobnąć jeszcze jeden szybki list lub kartkę do Wilkiego i przedstawić mu cięcia oraz zmiany w najnowszej reżyserskiej wersji sztuki, która za jego sugestią miała nosić tytuł *The Frozen Deep*.

– Najcudowniejsze w twoim dramacie jest to – powiedział, wracając po rozmowie z monterem – że udało ci się stworzyć kogoś takiego jak Wardour, człowieka pozornie niegodziwego, który wcale nie jest jednak jednoznaczny. Gdzieś w okolicy Neasden zdałem sobie sprawę, że grając tę postać, powinienem stopić zalegający w jej duszy lód. Zastanawiałem się, jak moglibyśmy zmienić trochę zakończenie, bo przecież Wardour nie jest całkowicie nikczemny...

– I daleko mu do tego – zgodził się Wilkie, mimo że wcale nie zgadzał się

z Dickensem. W jego zamyśle Wardour miał być bohaterem groteskowym, takim, jakich Dickens tak bardzo lubił grywać ku ucieście widowni w innych przedstawieniach w Tavistock House. To, że jego przyjaciel widział teraz w Wardourze postać poważną, a nie tylko okazję po temu, by zyskać tani poklask, zdumiewało Wilkiego, ponieważ jednak zawsze był otwarty na życiowe niespodzianki, nie sprzeciwiał mu się.

Dickens zaprowadził go do długiego zakurzonego stołu, usłanego długimi zwojami papieru, które rozwinął, żeby pokazać przyjacielowi szkice i plany scenograficzne. Wilkie z aprobatą wyszeptał nazwisko widniejące pod jednym z takich rysunków. Był to ni mniej, ni więcej, tylko William Telbin, uznany pejzażysta. Wyglądało na to, że pisarz ściągnął do pomocy nad sztuką dosłownie wszystkich.

– Cudownie – powiedział Wilkie z przekonaniem. Animusz Dickensa, jego zdolność do energicznego zaangażowania się nawet w tak szalone przedsięwzięcie jak to, w teatr amatorski, zawsze go przytłaczały, bawiły i dziwnie wzruszały. – Po prostu cudownie.

– Tutaj, w pierwszym akcie – powiedział Dickens, wskazując szkic zatoki z butwiejącą z boku powozownią – w samą wigilię odjazdu wielkiej ekspedycji do Arktyki, nasza bohaterka, Clara Burnham, wyznaje wieczną miłość Frankowi Aldersleyowi (tu należą się owacje panu Collinsowi), oficerowi na jednym z dwóch statków wyruszających na tę niebezpieczną wyprawę. Aldersley nie wie, że na drugim statku płynie Richard Wardour (będę chciał nasycić tę postać absolutnie elektryzującym patosem), zagorzały adorator Clary, niegdyś przez nią odtracony, który uroczyście poprzysiągł Aldersleyowi zemstę za to, że odbił mu pannę Burnham!

– A zatem – powiedział Wilkie, wiedząc, że Dickens uwielbiał opowiadać swoje historie w kółko, aby wystawiać je w ten sposób na próbę – najpierw przedstawiamy Wardoura jako złoczyńcę, myślisz jednak, by na późniejszym etapie lepiej pokazać go może jako postać trochę bardziej tragiczną?

– On naprawdę robi na mnie wrażenie człowieka, który wiecznie szuka prawdziwego uczucia, choć nigdy nie może go znaleźć – odparł Dickens. – Czy tak nie jest?

Niewyraźnie podejrzewając, co może się podobać Dickensowi w tej postaci, Wilkie, zamiast odpowiedzieć, zaproponował nową wersję sztuki.

– Zastanawiam się, na ile publiczność byłaby wzruszona, jeśli pod koniec Wardour przeszedłby przemianę... Jeśli zdecyduje się poświęcić własne życie, żeby dziewczyna, którą kocha on, zdobyła mężczyznę, którego kocha ona, chociaż jest w mocy Wardoura pozwolić temu człowiekowi umrzeć i wziąć pannę dla siebie.

Dickens milczał, poruszał jednak ustami, jak gdyby zajęty w myślach jakimś gargantuicznym wysiłkiem na polu arytmetyki, jakby coś dodawał, odejmował,

dzielił, a potem przeprowadzał obliczenia na nowo.

– Śmierć jest dobra – odezwał się w pewnym momencie – bardzo dobra... – Po chwili powrócił jednak do bezgłośnego szeptu. – A wiesz dlaczego? – zwrócił się nieoczekiwanie do przyjaciela. – Bo w ostatecznym rozrachunku nawet Wardour nie okaże się dzikusem! – Brodata twarz Dickensa promieniała. – Czyż nie tak?

Wilkie przez chwilę się nad tym zastanawiał. Jeśli wcześniej było jasne, że postać Wardoura opiera się na nikczemności, to teraz stało się równie oczywiste, że tak nie jest. I to, co w zamierzeniu miało być wyjątkową, lekkostrawną rozrywką, zyskiwało jakiś nowy wymiar.

– Zawsze mi się wydawało – zaryzykował Wilkie – że ten Wardour jest kimś więcej niż po prostu czarnym charakterem.

Dickens skinął głową.

– Upodlonym przez okrutną Naturę – zasugerował Wilkie.

Dickens przytaknął jeszcze energiczniej.

– Złamanym przez Los, na pewno – ciągnął zachęcony w ten sposób autor sztuki. – Ale nie dzikusem, w żadnym razie...

– Dzikus, mój drogi Wilkie, czy mówimy o Eskimosie, czy o Tahitańczyku, jest kimś, kto ulega swoim namiętnościom. Anglik stara się je zrozumieć, opanować i jak najlepiej wykorzystać. Czy taki nie był i nie jest Franklin? A tutaj mamy człowieka zatrutego przez swoje namiętności – ciągnął Dickens, rozwijając kolejną rolkę papieru z napisem AKT III. – Lecz ostatecznie kto, kiedy oba statki zostają unieruchomione w arktycznych lodach, a wokół rozgrywa się koszmar... – Urwał. Na rysunku widniał pokład statku. Dickens pokręcił głową. – Nie, tak nie może być. Nie w tej sytuacji. Nie, jeśli zmierzamy do takiego dramatycznego rozwiązania. Potrzebujemy strzelistych lodowych gór. Grozy wzniosłości. Bo Wardour w końcu wybiera coś o wiele lepszego niż śmierć swojego rywala: poświęca życie po to, żeby Frank Aldersley mógł dostać Clarę... Co, jak sądzę, jest chyba najwspanialszym odkupieniem.

Z tymi słowy sięgnął po krótki ołówek i przekreślił rysunek.

I tak Dickens robił dalej swoje przez osiem tygodni, które pozostały im jeszcze do premiery: tu poprawiał kwestie dialogowe, tam dodawał monologi i zmieniał fabułę. Historia Franklina wprawdzie dryfowała jak kra, potem zamarzała w już ustalony kształt, a pisarz tymczasem zajmował się także wymyślaniem przestrzeni świata sztuki – scenografią, kostiumami, dobozem aktorów, rekwizytami – w tak szerokim zakresie, że kiedy opublikowano program, Wilkie, który wciąż figurował w nim jako autor, rozsądnie uznał za wskazane dodać na pierwszej stronie: „Sztuka zrealizowana pod kierunkiem Charlesa Dickensa”.

Bo Dickens był reżyserem, a często także pracował jako stolarz, scenograf, oświetleniowiec, rekwizytor, sufler i kapelmistrz. Dysponował autentycznymi

strojami dla polarników, zatrudnił i przeszkolił „śnieżnych chłopców”, których zadaniem było rzucać papierowy śnieg z góry na scenę, i zastąpił łóżka hamakami, dbając o niezbędny jego zdaniem realizm. W czasie swoich nocnych spacerów coraz bardziej poświęcał się lodowej głębinie niż małej Dorrit, wczuwał się w rolę Wardoura, wykrzykiwał stare dialogi, wędrując po ulicach, zaczynał dialogi nowe i zapuszczał się coraz dalej i głębiej między zdradliwe ławice lodu, w których więzło jego zagubione serce.

Denerwowała go jednak jeszcze jedna sprawa. Dlaczego Wardour miałby poświęcić dla kogoś życie? Brakowało czegoś w motywacji tej postaci, nie było więc całkiem jasne, z jakiego powodu zły człowiek miałby nagle zrobić coś tak szlachetnego. Po pewnym czasie na wieczornej przechadzce pisarz zrozumiał, że Richard Wardour wcale nie jest nikczemnikiem; przeciwnie, jest dobrym człowiekiem, który może zostać zbawiony... I to dzięki czemu? Dzięki miłości! To brak miłości skuł lodem duszę Wardoura i to miłość ratuje ją od lodu – miłość, dla której gotów jest oddać za kogoś życie!

– Młoda, kochająca i miłosierna – zakrzyknął do Clerkenwella wypełniającym mu teraz krtań głosem Wardoura. – Przechowuję jej twarz w swoich myślach, chociaż nie potrafię zatrzymać w nich nic innego. Muszę się błąkać, błąkać, błąkać... Niespokojny, niewyspany, bezdomny... Aż w końcu ją znajdę!

Tu Dickens urwał, oszołomiony, zagubiony. Kim była ta kobieta? „Ona” nie istniała. Wszystko to złudzenie.

W nowym 1857 roku, po czterech tygodniach prób kostiumowych do wyremontowanej sali klasowej w Tavistock House wcisnęło się sto osób – wśród nich parlamentarzyści, sędziowie, ministrowie i kilku dziennikarzy – żeby oglądać Dickensa, jego rodzinę i przyjaciół, występujących w *The Frozen Deep*.

Obsadę stanowił w całości jego stały zespół – no, prawie w całości, bo Douglas Jerrold ciągle niedomagał – w tym oczywiście dzieci, Wilkie Collins, Freddie Evans, Augustus Egg, John Forster, grająca obdarzoną szóstym zmysłem szkocką pielęgniarkę siostra Catherine, Georgina Hogarth, i szkocki służący Dickensów, wzbudzający w roli Eskimosa trochę śmiechów na widowni. Lecz Dickens przyćmił ich wszystkich.

Posunął się do tego, że zaprosił nawet recenzentów, którzy podobnie jak reszta publiczności byli zdumieni temperaturą występu sławnego pisarza, zwłaszcza w ostatnich scenach, kiedy – cały w łachmanach – zmieniał się z człowieka gotowego zamordować swojego rywala w miłości w kogoś, kto przy coraz głośniejszym akompaniamencie napisanej specjalnie do tej sceny muzyki oddaje dla miłości własne życie.

– Odnosił największe ze wszystkich zwycięstw – powiedział Wilkie, grający Franka Aldersleya, gdy stanął nad leżącym nieruchomo przyjacielem. –

Zwycięstwo nad samym sobą.

Było to dziwne, lecz kiedy wypowiedział te zamykające sztukę słowa, zanim opadła kurtyna i rozległy się ogłuszające owacje, Wilkiego ogarnęło narastające poczucie ironii, które, jak uznał, najlepiej zachować dla siebie.

Wkrótce jednak zrozumiał, że sukces pozostaje głuchy na ironię. Dickensa wychwalano w „Timesie” i „The Illustrated London News”, pisząc, że dorównuje najlepszym aktorom zawodowym, a „The Athenaeum” poszło jeszcze dalej: występ Dickensa, oświadczył recenzent pisma, „może otworzyć nową erę w aktorstwie”.

Kręcąc głową, pani Ternan zamknęła „The Athenaeum” i odłożyła pismo na siedzenie w przedziale. „Nowa era w aktorstwie!”. Siedzący naprzeciwko niej młodzieniec patrzył na nią krzywo, bo pani Ternan nosiła przecież żalobę, a mimo to, co było nieprawdopodobne, niemożliwe i wyraźnie świadczyło o braku szacunku, śmiała się. Pociąg zadrżał na zakręcie i jednocześnie przyhamował, gwizdząc przeraźliwie, przez co wszyscy pasażerowie w wagonie trzeciej klasy zachwiali się w przód i w tył. Kiedy skład wrócił do spokojniejszego biegu, a podróżni siedzieli już normalnie, pani Ternan opanowała się i przeprosiła za swoje zachowanie.

– Umarła moja siostra – powiedziała. – Pochowaliśmy ją dziś rano w Salford. – Gdyby była kimś innym, nie panią Ternan, wybuchnęłaby płaczem. Płakała na scenie, bardzo starała się też wywołać płacz u publiczności, płacz był bowiem sztuką i nagrodą za nią, to jednak było prawdziwe życie. Zmienne koleje losu nauczyły ją raczej śmiać się z życia, niż dać mu się złamać. „Nigdy”, mówiła sobie. Choć była kobietą myślącą, żyła według tej bezmyślnej mantry. Nigdy się nie poddawać. Nigdy nie narzekać. Nigdy nie przyznawać się do porażki.

Skrzyżowała ręce na kolanach, żeby młodzieniec nie widział cer w jej rękawiczkach, przeklinała się w duchu za to, że nie zabrała ze sobą nic cieplejszego do ubrania w nieogrzewanym wagonie, i wyglądała przez zamglone okno, jak gdyby mogła zobaczyć za nim chociaż fragmenty lodowego krajobrazu, gdy pociąg pełną parą podążał na północ.

Mimo wszystko recenzja ją rozbawiła i gdyby nie to, że zdecydowała zachowywać się przyzwoicie, znów by się roześmiała. Dżentelmen i jego nieszkolone aktorsko dzieci przed domkiem z papieru! Może to jakaś nowa forma mesmeryzmu, ale na pewno nie teatr. A pani Ternan z całą pewnością wiedziała, czym jest teatr; ostatecznie stąpała po jego wilgotnych, zbutwiałych, trzeszczących i popękanych deskach od trzeciego roku życia. I chociaż wierzyła w teatr Szekspira i Moliера, to nie odpłacił się jej za tę namiętność. Pomyślała, że skończyła już pięćdziesiąt lat, jest sama, ma trzy córki, maleńki domek, wynajmowany na peryferiach Londynu, skromne dochody i chyba coraz mniej obiecujące perspektywy.

Nie takiego życia oczekiwała, gdy jako młoda kobieta chciała zostać kolejną

panią Siddons, gdy zarobiła w Bostonie więcej pieniędzy niż Fanny Kemble, gdy grała z Charlesem Keanem, gdy jej aktorstwo wychwalano w Nowym i Starym Świecie, a uroda zyskiwała jej kolejnych wielbicieli – i gdy poślubiła młodego Irlandczyka o wielkich ambicjach. Jej obłąkany mąż zmarł jednak w Bedlam, ona się postarzała, dobre role przychodziły coraz rzadziej, a potrzeba przyjmowania każdej propozycji stawała się coraz silniejsza. Jeździła na prowincję, żywiła się piwem, chlebem i oślizgłym, nieświeżym mięsem, krążyła ciężkim krokiem między wilgotnymi wynajętymi pokojami i odległymi teatrami, a pewnego razu ułożyła ciało swojego synka w łóżeczku i pracowała przez trzy wieczory z rzędu, codziennie wracając do jego zimnych zwłok, aż wreszcie uzbierała pieniądze na pogrzeb.

Postanowiła, że zapewni swoim córkom coś lepszego, trudno było jednak powiedzieć, co to może być. Najstarszą, Fanny, okrzyknięto kiedyś Cudownym Dzieckiem – tak głośno plakaty – w dzieciństwie urzekła bowiem publiczność swoimi występami, nie udało jej się jednak zachować tego czaru jako dorosłej kobiecie. Maria zawsze była zdolna, choć pozbawiona obezwładniającej urody czy talentu, i nie zostały jej przeznaczone wielkość ani bogactwo. No i najmłodsza, Ellen, która odkąd skończyła trzy lata, również występowała na scenie, tańczyła polkę, przywdziewała trykoty i grała role chłopców, występowała z akrobatami, śpiewała solo, w duetach oraz w chórach, i teraz, jako osiemnastolatka, zyskała wprawdzie urodę, brakowało jej jednak tej werwy scenicznej, która może przynieść aktorce fortunę.

Nie były to dobre czasy. Minionego lata Fanny i Maria podjęły odważną próbę założenia szkoły dla młodych dam, zgodnie z kolejną sezonową modą; zaczęło się od nadziei i pustego domu, a skończyło bez jednego i drugiego. Chociaż przyjaciele z teatru pomagali jej szukać ról, pani Ternan nie mogła już polegać na *Kordeliach* i *Desdemonach*, które kiedyś zapewniały jej wysoki poziom życia. Maria przez dwa tygodnie grała drobne rólki w *Regency*, ale nic poza tym, a Fanny zdobyła stałą, chociaż nie główną rolę – Oberona w *Śnie nocy letniej*.

Pani Ternan znowu wzięła do ręki „*The Athenaeum*” i wyjęła z niego pełniący funkcję zakładki list z wiadomością o śmierci Louisy. Miała zaledwie pięćdziesiąt trzy lata i troje dzieci. Pani Ternan nie wiedziała, ile jeszcze wytrzyma, zanim spotka ją podobny los – może umrze na scenie jak ten biedny, kochany John Pritt Harley, który przed kilkoma dniami padł wieczorem niczym ścięte drzewo, grając *Spodka*, a biedna Fanny stała tuż koło niego. A jeśli ja umrę, pomyślała pani Ternan, to co się stanie z moimi dziewczętami?

Na razie mogła nadal odcinać kupony od wspomnień swojej urody i dawnych sukcesów, korzystać z pomocy przyjaciół i mądrości życiowej, którą zdobywała przez długie lata, dzieląc łóżka ze swoimi córkami i pluskwami, pracując z oszukańczymi dyrektorami teatrów, chodząc w wytartych ubraniach

i karmiąc się iluzją wesołości. Wprawdzie często musiała demonstrować przyzwoitość i cnotliwość w świecie, w którego oczach jej zawód nie zasługiwał na wiele lepszą ocenę niż publiczna prostytutka, ale jej życie miało też swoje plusy: jeśli aktorka dzięki talentowi zdobyła uznanie widowni, w pewnym stopniu mogła prowadzić życie niezależne od mężczyzn, o których pani Ternan wyrabiała sobie stopniowo coraz gorszą opinię. Żyła lepiej niż guwernantka czy szwaczka. Mimo to było jej ciężko i strasznie, a na duchu podtrzymywała ją jedynie przyjaźń z koleżankami i kolegami po fachu.

Wieczorem, kiedy przysłała wiadomość o śmierci Louisy i pani Ternan została ostatnią będącą jeszcze przy życiu przedstawicielką starszego pokolenia swojej rodziny, tłumiała płacz poduszką, by córki nie słyszały, jak pęka jej serce, i nigdy nie dowiedziały się tego, o czym ona już wiedziała: że każda śmierć człowieka, którego kochamy, jest także śmiercią wielu wspólnych wspomnień i wzajemnego zrozumienia, śmiercią niemożliwej do odzyskania części naszego życia, że każda cudza śmierć jest kolejnym niemożliwym do cofnięcia krokiem na drodze do naszej śmierci i że nie kończy się ona owacjami na wypełnionej do ostatniego miejsca widowni, ale skrzypieniem, trzaskiem i pyłem w pustym teatrze. Poczula, że wzywa ją nieskończona ciemność – postanowiła tylko, że odważnie stawi jej czoło. Co mogą o tym wiedzieć jakiś pan i jego dzieci, którzy się jedynie wygłupiają, bawią w teatr?

Młodzieniec patrzył na Ellen, która pojechała z panią Ternan na pogrzeb i siedziała na drugim końcu ławki, pogrążona, jak zwykle, w kolejnej powieści. Pani Ternan niezwykle starannie zacerowała starą wyjściową suknię Fanny, żeby Ellen miała co włożyć na pogrzeb. Suknia nie wyglądała na zniszczoną, a jej jasnożółty kolor – który spłóviał już w matową szarość – wcale nie był trupi i Ellen, zdaniem pani Ternan, wyglądała zupełnie przyzwoicie. Żeby było jasne, że ta młoda atrakcyjna kobieta nie jest jakąś upadłą dziewczyną, tylko młodą damą, podróżującą pod opieką przyzwoitki, matka podsunęła jej „The Athenaeum”.

– Przeczytaj to, moja droga, i powiedz mi uprzejmie, czy twoim zdaniem można ufać entuzjastycznym recenzjom. – Podała córce pismo. Była natarczywa. – Bo moim zdaniem nigdy. – Uśmiechnęła się, myśląc o tym, że dopóki nie opadnie dla niej ostatnia kurtyna, będzie pchać ten swój wózek. – Nigdy, przenigdy.

Po przedstawieniu, które napędzało go przez tyle miesięcy, Dickens popadł w melancholię. Wrócił do pracy nad *Małą Dorrit*. W coraz większej gorączce nie zdawał sobie sprawy, że pisze o sobie. Londyn wydawał mu się wilgotniejszy, ciemniejszy i bardziej obskurny niż zwykle, dlatego wszyscy i wszystko na ulicach i na papierze wydawało mu się grobowe i umierające. Żyjąc swoim zatłoczonym życiem, zastanawiał się, jak to możliwe, że czuje się taki samotny. Samotność go przerażała.

Coraz częściej odurzał się laudanum. Ci, którzy twierdzili, że *Mała Dorrit* to

najbardziej ponura z jego powieści, nie słyszeli z jego strony sprzeciwu. Była to także książka, która osiągnęła największe powodzenie spośród jego utworów, w odcinkach sprzedawała się bowiem lepiej niż inne. Dickens czuł się straszliwie osamotniony, postanowił jednak to wytrzymać. Poświęci wszystko. Nie był w stanie rozmawiać ze swoją żoną. Skończył czterdzieści pięć lat. On i Catherine traktowali się już jak obcy ludzie, nie potrafili dostrzec w sobie nawzajem bólu, smutku, żalu. Czuł, że coś w nim pęka.

Czy to wina świata? Czy jego? Czerpał ze swojego wnętrza, żeby móc pisać książki, grać Dickensa, sięgał jednak do rezerw, których mu brakowało. Jego duszę zżerała korozja. Spadały na niego gęsto różne ciosy, wszystkie tym bardziej niezrozumiałe i nie do opisanego, że poza tym odnosił wielkie sukcesy. Była to powolna utrata życia, żywotności czy czegoś w tym rodzaju, jakiejś więzi łączącej go z innymi ludźmi, i właśnie przebywanie w ich towarzystwie stawało się dla niego coraz trudniejsze. Jak gdyby im więcej było go w książkach, tym mniej w życiu. Być może mówiliby o tym, gdyby znał kogoś, kto mógłby go zrozumieć, okazało się to jednak niemożliwe, ponieważ on sam tego nie rozumiał. Spadał coraz niżej i niżej i nie wiedział, jak miałby się zatrzymać.

Zima ustąpiła wiosnie. Kupił wreszcie Gad's Hill, dom w Kent, o którym marzył, odkąd jako dziecko przechodził koło niego na spacerach z ojcem. W swoich wspomnieniach był dziwnym chłopczykiem, słuchającym uważnie słów taty, który powiedział, że jeśli nie zabraknie mu wytrwałości i będzie ciężko pracować, to może pewnego dnia zostanie właścicielem tego domu. Był wytrwały. Pracował ciężko. Miał talent – niektórzy nawet twierdzili, że jest geniuszem. Na dowód tego dostał swoje Gad's Hill. Ten dom powinien być potwierdzeniem jego sukcesu. A nie był.

Geniusz... Co to jest? Coraz częściej męczył się przy pracy, ale tylko w pracy naprawdę czuł, że staje się sobą, dopiero kiedy wkładał maskę takiej czy innej postaci, odkrywał prawdę o sobie, dowiadywał się, kim jest. Jego powieści były prawdziwe w inny sposób niż życie. Mało tego, nawet Katy oskarżała go o to, że postaci z jego książek są dla niego prawdziwsze i droższe niż rodzone dzieci. Zaprzeczał, wyśmiewał takie uwagi, nie cierpiał ich. Przeniósł rodzinę do Gad's Hill, ale nocował przeważnie w Londynie, w niewielkim apartamencie, który zachował nad redakcją „Household Words”. Obawiał się, że praca zżera mu duszę. Talent, geniusz... Czy to tylko inne nazwy na jego determinację, żeby kontynuować te wykopaliska w sobie samym, dopóki nie pozostanie z niego jedynie trup, niosący ze sobą śmierć?

Spojrzał w duże lustro zawieszone naprzeciwko biurka, żeby mógł oglądać swoją twarz, kiedy odgrywał rolę takiej czy innej postaci. Ale widział tylko oblicze, które mogłoby należeć do wszystkich i do nikogo, oblicze kogoś, kto nieustannie naśladując wszystkich, stał się nikim. Miał okazję poznać niemal

każdego wielkiego człowieka swojej epoki i zawsze bez wyjątku odczuwał rozczarowanie. Nie mam sobie równych, myślał. Jakże bardzo tęsknił za Richardem Wardourem!

Deszcz bębnił w nierównym rytmie, jak gdyby dręczony jakimś grzesznym sekretem; miasto, przez które ponownie przechodził wieczorem, rysowało się w stu ciężkich odcieniach cyny. Był to jednak jego jedyny prawdziwy dom, wędrował w nim wśród paskudnych nor i noclegowni, po labiryntach nieszczęścia, pełnych półnagich mieszkańców, ceratowych zasłon zamiast drzwi i powybijanych szyb, by wkroczyć w końcu na żalony dziedziniec, gdzie jakaś upiorna kobieta śliniła się, zasysając do płuc opiumowy dym przez prymitywną fajkę, zrobioną z kosztującej pensa buteleczki atramentu. Nad głową widział nieokiełznany księżyc i przewalające się niespokojnie chmury niczym nieczyste sumienie w skotłowanym łóżku. Wreszcie na ulice Wielkiego Pieca, jak nazywał Londyn, chwiejnie wkroczyło światło. Wrócił do domu godzinę po świcie.

Podszedł prosto do biurka. Poczł, że jąka się w myślach, a potem słowa zaczęły pryskać jak ślina i skwierczeć, jedno prowadziło do drugiego, a następnie przyciągało kolejne. Wiedział, że w ten sposób robi się wojny, rewolucje, spiski, romanse i powieści, nic nie mogło jednak opróżnić głowy Dickensa z czegoś, czego nie dałoby się wyrazić słowami: o mało mu nie pękła od wszystkiego, czego nigdy nie dałoby się powiedzieć.

„Goni nas wiatr, lecą za nami chmury, nurkuje za nami księżyc i ściga nas ta kompletnie szalona noc – napisał w notesie. – Ale jak dotąd nie ściga nas nic więcej”.

Bez sensu. Dlaczego ściga nas noc? Jacy „my”? O jakich „nas” chodziło? Kto chciałby spacerować z Dickensem?

Dziwna wędrowka do miejsca, gdzie miał znaleźć tych „nas”, zaczęła się tydzień później, kiedy jechał pociągiem z Gad's Hill do Londynu. Do przedziału Dickensa wszedł jakiś człowiek z zapadającym się stiltonem zamiast głowy. Usiadł, rozłożył gazetę, a potem prawie od razu złożył ją z powrotem i zwrócił się do siedzącego obok pasażera. Odezwał się takim tonem, jak gdyby reklamował nocniki.

– Douglas Jerrold nie żyje.

Dickensowi wydało się, że dostał obuchem w łeb. Jak to, przecież widział swojego dobrego przyjaciela zaledwie przed tygodniem i chociaż Jerrold mówił, że choruje, to pisarz sądził, że dlatego, że nawdychał się świeżej farby z framug okiennych w swoim gabinecie.

Poranek tamtego dnia i bez tego był już nieprzyjemny. Katy kupiła czepek, a Catherine uznała, że idealnie na niej leży. Lubił, kiedy jego córki wyglądały wspaniale, jak Katy w tym czepku, ale koszty! Koszty! Jego dzieci nie miały pojęcia o pieniądzach, były rozrzutne jak kiedyś jego ojciec i – czego bał się

Dickens – skazane może na podobną klęskę.

Nakrzyczał na Katy, która zaczęła krzyczeć na niego, a potem rozkrzyczała się Catherine i wydawało się, że nic nie da się powiedzieć inaczej niż krzykiem. Później Dickens przestał i szeptem poprosił wszystkich, żeby zamilkli, położyli kres temu szaleństwu, przestali się od siebie oddalać i zeszli się ponownie jak prawdziwa rodzina. Była to jednak mowa, słowa, i nikt nie dbał o nie ani trochę, Catherine znów szlochała, a Katy stała obok i popatrywała na niego spode łba.

Mógł spróbować się wyciszyć tylko przez powrót do pracy, do jakiegoś nowego projektu, w którym raz jeszcze zagrzebałby się żywcem. Ale *Mała Dorrit* była ukończona, ostatni odcinek trafił do drukarni i Dickens nie miał przed sobą żadnego innego projektu poza „Household Words”.

Kiedy spotkał się z Wilkiem w redakcji, zrobił w myślach kilka skoków do przodu. Wiedząc, że rodzina Jerrolda nie ma prywatnych dochodów, zaproponował Collinsowi, żeby wystawili kilka charytatywnych przedstawień *The Frozen Deep* dla wdowy i jej dzieci. Ostatecznie cztery pierwsze spektakle zwróciły uwagę Londynu, a czyż on i Wilkie nie słyszeli częstych próśb o powtórzenie sztuki, napływających ze wszystkich sfer towarzyskich, nawet od samej królowej?

I tak czwartego lipca doszło do przedstawienia *The Frozen Deep* na specjalne życzenie królowej w innej, większej sali – Royal Gallery of Illustration – gdzie zagrali dla królowej Wiktorii, księcia Alberta i ich rodzin. Wśród gości znaleźli się też król Belgii Leopold I, pruski książę Fryderyk Wilhelm i jego narzeczona księżniczka Wiktoria, a nawet tacy luminarze kultury jak Hans Christian Andersen. Potem w tym samym miejscu odbyły się w ciągu kilku następujących tygodni trzy kolejne występy. Dickens znów stał się Wardourem, jego gra aktorska wzbudziła nawet większą sensację niż przedtem.

– Gdyby ten człowiek zdecydował się pracować na scenie – wykrzyknął potem Thackeray we foyer – zarabiałby dwadzieścia tysięcy rocznie!

Ale pomimo sukcesów *The Frozen Deep* i wysokich cen biletów nie udało się zebrać odpowiedniej kwoty na życie dla pani Jerrold. Ośmielony powodzeniem Dickens – podniesiony na duchu, bo znowu grał Wardoura – postanowił dać jeszcze kilka przedstawień w znacznie większej sali, mogącej pomieścić odpowiednio dużą publiczność, aby tym razem można było zgromadzić wystarczającą kwotę. Ostatecznie zdecydował się na Manchester Free Trade Hall, wspaniały nowy budynek, w którym na widowni mogły zasiąść dwa tysiące osób.

Wielkość sali rozwiązała jeden problem, stworzyła jednak drugi. Dickens nabrał przekonania, że amatorki nie będą w stanie podawać swych kwestii dość głośno i dramatycznie w tak przestronnym teatrze. Jego córki i służące były atrakcyjne i urocze w małych salach, gdzie ich aktorskie słabości przywoływały w pewien sposób coś w rodzaju domowego czaru, obawiał się jednak, że na wielkiej scenie wydadzą się widzom przeciętne, a może nawet idiotyczne. Będzie

musiał znaleźć aktorki zawodowe.

Wejście dla aktorów i pracowników technicznych Haymarket Theatre kryło się za sekretnymi drzwiami, wychodzącymi na boczny zaułek, z którego wskutek letniego porannego upału biła mieszanka fetorów, przywodząca na myśl zapach chutney. Dickens czubkiem buta odkopnął piętrzące się na schodkach muszle po ostrygach, pochłapane ptasimi odchodami. Jakiś umorusany urwis, mający na sobie tylko porozrywaną kamizelkę, pędził po ulicy świnie, mamrocząc pod nosem w niezrozumiałym języku, który Dickens wziął za gaelicki. Świniopasowi towarzyszyło jeszcze dwoje półnagich dzieci, a w chwili kiedy pisarz wchodził do mrocznego i dość ponurego budynku, z dziury w murze nad drzwiami wyleciał szpak, przy wtórze przeraźliwego skrzeczenia głodnych piskląt. Dickens ruszył tam, skąd dochodziły odległe dźwięki muzyki i tańczących nóg, w miejsce, które uwielbiał ponad wszystkie inne, gdzie serce może być jednocześnie zdyscyplinowane i niesforne; do świata, w którym kiedy kłamstwa przywdziewają maski, mówią prawdę.

Dwukrotnie stracił orientację, dotarł jednak w końcu za kulisy, w chaos belek, ścianek działowych, lin, krążków i takiego pomieszczenia światła gazowego i dziennego oraz długich i krótkich cieni, że wydawało się, że nie działają tu już żadne prawa przyrody. Pośród tego wszystkiego siedziała w pasiastym półmroku młoda blondynka i płakała cicho.

– Ależ na litość boską, panie Dickens, nie zdawałam sobie sprawy, że kiedy pan mówił, że wkrótce pan nas odwiedzi, przyjdzie pan już dzisiejszego ranka, i to w trakcie próby!

Dickens odwrócił się i ujrzał przysadziłą, ale nie nieatrakcyjną kobietę.

– Wiedziałem, że będzie pani w pracy, pani Ternan, mam jednak pewną propozycję, którą chciałem pani przedstawić jak najszybciej.

Odwrócił się, by spojrzeć na zapłakaną młodą kobietę, w której rozpoznał teraz jedną z ładnych córek swojej rozmówczynie – poprzedniego wieczoru podziwiał tę dziewczynę na deskach scenicznych.

– Obawiam się, że Ellen, którą pan tu widzi, uważa, że w ostatniej scenie, kiedy musi się pokazać w rozdartej sukni, występuje po prostu rozebrana. Sądzi, że za bardzo odsłania nogę. Widzi pan, panie Dickens – na dźwięk swojego nazwiska pisarz odwrócił się gwałtownie twarzą do pani Ternan – nauczyłam swoje córki, jak być aktorkami i zachowywać się przyzwoicie, aby nie uważały, że nie da się pogodzić aktorstwa z przyzwoitością. To nie są pospolite komediantki.

– Pani Cornford z Regent's Playhouse wyrażała się w samych superlatywach zarówno o charakterach, jak i o zdolnościach pani latorośli.

Oglądając Ellen – która w jego oczach wyglądała na ładną szesnastolatkę – w roli Hippomenesa w sztuce zatytułowanej *Atalanta*, pomyślał, że jest dobra. Miała też dość ładne łydki. Z tego, co mówiła pani Cornford, zrozumiał, że jedna

z jej sióstr jest wybitnie uzdolniona, a ich matka bardzo szanowana, i że wszystkie cztery panie są godne zaufania, przyzwoite i, co nie było najmniej ważne, dyspozycyjne, mogły więc wystąpić u niego właśnie w tym czasie, na jaki wynajęto Manchester Free Trade Hall.

– Jeśli pani sobie tego życzy, mogę pomówić o kostiumach z dyrektorem... – Wzrok Dickensa zbłądził znów na dziewczynę. Jej duże oczy były przeraźliwie błękitne. Pończochy bardzo cienkie. Nogi...

– Och, nie musi się pan tym martwić, panie Dickens. Postawię na swoim i moja córka nie będzie wyglądać tandetnie. Nie straci tak łatwo swojego dobrego imienia, a my nazwiska.

Z wysokich okien galerii, przez które było widać tylko wąski pasek nieba, wpadł silny promień światła. Dickens poczuł jego nieoczekiwane ciepło, odżywczą dobroć.

– Nikt nie będzie rozmawiał z dyrektorem – odezwała się nieoczekiwanie dziewczyna. – Po prostu zagram swoją rolę tak, jak będę uważała za stosowne... – To mówiąc, z szerokim gestem wysoko podniosła głowę. – I tyle.

– Upadek, jeśli już musi przyjść, powinien być tego warty – zauważył Dickens, wiedząc, że teraz gra, ale nie mógł się pohamować.

Pani Ternan obawiała się, że przechodzi jej koło nosa dobry interes.

– A pańska propozycja, panie Dickens?

Dziewczyna wydawała się nie słuchać, kiedy odpowiadał. Obserwowała jego dłonie. Śmigły na prawo i lewo niczym skrzydła dzikiego ptaka w klatce.

Dopiero później, kiedy umierał w nieustępliwej ciemności arktycznej zimy, a ze ściśniętych lodem desek „Erebusa”, w którego wnętrzu leżał, sączyła się terpentyna, sir John przekonał się, jak trudno jest kierować czymś, co jest po części więzieniem, po części zaś targowiskiem. Jego otwartość, niezdecydowanie, brak sprytu, niechęć do korzystania z tajnych agentów, nieświadomość konieczności kompromisu, patrycjuszowska pogarda dla ciemnej sztuki inkluzji i ekskluzji, łaski i prześladowań sprawiły, że został w końcu skazany na Ziemi Van Diemena na drwiny i pogardę.

Przed miesiącem na czele wygłodzonych niedobitków swojej ekspedycji udał się na rekonesans w kierunku południowym, ale ponieważ w tej straszliwej bieli nie udało mu się znaleźć żadnego łatwo rozpoznawalnego punktu orientacyjnego, powrócili na zimę na oba statki, dokonując zaskakującego odkrycia: że „Terror” został już zmiażdżony przez krę i zatonął, na łodzi pozostał zaś jedynie pęknięty maszt, przypominający o tym, co się tu wydarzyło.

Sir Franklin wreszcie zdjął swoje zmrożone buty w kabinie Croziera na „Erebusie”, a ściągając kalessony, oderwał trzy palce u nogi. Przeszedł dwie amputacje, pierwszą poniżej, drugą powyżej kolana, ale wcześniej dopadła go gangrena.

Wiatr ryczał na zewnątrz, w powietrzu tańczyły lodowe naszyjniki. Wydawało się, że śmierć na statku będzie całkiem przyjemna, choćby dlatego że mogła go uwolnić od nieznośnego smrodu, jaki wydzielало jego ciało. Niewiele wiedział o ludziach i będąc w towarzystwie, kontakty z nimi zostawiał na ogół żonie, zapewniającej małżonka, że ich rozumie. Pojął, że mylił się także i w tym względzie. Po prostu brakowało jej jego pokory.

Chociaż lady Jane wykazała się później zdolnością do snucia intryg, którą po raz pierwszy obudzili w niej Vandiemeńczycy, to w tamtym czasie kultywowała to wszystko, co stało w sprzeczności z jej prawdziwą naturą: potulność, służalczość, altruizm. Nie była gawędziarką i wtedy jeszcze nie interesowały jej opowieści, bez względu na to, czy pojawiały się w jakiejś głupiej książce, czy spływały z ust kobiety siedzącej akurat koło niej na obiedzie. Mimo to starała się i słuchać, i opowiadać, bo w duchu – jak we wszystkim – była osobą nieuchronnie dążącą do doskonałości, a w jej umyśle Ziemia Van Diemena i jej osobiste ambicje zlewały się w jedno.

Po przyjeździe do kolonii liczącej sobie dopiero niecałe czterdzieści lat, lady Jane zrozumiała, że nie ma na świecie miejsca, które lepiej nadawałoby się na obiekt reform i oświecenia. Przez głowę przemykało jej mnóstwo pomysłów na rozmaite projekty, przedsięwzięcia i organizacje. Wyspa prosperowała jak nigdy

dotąd, fala byłych zesłańców – teraz na poły niewolników, a na poły służących – pasła wciąż rosnące stada owiec, które produkowały coraz więcej wełny potrzebnej przeżywającym rozkwit fabrykom włókienniczym w Wielkiej Brytanii. Mieszkańcy Ziemi Van Diemena – w każdym razie ci, którzy nie chodzili w kajdanach – byli przygotowani na przyście Złotego Wieku, a kiedy nadeszła kolej na napisanie historii tej epoki, lady Jane postanowiła, że ona i sir John staną się jej najważniejszymi postaciami.

Wyspa, której jej mąż był właściwie królem, z początku wydawała się lady Jane rozkoszną zabawką, mogącą pod rządami sir Johna przekształcić się w taką krainę, jakiej wizerunek zarysował się pod wpływem niezliczonych salonowych rozmów w Londynie. A sir John zaczął od tego, że zmienił sposób zarządzania kolonią karną w zgodzie z propozycjami najświetlejszych umysłów, zakładał uczone oraz naukowe towarzystwa i urządzał wieczorki, na których niezwykle szczegółowo omawiano rozmaite problemy intelektualne, filozoficzne i naukowe. Zwolennicy gubernatora mówili, że nigdy nie śpi, krytycy, że nigdy się nie zbudził.

Młode córki wolnych osadników, które uwielbiały Government House, dawał im bowiem możliwość przetańczenia całej nocy do muzyki granej przez orkiestrę wojskową, z początku się dziwiły, potem zaś gniewały, gdy się okazało, że sala balowa została znów wynajęta na potrzeby kolejnej poważnej dyskusji o powstającej właśnie nowej gałęzi nauki, zwanej mesmeryzmem, albo o korzyściach płynących z zastosowania magnetyzmu w rolnictwie.

Za pośrednictwem męża lady Jane zaczęła z wielkim entuzjazmem zakładać szpitale, organizacje dobroczynne i szkoły, proponując śmietance towarzyskiej coś więcej niż tylko bogacenie się i kierując jej zainteresowania w stronę oświeconego Starego Świata.

„Jak myślisz, mogłabyś mi sprokurować jakiś ładny projekcik gliptoteki?”, napisała do swojej siostry w Londynie, używając na określenie muzeum rzeźby modnego greckiego słowa. „Ta wyspa potrzebuje swoich starożytnych i swojej mitologii. Sądzę, że nie można zacząć lepiej niż od kilku niewielkich, ale proporcjonalnie zaprojektowanych sal, by powiesić w nich obrazy i postawić kilkanaście kopii dzieł Elgina i rzeźb watykańskich. Muszę pilnować wydatków, inaczej w tej miłującej pieniądze kolonii nigdy nie zdobędę funduszy na budowę. Mogłabyś mi załatwić odlewy posągów Tezeusza, Ilissosa i głowy konia z British Museum, a poza tym Apolla Belwederskiego, Wenus Medycejskiej i umierającego gladiatora?”.

– Nasza natrętna jak mucha lady Franklin postąpiłaby lepiej, odnotowując na swoim *programme du bal* nazwiska wielbicieli, niż wypełniając tę wyspę francuskimi fanaberiami jakichś babskich koterii – parsknął sekretarz jej męża, Montague, do swoich przyjaciół z Hobart Town, którym opowiadał o ambicjach gubernatorowej, chociaż w obecności lady Jane, oczywiście, uśmiechał się tylko

i wychwalał jej inicjatywy.

– Inne kobiety poszukują kwiatów – powiedziała kiedyś Montague’owi, słusznie wyczuwając, że sekretarz jest osobą wpływową – a ja walczę o laury.

I przez jakiś czas jej laury podobały się najwyższym rangą członkom śmietanki towarzyskiej wyspy, albowiem – chociaż jeśli chodzi o bogactwo i władzę, byli oni na różne sposoby zależni od straszliwej nędzy wielu biedaków – mieli w zwyczaju szukać rozgrzeszenia, obwieszając się girlandami kultury.

Przedstawiciele władzy na Ziemi Van Diemena nie byli nieznośni, dlatego że mieli nudnych poetów, nadętych przyrodników i kiepskich akwarelistów, ale dlatego że nie potrafili o nich nie mówić. Recytowali irytujące wiersze, obwieszali ściany prymitywnymi malowidłami, pysznili się swoimi organizacjami naukowymi i zapewniali nawzajem, że ich kilku amatorskich uczonych codziennie dokonuje nadzwyczajnych odkryć.

A szczególnie chwalili się tym małżeństwem, które zdawało się ucieleśniać wszystko, co uważali za najwspanialsze i wyjątkowe w sobie samych, czyli rzekomo olśniewającym nowym gubernatorem i jego żoną. Franklinowie byli ludźmi interesującymi i sławnymi, orientującymi się w najnowszych modnych prądach myślowych, ludźmi szanowanymi, którzy znali odpowiednie osobistości w Anglii, ludźmi wyjątkowymi i wspaniałymi, którzy mieli uczynić tę kolonię wielką i stanowili najodpowiedniejsze towarzystwo, zdolne przewyciężyć faktycznie rządzącą przeciw na wyspie przeciętność.

Dlatego mieszkańcy schlebiali i podlizywali się panu gubernatorowi i pani gubernatorowej, i tylko kobiety zesłańcy, pracujące w Female Factory, dały zdecydowany wyraz temu, co czuła ludność niewolna: kiedy lady Jane robiła im wykłady o moralności, będącej fundamentem życia jako takiego, odwróciły się do niej tyłem, wszystkie jednocześnie podkasały spódnice i zaczęły potrząsać brudnymi tyłkami. Większość skazańców i ułaskawionych, pozostających w zewnętrznych kręgach społecznych, poza bezpośrednim zasięgiem aureoli władzy, lekceważyła Franklinów. W melinach i burdelach życie toczyło się tak jak przedtem, rozbrzmiewały w nich zakazane piosenki i pito słodzony cukrem bimber; w buszu, w lesie, w kuchniach, stajniach, warsztatach i kopalniach to szczęście i los jak zawsze decydowały o tym, czy ludzie będą żyć, umrą, zostaną zgwałceni, wychłostani, uwolnieni, zdobędą dość pożywienia, czy raczej umrą z głodu.

Lecz potem przez Europę przeszedł wielki kryzys, rynek włókienniczy się załamał, fabryki upadały, wolni osadnicy nie mogli dłużej żądać cen, które dotąd płacono im za wełnę, a złoto przestało napływać obficie na wyspę. Kolonia przestała się bogacić i wszyscy wiedzieli, jaka jest tego przyczyna – Jego Korpulentność sir John i jego wtrącająca się we wszystko małżonka, lady Jane.

Franklinowie długo nie zdawali sobie z tego sprawy. Sir John zaczął tworzyć flotę Ziemi Van Diemena, budując sześć kanonierek, i był mocno podekscytowany

perspektywą zakupu nowej armaty, prochu i kul. Zapewniało mu to złudzenie, że jest człowiekiem czynu, co dodawało gubernatorowi iluzorycznej pewności siebie, bo wiedział, że nie okazał się zręcznym intrygantem. Gdy przybył do kolonii, zdumiała go jej zamożność. Przyjęto go hucznie, wyprawiano na jego cześć uczyty, bale i dbano o wszelkie inne formy okazywania publicznej radości. Kiedy odwiedził najważniejsze miasto na północy, Launceston, dostał eskortę złożoną z trzystu jeźdźców i siedemdziesięciu powozów, a na ulicach witały go tłumy rozentuzjasmowanych zwolenników. Jego poprzednik, gubernator Arthur, tyran, już wyjechał. Franklina przyjmowano jak wyzwoliciela. Nigdy nie zrozumiał rady, jaką dał mu wtedy Montague.

– Żadna władza nie powinna uchylać się od takich zagrożeń jak despotyzm, jeśli sama pragnie się zreformować – oświadczył ostrzegawczo jego sekretarz.

Gdy skończyły się więc dobre czasy, wyspa zaczęła cierpieć, burzyć się i planować zemstę. A Franklinowie nadal ją zwiedzali, pisali raporty i urządzali wieczorki towarzyskie. Bo sir John i lady Jane uważnie obserwowali wszystko z wyjątkiem otaczających ich ludzi.

Gości, starych kolonistów, a także przyszyłych nowych wolnych osadników, wpływających do stolicy wyspy, Hobart Town, porywał na chwilę entuzjazm, bo byli w dobrych nastrojach po podróży przez wspaniałe ujście rzeki, obfitujące w zalesione wzgórza i romantyczne zatoczki, gdzie nie widziało się żadnych obrazków z nędznego życia tych, którzy mieszkali wśród wzbijających się od czasu do czasu w górę kłębow dymu z kominów ukrytych głęboko w lesie.

Jednak rozczarowanie przybyszów dorównywało wcześniejszemu entuzjazmowi, a nastrój się pogarszał, gdy wreszcie docierali do niechlujnego miasta, które nie tyle się wznosiło, ile zataczało jak pijak od linii brzegowej aż po wielkie, ciągnące się dalej góry. Hobart wydawało się połączeniem koszar z więzieniem, stanowiąc miasto w najlepszym razie monotonne, w najgorszym zaś monstrialne.

Skazańcy, którzy dopiero co zostali wyciągnięci z kwaśnych, obsranych ładowni dawnych statków niewolniczych, przystosowanych do znacznie krótszych rejsów między Afryką i Ameryką Południową oraz Północną, nie odczuwali uniesienia ani rozczarowania. Przetrwali sześciomiesięczny rejs ze Starego Świata. Wystarczyło im, że żyją. Zaczepnęli, ile mogli, dziwnego, nieprzyzwoicie świeżego powietrza i jaskrawego, surowego błękitnego światła i postanowili tylko, że muszą żyć dalej.

Z New Wharf do znajdującego się w dość opłakanym stanie pałacu gubernatorskiego, wznoszącego się nad urwiskiem dokładnie na południu, było zaledwie pięć minut drogi piechotą. Pałac wyrósł z domku, który rozbudowano, potem zadaszono, znów rozbudowano i zadaszono ponownie. Podobnie jak kolonia, która powstała z kilkuset dusz, rozpaczliwie próbujących przetrwać,

a potem rozrosła się w czterdziestotysięczną społeczność, dawny domek porastał kolejnymi przybudówkami, aż wreszcie zmienił się w wielki, przypominający cebulę gmach. W rozpadającej się konstrukcji, liczącej zaledwie trzydzieści lat i już będącej reliktem wspaniałego zniszczenia, przejawiała się zdolność wyspy do przemieniania wszystkiego w mgliste wspomnienia, jeszcze zanim coś się stało – a nawet wbrew temu, że nigdy się nie stało.

Lecz kiedy wreszcie wiosną po wizycie Franklinów w Wybalenna przyjechała tu Mathinna, której podróż trwała o wiele za długo, jej oczy nie dostrzegały bijącej w górę wilgoci, odklejających się tapet, popękanego i połatanego tynku ani walącego się gmaszyska, którego framugi drzwiowe i okienne wznosiły się i opadały niczym zamykające się i otwierające powieki. Mathinna ujrzała raczej taki pałac, jaki opisywał jej Protektor. Nawet pleśniowa woń martwych pajaków spachaczy i stęchły zapach oposowych szczyn uznała za coś, o czym tyle jej opowiadano: za zapach Boga.

Mathinna Flinders – pod takim nazwiskiem zapisano ją w dzienniku pokładowym, gdyż będący półanalfabetą kapitan uważał, że pisanie to przede wszystkim ćwiczenie w sztuce zdobniczej, i sądził, że wszyscy pasażerowie powinni mieć nazwisko, by zrównoważyć imię – płynęła aż dziesięć dni z Flinders Island do Hobart Town na południowym krańcu Ziemi Van Diemena, statkowi bowiem ciągle przeszkadzały zła pogoda i przeciwnie, wiejące z południowego zachodu wiatry.

– Kim jest Jezus Chrystus? – pytał Mathinnę kapitan, żarliwy metodysta, kiedy ich słupek podskakiwał na szczątkach wielkich fal, burzących morze poza bezpiecznymi zatokami i zmieniających je w rozszalałe, białe piekło.

– Dzieckiem Boga, panie.

– A kim był Jezus dla nas? – ciągnął kapitan, który postanowił, że zanim dotrze do celu podróży, dziewczynka nauczy się podstaw katechizmu.

– Naszą sprawiedliwością, panie.

Zająknęła się, wymawiając długie słowo, zabrzmiało więc ono w jej ustach trochę jak „sprawą i ością”. Kapitan jednak był zadowolony i mówił dalej:

– Kim jest diabeł?

– Wrogiem naszych dusz, panie.

– W jaki sposób wojuje z naszymi duszami?

– Zmuszając nas do ulegania grzesznym pragnieniom.

– Co Jezus musiał dla nas zrobić?

– Wziąć na siebie nasze grzechy, panie. Dlaczego...

– Kto ukrzyżował Jezusa Chrystusa?

– Żydzi, panie. Ale dlaczego, dlaczego Jezusa, on był dobry człowiek, dlaczego musiał zgrzeszyć, skoro my nie grzeszyć?

– Kim są Żydzi?

– Ludem Pana Boga, panie.

Nie wiadomo, czy Mathinna zastanawiała się, co to są grzeszne pragnienia albo dlaczego lud Pana Boga mógłby chcieć ukrzyżować Jego Syna – choć jako wychowanka dzieci Boga może uważała to za oczywiste – albowiem udzieliwszy zadowolającej kapitana odpowiedzi, rozgadała się:

– I panie, panie, Napoleon dobry człowiek, nauczył mnie liczyć do siedmiu, dobrze mnie nauczył, znał tamtego gościa i w ogóle, i tego, co to stworzył górę i drzewo, i gwiazdy. Tak, panie, on wie. Jezus krwawił jak czarny.

– Kto ci opowiadał o Szekspirze? – zapytał kapitan, który nagle zrobił się podejrzliwy.

– Napoleon – odparła dziewczynka, niemająca pojęcia, kim lub czym jest Szekspir.

Nie przyjechała do Hobart Town w takim stroju, w jakim chciała wyjechać z Flinders Island; jej drobna figurka nie była odziana w skórę białego kangura, upolowanego kiedyś przez ojca. Gdy wybuchnęła płaczem na myśl, że będzie musiała opuścić swoje plemię, Protektor powiedział, że nie może przybyć do Government House ubrana jak dzikuska. Uległ jednak w kwestii jej ulubionego towarzysza, czyli oswojonego oposa albinosa z czarną pręgą na ogonie. Biegał wokół jej barków, wtulał się pod brudną koszulkę i często robił okrągłe kupy przypominające ołowiane kule.

Protektor pozwolił jej zatrzymać zwierzaka nie z sentymentu, ale ze strachu, że dziewczynka zrobi coś niestosownego, jeśli odmówi się jej choć jednej drobnej łaski. Z pozostałych przy życiu dzieci Chama Mathinna była najinteligentniejsza: wesola, owszem, ale i najlepiej rozwinięta, a biorąc pod uwagę jej opanowanie po śmierci ojca, zapewne miała największe szanse na to, by dostąpić odkupienia.

Realizacja prośby Franklinów trwała jednak kilka miesięcy, na przeszkodzie stawały bowiem pogoda i zdrowie dziewczynki, a Protektor wymyślał także argumenty natury pedagogicznej. Prawdziwym powodem opóźnienia było jednak to, że Mathinna zapodziewała się gdzieś, ilekroć miała już zostać wywieziona z Flinders Island. W głębi duszy Robinson odczuwał dziwny niepokój i trochę lepiej czuł się sam ze sobą, kiedy nie udawało się jej odnaleźć, w sir Johnie było bowiem coś, czego Protektor, niezmiennie pilny badacz i petent władzy, nie potrafił jakoś ubrać w słowa. Zwrócił się ku modlitwie i Pismu, w którym nie znajdował jednak odpowiedzi, tylko wykrętne usprawiedliwienia transcendencji.

Kiedy jego wymówki stały się już zbyt wątle, by można je podtrzymywać, Mathinna wzmocniła swoje zabiegi o to, by zostać na Flinders Island, i uciekła z dwiema innymi Aborygenkami do kolonii poławiaczy fok na Gun Carriage Island. Jeśli Protektor nie chciał się rozstawać z dzieckiem, o które prosili Franklinowie, jeśli nie udawało mu się znaleźć Mathinny, to zdołał przecież przekonać samego siebie, że nie porzuci małej na pastwę tych szumowin z kolonii

karnej. Nie, mówił sobie, że oddaje dziewczynkę w ręce najpiękniejszych kwiatów Anglii, ludzi powściągliwych, myślących religijnie i wyznających światopogląd naukowy – w ręce kobiety, która wydaje się godną małżonką człowieka uchodzącego za jedną z największych postaci w annałach heroicznej wytrwałości, i w ręce tegoż właśnie bohatera. A ich bezinteresowny cel? Podnieść dzikie dziecko do poziomu cywilizowanej Angielki. Jak mógłby komuś odmówić skorzystania z takiej sposobności?

Wreszcie zamknął Mathinnę na tydzień w pokoju w swoim domu, skonfiskował jej oposa i nie chciał oddać, dopóki nie weszła na pokład małego słupa poławiaczy fok „Cormoranta”. Na pożegnanie dał jej trochę sucharów okrętowych, ale nie został, żeby jej powiedzieć „do widzenia”, tylko wrócił do domu i czytał Pismo Święte, dopóki nie zapadł zmrok, a statek nie skrył się za horyzontem.

„Cormorant” miał takie opóźnienie w podróży, że kapitan wyładował wieziony do Hobart towar w niewielkiej zatoczce u ujścia rzeki Derwent. Doszedł tam do porozumienia z pewnym starym siwym traczem, który zwoził drewno na opał. Z początku człowiek ten nie chciał mieć nic wspólnego z czarnoskórą dziewczynką. Jego brat, pasterz zesłaniec, został zabity dzidą przez Aborygenów, którzy napadli na jego placówkę w czasie wojny z czarnymi. Ale w zamian za pewną liczbę foczych skór – kapitan chciał jak najszybciej wracać na wyspy po więcej – mimo wszystko zgodził się zabrać Mathinnę ze sobą do Hobart Town.

Spojrzał z góry na dziewczynkę i uznał, że przewóz małej nie będzie stanowić dla niego większego problemu niż dostawa worka z sieczką. Sam miał kiedyś córkę, ale pozostał po niej tylko niebieski tatuaż na jego ramieniu. Zauważył wybrzuszenie pod fartuszkim Mathinny, a poniżej guzika na wysokości pasa zwierzęcy ogon. Pochylił się, pociągnął za ten ogon jak za sznurek dzwonka u drzwi i zdumiał się, gdy spod odzienia dziewczynki wysunął się wilgotny nos, a potem dwoje różowych zaspanych oczu.

Podniósł Mathinnę wielkimi, lecz bardzo delikatnymi dłońmi, przypominającymi gniazdo orła bielika zrobione z sękatych gałęzi eukaliptusa. Podtrzymując w uścisku niewielki ciężar dziecka i jego zaufanie, zaczął się obawiać, że nie stać go już więcej na nienawiść.

Podniosła wzrok na twarz tracza. Jedno oko miał martwe i zasnutę bielmem, a jego włosy przypominały dziewczynce matę z wyblakłych igieł kazuaryny. Powoli zakołysał Mathinną w powietrzu, a ona poczuła się bezpieczna z tym starcem. Posadził ją na ławce na swoim wozie, po czym pomimo danej sobie obietnicy znalazł brudny dywanik na palecie i okrył nim jej kolana.

– Garney – powiedział.

Zauważył bose stopy dziewczynki wystające spod wystrzępionego dywanika, sięgnął w dół i uszczypnął ją w duży palec u nogi. Uśmiechnął się.

– Garney Walch.

Mathinna nie widziała wcześniej niczego takiego jak to miasto, wielki chaos białych ludzi o różnych odcieniach skóry, wielkie domy, błoto, łajno i konie – tyle koni! Mijała nowe magazyny, starsze bary i domki biedaków, wałęsające się swobodnie po ulicach świnie i krowy, skutych łańcuchami jak woły mężczyzn w żółto-czarnych łachach i mężczyzn ubranych na czerwono, wspierających się na karabinach; w końcu wjechała na wzgórze do Government House, a wszystko to zrobiło na niej nieprzeparte wrażenie.

Kilka osób tu i tam przystanęło i pokazywało ją palcami, kręcąc głową, jak gdyby ujrzeli ducha.

– Dlaczego, Gunna? – zapytała tracza, którego imienia nie potrafiła poprawnie wymówić.

– No... – odparł Garney Walch, który chciał odpowiedzieć dziewczynce inaczej, ale nie wiedział jak – bo... bo zostaniesz ich nową księżniczką, dlatego.

Kiedy przyjechali do jej nowego domu, skierowano ich na jego tyły, gdzie panowała gorączkowa krzątanina, pod szereg przybudówek służących jako kuchnia, rzeźnia, pralnia, stajnia, chlew i mieszkania dla służby pracującej w takim dużym domu.

– Nie zostawiaj mnie – powiedziała dziewczynka, kiedy Walch podniósł ją z ławeczki.

– To dobrzy ludzie – odrzekł. Ale gdy spróbował postawić ją na ziemi, Mathinna wpiła się w niego rękami i nogami, a opos przebiegł mu po karku. – Najlepsi – powiedział.

Nie wierzył w swoje słowa. Ona też nie. Przywieriała do niego jeszcze mocniej.

– Nie odchodź – powiedziała. Jej kościste ciało przywodziło mu na myśl przerażonego ptaka, który wciskał się w niego rytmicznymi ruchami. A chociaż chciał obejmować i ukoić to coś, co nie miało z nim nic wspólnego, musiał oderwać małą i oposa od siebie i przekazać ich oboje jakiejś niskiej kobiecie z miękkim i dziwnym jak przejrzała morela znamieniem, pokrywającym co najmniej połowę jej twarzy.

Garney Walch szybko odszedł, przeklinając się za to, że czuje się tak nieswojo, a w jego duszy otworzyła się bolesna rana, która jak sądził, dawno się zagoiła.

Kobieta wykąpała Mathinnę w drewnianym końskim poidle, biegnącym wzdłuż stajni na ceglanej podmurówce. Woda była zimna, szczyt góry pokrywał śnieg, a czarnoskóre dziecko irytowało swoim milczeniem rekrutującą się spośród skazańców kobietę.

Potem służąca zabrała dziewczynkę do kuchni i nakarmiła ją flakami i kartoflami. Mała uspokoiła się po jedzeniu. Jej strach zaczął się zmniejszać,

wyczuła, że w tym domu toczy się jakieś życie wewnętrzne, będące źródłem całej energii, niechęci, ukradkowych, osobliwych gestów, szybkich uwag na stronie, stęknień i dziwnego śmiechu; tutaj, co wydało się jej zdumiewające i co zupełnie nie przypominało Wybalenna, ludzie ani na chwilę nie przystawali, nie siadali i nie rozmawiali, tylko krzątali się wokół swoich obowiązków jak mrówki.

Zaprowadzono Mathinnę do jej pokoi. Pierwszy wprawdzie nie miał tapet na ścianach, został jednak świeżo odmalowany i stało w nim kilka mebli: biurko, stół, sztalugi oraz biblioteczka z czytankami dla dzieci i ćwiczeniami z gramatyki, by Mathinna mogła się czymś zająć, kiedy nie będzie miała nic do roboty. Albowiem – jak mówiła lady Jane przy kilku kolejnych obiadach, aż wreszcie znudził się tym nawet sir John i poprosił żonę, żeby znalazła jakiś inny temat – dziewczynka zostanie poddana surowemu reżimowi wychowawczemu. Nie było ani chwili do stracenia, a wszystkie lekkomyślne zachcianki miały zostać podporządkowane dyscyplinie pracowitości.

Drugi pokój był narożny; zachodnie okna wychodziły na wielki lesisty łańcuch górski, na którego scenograficznym tle leżało miasto. Lady Jane bała się, że Mathinnę może dotknąć bolesna tęsknota za życiem w lesie, która, jak słyszała, dotyka wszystkich tubylców więzionych na Flinders Island, kazała więc zabić gwoździami żaluzje w oknach od zachodu, pozostawiając otwarte tylko okno północne, skąd roztaczał się uwznioślający widok na ogródek kuchenny, gdzie ciągle wrzała praca.

Ten pokój stanowił sypialnię Mathinny i zawierał coś, co wydawało się jej trzecim pokojem – była to skomplikowana konstrukcja z kolorowych żagli i drewnianych słupków, tak groźna i tajemnicza, że wzięła ją za jakiś namiot białych, do którego nie wolno jej wchodzić. Dopiero kiedy kobieta o twarzy jak morela westchnęła, wdrapała się na ten stos bawełny, perkalu i drewna i pokazała dziewczynce, do czego to wszystko służy, układając się w głębokich puchowych zagłębieniach i wypowiadając tylko jedno proste słowo: „łóżko”, Mathinna zrozumiała wreszcie, o co chodzi. Wskoczyła na łóżko i bawiła się z oposem, aż wreszcie po południu tego samego dnia służąca o owocowej twarzy wróciła, zastając ich oboje zagubionych w fałdach pościeli, czarnoskórą dziewczynkę i białego oposa; spali.

– Gdzie ona ma buty? – spytała rano lady Jane, kiedy guwernantka Mathinny, Wdowa Munro, zabrała małą na spotkanie z jej nową matką. Wprawdzie dziewczynka była w ciemnoszarej sukience z serży, którą można by określić mianem praktycznej, ale spod jej rąbka wystawały dwie duże, ciemnobrązowe stopy o rozcapierzonych palcach.

– Niech mi pani nie mówi nic o butach! – odpowiedziała guwernantka. – Buty! Równie dobrze można by zapytać węża, dlaczego nie wejdzie z powrotem w swoją skórę.

Niechęć lady Jane do węży graniczyła z fobią. Niemniej było to jej pierwsze spotkanie w roli matki z aborygeńską dziewczynką, a w rozmowach z sir Johnem podkreślała, jakie to ważne, by od początku wyznaczyć obu stronom odpowiednie pozycje. Dlatego chociaż ogarnęła ją nagła chęć, żeby wziąć małą na rękę, usiłowała odzyskać panowanie nad sobą, powracając myślami do tych uwag, które właśnie zamierzała wygłosić.

– Ja w tych sprawach jestem nowoczesna – oświadczyła. – Strój. Moralność. Dusza to najpierw szczegół, na końcu ogólne wrażenie.

– Dygnij przed tą damą – powiedziała guwernantka, która chociaż wyglądała na chudą jak pancrzyk cykady, pchnęła Mathinnę w plecy z siłą godną poganiacza wołów.

– Mężczyzna ma rozum – powiedziała lady Jane, starając się nie zwracać uwagi na guwernantkę – a kobieta wrażliwość. – Stojące przed nią czarne dziecko wydawało się jej równie zagadkowe jak ryś syberyjski lub jaguar z Nowego Świata. – Ale wrażliwość nieoczyszczona przez wychowanie moralne i dyscyplinę umysłową szybko osuwa się w zmysłowość, zmysłowość zaś w nikczemność. Rozumiesz mnie?

Mathinna nie pojmowała ani słowa i nie odpowiedziała.

– Dostałaś je, Mathinno? Obuwie... Dostałaś jakieś porządne buty czy coś w tym rodzaju?

– Przyjechała tutaj z dzikim zwierzakiem i jeszcze gorszą bezczelnością – powiedziała guwernantka. – Nie udało mi się w pełni osłonić jej ciała i nadać temu dziecku choćby trochę przyzwoity wygląd, a co dopiero je obuć.

Kobiety w kolonii skazańców stanowiły rzadkość, a guwernantki były tu niemal nieznanne, toteż Wdowa Munro, niegdyś żona oficera Rum Corps, z początku wydawała się lady Jane darem niebios. Współpraca jednak wcale nie szła im dobrze. Lady Jane parła dalej.

– Program, jaki dla pani opracowałam, kładzie nacisk na naturalne kobiece cnoty wiary, prostoty, dobroci, samopoświęcenia, czułości i skromności. – Lady Jane bardzo pragnęła przytulić małą.

– Podobno oni wszyscy lubią tak chodzić – powiedziała Wdowa Munro. – Po piasku, błocie, gorącej i zimnej ziemi.

Mathinna spojrzała w podłogę. Z jej włosów na nadgarstek lady Jane przeskoczyła pchła.

– Nauczysz się czytać i pisać, gramatyki, arytmetyki...

– I dlatego – przerwała jej Wdowa – nie chcą nosić butów.

– Będzie chodzić w butach i zostanie ucywilizowana – lady Jane zwróciła się do guwernantki z wymuszonym uśmiechem. – Ufam, że dopilnuje pani, aby tak się stało. A teraz słuchaj, Mathinno. Na czym to stanęliśmy...

– Na arytmetyce – odparła Wdowa Munro.

– Tak – ciągnęła lady Jane – i geografii, a potem przejdziesz do wznioślejszych przedmiotów, na przykład do...

Jak bardzo, kontynuując tę swoją ponurą litanie, lady Jane pragnęła wystroić dziewczynkę i przewiązywać jej włosy wstążkami, sprawić, żeby się rozchichotała, robić jej niespodzianki i nucić kołysanki do uszka! Wiedziała jednak, że taka frywolność tylko zniweczy jej eksperyment i szanse małej na przyszłość. Pewnego dnia Mathinna doceni mądrość swojej dobrodziejki. Bo uchybienia niosły ze sobą ryzyko, o jakim lady Jane nie śmiała nawet myśleć: ryzyko porywów serca, które mogłyby namieszać jej w głowie, i porywów ducha, które doprowadzą ją do upadku. Zdając więc sobie sprawę, że tego nie zrobi, że nie wolno jej tego uczynić, pani gubernatorowa mówiła dalej i wymieniała przedmioty, których będzie uczyć się Mathinna.

– ...retoryki i etyki, a także muzyki, rysunków i krawiectwa. Katechizm będzie naszym...

– Szanowna pani – wybuchnęła zniecierpliwiona Wdowa Munro – ta dziewczynka to niewiele więcej niż dzikuska. Sympatyczna, przyznaję...

– Głęboko wierzę w edukację – stwierdziła lady Jane, mierzając Wdowę Munro najgroźniejszym spojrzeniem, na jakie było ją stać.

– Znam swoje obowiązki – odparła guwernantka, która zawsze ufała w swoje metody wychowawcze i choćby z tego, jeśli nie z żadnego innego, powodu była prawdziwym pedagogiem, nie dawała się zatem łatwo zbić z tropu argumentom ignorantów, którzy nie znali się na jej profesji. – Dzicy są od nas głupszy. Mam podręcznik, który opisuje, jak należy uczyć osoby słabe na umyśle, i...

– W żadnym wypadku nie będzie się nim pani posługiwać – powiedziała lady Jane, która wydawała się podkreślać te słowa, głośno uderzając prawą ręką o swoje lewe przedramię, choć chyba tylko zabiła w ten sposób owada, który przed chwilą ją ugryzł. – Będzie traktowana jak wolno urodzona Angielka, bo to również jest częścią mojego eksperymentu.

Następnie lady Jane odprawiła Mathinnę i guwernantkę. Chociaż z pozoru była surowa i zdystansowana, powiedziała sobie, że to, co robi, jest o wiele lepsze dla dziewczynki niż wzięcie jej w ramiona. Przeklinała się w duchu. Nie wierzyła w swoje kłamstwo, w okrutne stłamszenie własnego pragnienia, chociaż miała uwierzyć w nie w przyszłości.

– I już ostatnia sprawa, pani Munro – powiedziała lady Jane, kiedy Wdowa podchodziła do drzwi. – Mathinna zacznie chodzić w butach albo zostanie pani zwolniona.

Przez cały pierwszy rok pobytu Mathinny u Franklinów Government House odwiedzali kolejni szewcy z calówką, kopytem i skórą, bo lady Jane uparła się, by uszyć dziewczynce buty. I przez ten pierwszy rok pod naporem gróźb i upomnień, a także wskutek rozpaczliwego pragnienia samotnego dziecka, które chciało

przypodobać się innym i nikogo nie obrażać, mała Aborygenka nosiła piękne czółenka i szpilki, a także sięgające kostek botki z kozłej skóry. Bolały ją jednak nogi. Kiedy chodziła w butach, czuła się tak, jak gdyby ktoś włożył jej przepaskę na oczy.

Chciała jednak nauczyć się pisać, a lady Jane mówiła, że dostanie pióro, atrament i papier, tylko jeśli będzie chodzić w butach. Czar słowa pisanego nie uszedł uwagi Mathinny. Przyglądała się, jak sir John i lady Jane ślęczą nad zadrapaniami, przypominającymi ślady, jakie zostawiają na piasku siewki, a pokrywającymi te dziwne jakby pudełeczka pełne płatków papieru, które tak uważnie oglądali. Doznawali wtedy silnych emocji, a potem śmiali się, krzywili albo może marzyli. Dziewczynka słuchała muzyki tych zadrapań, kiedy lady Jane czytała na głos poezję, i rozumiała, że mają moc oddziaływania na ludzi, gdy sir John w trakcie cichej lektury podnosił wzrok znad notatek i memorandumów i wydawał polecenia lokajowi. Znaczenie tych znaków było potężne i często nieoczekiwane.

– Czy pisze do mnie Bóg Ojciec? – podniecona Mathinna spytała lady Jane, kiedy w drodze na piknik na plaży w Sandy Bay zobaczyła na piasku ślady mew i przyszło jej do głowy, że może to Towterer chce jej przekazać jakąś wiadomość. Lady Jane roześmiała się, a Mathinna pojęła, że to, co jest napisane w świecie, nie jest ważne, niezwykle istotne jest natomiast to, co zostało napisane na papierze.

Chciała nauczyć się pisać, zgodziła się więc nosić buty, w których była jak ślepa. Próbowwała poruszać się w nich po tym dziwnym świecie po omacku, kierując się innymi zmysłami niż wzrok, choć potykała się, przewracała i ciągle czuła niepewnie, gotowa była jednak zrobić wszystko, by osiąść chociaż trochę owej białej magii papieru i atramentu.

Czasami kiedy leżała samotnie w jednym z dwóch swoich dużych pokoi, bardzo samotna w pustce, która wydawała się jej większa niż gwiazdzista noc, usiłowała rozwiązać zagadkę swoich licznych ojców. Ta zagadka przypominała katechizm: miała sens, jeśli powtarzało się ją odpowiednio długo i nie zadawało żadnych pytań. Był bowiem Bóg Ojciec i Jego Syn, Jezus, również będący kimś w rodzaju ojca; był jednak także Protektor, w którym mieszkał Duch Boga Ojca, i wreszcie sir John, także jej ojciec, nowy – miała więc wielu ojców.

Nie pisała jednak do nich, lecz do Króla Romea, zwanego przez starszyznę Towtererem, który poszedł tam, gdzie wszyscy starzy ludzie, do krainy łowów i lasów, do świata, z którego nikt nie wracał. Mathinna wiedziała, że magia białego papieru dotrze tam do niego i że Towterer zrozumie wszystko, co córka stara się mu przekazać: zrozumie samotność, swoje sny, zadziwienie, radość i długotrwały ból smutku – wszystko, co było zagrożone zniknięciem.

„Kochany ojciec”, pisała.

„Jestem grzeczną dziewczynką. Naprawdę kocham swojego tatę. Mam lalkę

i koszulkę i haleczkę. Czytam książki nie ptaki. Mój ojciec dziękuje ci za sen. Przyjdź tutaj zobaczyć mi mojego ojca. Dziękuję ci za jedzenie. Mam poobcierane nogi i buty i pończochy i jestem bardzo zadowolona. Tyle wielkich statków. Powiedz mojemu ojcu dwa pokoje. Dziękuję ci za miłosierdzie. Proszę cię panie proszę wróć z polowania. Jestem tutaj twoja córka

MATHINNA”

Ten list dodał otuchy lady Jane.

– Postąpiliśmy mądrze – powiedziała do pani Lord, kobiety pospolitej i ordynarnej, która podobno użyła swoich wdzięków, żeby osiągnąć pozycję pierwszej damy wśród wolnych osadników – że wydobyliśmy ją spod zgubnego wpływu wymierających przedstawicieli jej rasy, a potem zapewniliśmy jej najnowocześniejsze wykształcenie, jakie może otrzymać Angielka. A rezultaty – lady Jane nie mogła się powstrzymać, żeby tego nie dodać – zdumiewają wszystkich.

Lecz kiedy Towterer nie przyszedł do Mathinny i nawet nie odpowiedział po jej pierwszym, drugim ani trzecim liście, namiętność dziewczynki do pisania zaczęła słabnąć i przypomniała sobie, jak bardzo bolą ją nogi. A kiedy znalazła wszystkie swoje listy w tej skrzynce z jasnego drewna, schowane pod ludzką czaszką, odczuła nie ból wynikający z oszustwa, którego znaczenia wcześniej w ogóle nie знаła, tylko melancholię rozczarowania. Pisanie i czytanie, jak zdała sobie sprawę, nie istniały magicznie poza ludźmi, lecz były po prostu jakby ich przedłużeniem.

Od tej pory rozmyślała nad naukami Wdowy Munro, tak jak i nad biciem, które regularnie dostawała z jej ręki, doszła bowiem do wniosku, że znalazła się w sytuacji, która jest jak burza: lepiej jej unikać, chociaż pozostaje poza zrozumieniem i cierpieniem. I można było sądzić, że w niekończących się karach Mathinna znajduje tylko dodatkowy powód, aby nauczyć się czegoś jeszcze głębszego i bardziej tajemniczego niż konstrukcje gramatyczne i przykazania religijne, o których teraz kompletnie zapominała i nie dbała już o to, czy zdoła je opanować. Pewnego dnia odłożyła tamborek do haftowania – odarty z kory pień drzewa wiadomości – zdjęła swoje czółenka i wyszła z domu.

Lady Jane znalazła ją, bawiącą się bosą w ogrodzie ze złotoczubą papugą kakadu, którą dziewczynka złapała i oswoiła. Było to zachowanie zasługujące na karę, ale można było je wybaczyć. Zbrodnia małej zbladła w porównaniu z tym, co zrobiła Wdowa Munro, którą przyłapano z otwartymi ustami, zaślinioną, gdy w towarzystwie kucharki piła w kuchni gin z cukrem.

Zaczęli szukać nowych nauczycieli i udało im się znaleźć kilkoro następców Wdowy, jednak nikt nie zagrzał u nich miejsca. Na przykład dawny truciciel, Joseph Pinguid. Przyjechał rozklekotaną dwukółką, na której nie wiadomo jak udało mu się przymocować starą liną wiklinowe krzesło, a tym trudniej było

zrozumieć, jak zdołał na nim usiedzieć. Był pulchnym mężczyzną o rudych bokobrodach, w zniszczonych i o kilka numerów za dużych kaloszach. Jego upadek nastąpił w podobnych okolicznościach jak upadek Wdowy: gdy wsiadał do dwukółki, by po lekcjach pierwszego dnia opuścić Government House, kalosz zsunął mu się z nogi i Pinguid złapał się krzesła, które spadło z palety. A gdy stare krzesło i nowy nauczyciel ciężko runęli na ziemię, z jego wypchanej torby ze skóry diabła tasmańskiego wysunęła się srebrna taca z herbowym godłem Franklinów.

Następny był Karl Grolz, wiedeński nauczyciel muzyki, który umiał grać tylko na wiolonczeli, a potem skazany za niszczenie maszyn Peter Hay, którego Owenowska filozofia i niekończące się odniesienia do Fouriera i Saint-Simona kazały uważać za człowieka być może nieuznającego żadnych intelektualnych granic. Wszystko poszło szybko; nikt z kandydatów nie zrobił na pracodawcach większego wrażenia, tylko jeszcze bardziej zaszkodził eksperymentowi wychowawczemu gubernatorowej, już wtedy przez większość społeczności Ziemi Van Diemena traktowanemu z lekceważeniem, jeśli nie z jawną pogardą. Czyż pani Lord nie pytała, czy Mathinna nie zostanie paziem lady Jane?

– Jak gdyby to dziecko było małpką z Gibraltaru – mówiła ze złością gubernatorowa do swojego męża. – Egzotyczną ozdóbką naszej próżności.

Porzuciwszy nadzieję znalezienia tego, czego szukała na Ziemi Van Diemena, lady Jane dzięki swojej znajomej z Nowej Południowej Walii zgodziła dla małej nowego nauczyciela z Sydney, który dwa miesiące później, gorącego marcowego poranka, przyплыł statkiem do Hobart. Pan Francis Lazaretto mierzył sześć stóp i cztery cale wzrostu – był wysokim, szczupłym mężczyzną z burzą siwych włosów, sterczących nad jego trójkątną twarzą jak pędzel. Miał na sobie płaszcz, który kiedyś może wyglądał olśniewająco, ale teraz, połatany kawałkami brudnej flaneli, sprawiał wrażenie tak samo zmęczonego jak jego właściciel. Lazaretto wyglądał na tyle ponuro, że sir John kazał sobie podać szklaneczkę brandy, aby dojść do siebie po ich pierwszym spotkaniu, chociaż to nie było w jego stylu, zwłaszcza o tak wczesnej porze.

– Mój Boże, nie zatrudniłbym go nawet w charakterze nagrobka – powiedział, opróżniając szklankę jednym haustem.

Jak zauważyła jednak lady Jane, na wyspie na końcu świata, gdzie drzewa zrzucają korę zamiast liści, gdzie żyją ptaki większe od ludzi i gdzie ona i jej mąż zostali oskarżeni o przekształcenie kloaki w perfumierię, muszą sobie radzić z tym, co dostają tu do dyspozycji.

– Skoro ręka garncarza ześlizgnęła się z gliny, którą dla nas kształtował – zauważyła – to nie mamy wyboru, jak tylko pić z jego nieforemnych naczyń najlepiej, jak umiemy.

Nieponosząca ciężaru wychowania własnych dzieci lady Jane żywiła wyjątkowo stanowcze i nieugięte przekonanie na temat charakteru i konieczności

kształcenia cudzego potomstwa. I z przyjemnością zobaczyła we Francisie Lazarecie zwierciadło, w którym odbijały się po prostu odwrócone obrazy jej niewzruszonych poglądów. Jego chorobliwie smutny wygląd, jak teraz rozumiała, stanowił jedynie maskę dla niespodziewanie intensywnych uczuć.

Francisowi Lazarettowi nie udało się zrealizować swojego życiowego marzenia, aby zostać mimem, lecz jego długotrwałe studia nad duchem absurdu nie pozostały bez pewnych dobrych skutków. Odważył się wciągnąć lady Jane w dyskusję pedagogiczną, zdejmując z jej półki bibliotecznej egzemplarz *Emila Rousseau* i wymachując tą książką na poparcie swojej tezy, że pomysły pani gubernatorowej stworzą młodą kobietę, która okaże się całkowicie nieprzygotowana do życia we współczesnym świecie. Może Lazaretto nie miał poza tym żadnej wiedzy, rozumiał jednak wartość dobrze wykorzystanego i przekonująco zademonstrowanego rekwizytu.

– Znaczący przedmiot są zgodni – użył najślynniejszego wówczas argumentu na rzecz nowoczesnej edukacji niczym egzorcysta Pisma Świętego – że zawsze należy dostrzegać tę różnicę: kobietę kształci się po to, by można było nią rządzić, pani sugestie doprowadzą natomiast do absurdu, stworzą bowiem kobietę, która będzie jak mężczyzna, czyli zdolna stanowić sama o sobie.

Chociaż lady Jane raczej nie zgadzała się z tym rozróżnieniem, przekonało ją ono, jak nieocenioną wartość ma Francis Lazaretto. To, co w innym mężczyźnie wydałoby się jej niemal obłąkańcze, w nim było urzekające.

– To, kim i jacy jesteśmy, panie Lazaretto, dobrzy czy źli, pożyteczni czy bezużyteczni, w dziewięciu dziesiątych, chyba zgodzi się pan ze mną, jest wynikiem naszego wychowania, prawda?

Lazaretto, który pokazał jej sfałszowany list od rektora Magdalen College, dowodzący bez najmniejszych wątpliwości, że przez dwa lata studiował w Oksfordzie filologię klasyczną, w rzeczywistości miał do czynienia z wykształceniem tylko przez cztery lata, i to ograniczonym do wkuwania wszystkiego na pamięć, oraz niemal nieograniczoną przemocą w pewnej podejrzanej szkole z internatem w Yorkshire. W rezultacie uważał swoje życiowe osiągnięcia za w znacznej mierze sukces własnych rąk i wcale się nie zgadzał z lady Jane. Bo czy zgodziłby się z nią jakikolwiek mężczyzna, który wszystko w życiu zawdzięczał wyłącznie sobie? Ale czy jakikolwiek mężczyzna na dorobku nie przyznałby racji swojej chlebodawczyni, pomijając te kwestie, w których jego sprzeciw czyniłby go w cudzych oczach istotą wartościową oraz niezależną?

– Oczywiście, szanowna pani – odparł.

Czując, że dzięki wcześniejszemu sprzeciwowi wystarczająco potwierdził swoje dobre intencje, Lazaretto odłożył na bok Rousseau i własne opinie, po czym odwołał się do świętego Tomasza z Akwinu, aby poprzeć argumenty lady Jane i podważyć swoje, cytując ten wielki autorytet kościelny, który twierdził, że

wszyscy ludzie są po urodzeniu niczym czysta tablica, na której nic nie zostało jeszcze zapisane.

– Otóż to – powiedziała lady Jane, z przyjemnością dowiadując się, że nieśmiertelni dzielają jej przekonania. – Dystans między dzikością i cywilizacją mierzy się tym, do jakiego stopnia potrafimy kontrolować nasze najpodlejsze instynkty. A droga prowadząca do cywilizacji to, jak zamierzam wykazać, oświecone kształcenie.

Sir John był mniej niż pewien co do tego, co nazywał u Lazaretta „przymilną postawą aspiranta marynarki handlowej”, lady Jane traktowała jednak brak entuzjazmu męża jako zazdrość człowieka niewykształconego w prowadzeniu poważnych dyskusji.

– Mamy szczęście, że na tej zapomnianej przez Boga i ludzi wyspie-więzieniu udało nam się znaleźć kogoś, kto pojmuje wagę i konieczność naszego eksperymentu – powiedziała mężowi, kiedy lokaj skazaniec rozpalił w koksowniku ogień z suchego krowiego łajna, żeby odstraszyć komary. Rzednące włosy męża irytowały lady Jane ponad wszystko, a ich białe kosmyki przypominały w jej oczach pajęczynę i budziły w niej obrzydzenie, dostrzegła w nich bowiem zapowiedź własnej zbliżającej się starości, a wraz z nią ową paskudną klatkę, w której są zamykane wszystkie stare kobiety. Sir John przyklepał włosy do czaszki czarną pomadą, która w upalne dni znaczyła mu czoło krzyżującymi się ciemnymi, tłustymi zaciekami.

– Bóg nie mógł nam okazać większej łaski – stwierdziła zimno gubernatorowa.

Widząc w przekształceniu dzikusa w istotę cywilizowaną moment, w którym jego los – żalony, odkąd został skazany na zesłanie na podstawie fałszywego oskarżenia pewnego sklepikarza – może zostać na zawsze połączony z najszlachetniejszymi dziejami nauki i chrześcijaństwa, Francis Lazaretto podszedł początkowo do swojego zadania ze szczerym zapałem i opracował pełny program nauczania łaciny, greki oraz retoryki, zaczynając każdy dzień od szczegółowej lektury Pisma i na niej kończąc. W zgodzie z najnowszymi prądami myślowymi kładł szczególny nacisk na umiejętność czytania i pisania, choć takie lekkomyślne błahostki jak powieści były zabronione, a dla etycznego zbudowania Mathinny sprowadzano z Sydney szeroki wybór podręczników do gramatyki moralnej.

Lady Jane była publicznie zachwycona, prywatnie zaś onieśmielona programem nauczania Francis Lazaretta, który zaprezentował go jej w starannie poliniowanym zeszycie, na każdej lewej stronie odnotowując w kolumnach kolejny tydzień lekcji, modlitwy, stopnie i zachowanie dziewczynki, a każdą prawą pozostawiając pustą, by zapisywać tam uwagi dotyczące postępów Mathinny w nauce. Program nie dopuszczał możliwości zmian, a tym bardziej niepowodzenia.

– Ja bym tego nie wytrzymał... – stwierdził sir John, ale widząc, że jego żona zaciska wąskie usta, mruknął szybko: – Chociaż dziecko to jest tabula rasa, a nie nadgryziona przez mole książka.

Sala przeznaczona na klasę wychodziła na zatokę i miała duże okna, żeby było widniej, co ułatwiało czytanie. Okna zawsze jednak skłaniały Lazaretta do wyglądania na świat i jaskrawe słońce odbijane w ciągnącym się dalej morzu; nauczyciel Mathinny oddawał się bowiem swym maniom i obsesjom, które zdawała się uruchamiać pogoda – upał napełniał go euforią, chłody przywodziły go zaś do melancholii. Gdy poznał gubernatora i jego małżonkę, było gorąco, potem jednak pogoda się zmieniła i kiedy wielki eksperyment lady Jane wreszcie ruszył z miejsca jak należy, góra za miastem stała się stalowoszara, zwieńczona obłokiem śniegu.

Gdy słońce na wodzie zniknęło, a morze przybrało kolor skotłowanego ołowiu, Francis Lazaretto przekonał się, że nie ma serca do tego wszystkiego. Zdał sobie sprawę, że to bezcelowe. Bezcelowe i bez znaczenia, jak wszystko w jego życiu.

Zaczął się drugi tydzień jego pracy i wkrótce potem Lazaretto zapłakał. Siedział i tylko wpatrywał się w szarą chmurę. Dziewczynka wydawała się rozumieć, kiedy opowiadał jej o swoim bólu. Zdał sobie sprawę, że Mathinna rozumie wiele rzeczy, opowiadał jej więc o swoim życiu i kobietach, które znał, a także o tym, że to wszystko też jest bez znaczenia i bezcelowe. Dziewczynka nauczyła go pewnego tańca, o którym mówiła, że jest tańcem kolczatki, jak również kilku słów w swoim ojczystym języku.

W trzecim tygodniu nauki chmury się rozplynęły i humor Lazaretta zdecydowanie się poprawił. Znowu odczuł potrzebę zaszczepienia w małej łacińskich deklinacji i greckich koniugacji, było już jednak za późno. Mathinna polubiła swojego nauczyciela, a jego zmartwienia przybrały teraz zupełnie inny charakter. Pewnego dnia lady Jane weszła do klasy i zastała ich oboje bawiących się z papugą dziewczynki. Wymyślili coś w rodzaju gry w piłkę i rywalizowali z ptakiem o orzech włoski, który papuga toczyła przed sobą dziobem.

– Pan Lazaretto wcale nie być panem Lazaretto – powiedziała Mathinna po drugim miesiącu nauki. – On Jezus Chrystus i posłano go między nas, żeby...

– Kim jest pan Lazaretto?

– On zbawiciel, psze pani – odpowiedziała Mathinna, która uznała katechizm swojego nauczyciela za bardziej nadzwyczajny i z pewnością dostarczający jej więcej rozrywki niż jakikolwiek inny, który dotąd słyszała. – Nas wszystkich. On mówić, że inni tego nie widzieć, tak jak nie widzieć węży, latających nocami nad Hobart Town, i nietoperzy pod naszymi nogami za dnia. On mówić, że jak Bóg być mi nieznany, tak on być nieznany białym, ale że to się zmienić w najbliższą Wielkanoc, pani.

Wyszło na jaw, że Francis Lazaretto nigdy nie był prawdziwym nauczycielem, chociaż pracował kiedyś jako instruktor tańca. Nie licząc aktorstwa, nie miał zdolności do niczego poza grą na akordeonie i „ciotką Sally”, grą polegającą na przewracaniu kręgli długimi, zakrzywionymi kijami, której nauczył Mathinnę.

Lady Jane nie pogodziła się z tym, że porażka, jaką poniosła w eksperymencie z Mathinną, unieważnia jej teorie. Przeciwnie, zdaniem gubernatorowej dobitnie wykazywała ich słusność: najwyraźniej mała za dużo przeżyła przed osiągnięciem siódmego roku życia i teraz należy zerwać wszystkie więzy, które zdążyła wytworzyć ze światem od dnia swoich narodzin. Tylko w ten sposób możliwa będzie zmiana na lepsze. Teraz, powiedziała sir Johnowi małżonka, najwyraźniej trzeba zbudować świat, który korzystnie ukształtuje dziewczynce najwcześniejsze wrażenia – dzieci od urodzenia powinny oddychać świeżym powietrzem cywilizacji, nie cuchnącymi miazmatami lasów.

Kiedy na wyspę dotarł wreszcie projekt gliptoteki, lady Jane kupiła kilkaset akrów ziemi na północny zachód od Hobart, w Kangaroo Valley, gdzie zamierzała zbudować swoją świątynię sztuki. Miała jej ona pomóc zrehabilitować, jak powiedziała mężowi, pustych i lekkomyślnych mieszkańców kolonii. Będzie to miejsce badań nad historią naturalną, które pokaże, jak odpowiednio rozumiana sztuka, wyrażona w najbardziej klasyczny sposób przez dwadzieścia cztery gipsowe kopie rzeźb paryskich, może pomóc duszy w przejściu od prymitywnych namiętności do cywilizowanego rozumu. W ten sposób lady Jane nigdy całkowicie nie porzuciła swoich planów co do rozwoju Mathinny, lecz używała ich jako argumentów uzasadniających nowe projekty.

Tymczasem nierzucająca się w oczy, czarująca dziewczynka dorastała, migając się od lekcji, bo Francis Lazaretto i ona doszli do, z jej punktu widzenia absolutnie dopuszczalnego, kompromisu, na mocy którego rankiem się bawili, popołudnia zaś Mathinna miała wolne i mogła robić, co chciała. W pewien letni dzień sir John poszedł pod wieczór z Montague'em do ogrodów Government House zaczerpnąć trochę powietrza, a kiedy podniósł głowę w trakcie rozmowy o nie najlepiej idącej budowie nowego nabrzeża, zobaczył małą Aborygenkę w czerwonej sukience.

Choć po przyjeździe do Hobart Mathinna szybko dostała wiele ubrań różnych krojów i kolorów, preferowała czerwień, czego można było się spodziewać. Nic nie przypadło jej do gustu tak jak czerwona sukienka, którą lady Jane sama nosiła w dzieciństwie i którą podarowała Mathinnie w pierwszą rocznicę jej przyjazdu. Była zapinana na ramionach na guziki, przepasana aksamitnym czarnym paskiem, uszyta z najłżejszego jedwabiu, miała krótkie rękawy i prosty, wysoki stan, który zyskał popularność po rewolucji francuskiej, kiedy każdy nieco bardziej wyrafinowany strój uznawano za przejaw arystokratycznej dekadencji.

Na końcu głównej ścieżki Mathinna bawiła się ze swoją papugą, spryskując jej dziwnie rozpostarte skrzydła wodą, kiedy ptak stąpał wokół fontanny dumnie jak stary pijak. Papuga się kołysała, a dziewczynka tańczyła jakiś dziwny taniec, w którym jej ciało chwilami wydawało się pływać. Kiedy podeszli bliżej, sir John zdał sobie sprawę, że mała śpiewa w swoim dziwnym, ale niezwykle melodyjnym języku.

Aż do tego dnia właściwie nie zauważał Mathinny, uznając ją za jeszcze jeden przypadek w bardzo długim szeregu egzaltowanych wyskoków swojej żony, który najlepiej jest znosić jak wiatr i śnieg, w milczeniu i stoicko. Tamtego dnia zobaczył ją jak gdyby po raz pierwszy. Dopiero teraz, kiedy się do niej zbliżali, sir John spostrzegł jej oczy, o których mówiło już tak wiele osób, największe i najciemniejsze, jakie tylko można sobie wyobrazić. I chociaż można było zobaczyć te oczy jedynie od czasu do czasu, wyłącznie po odpowiedniej zachęcie i upomnieniach, zrozumiał, dlaczego wszyscy tak je podziwiają. Dziewczynka nauczyła się dziwnej sztuki kokieterii, którą uważała po prostu za coś w rodzaju kolejnego zwierzęcego tańca.

Dopiero teraz, gdy minęli ją i poszli dalej, sir John pojął, że Mathinna, jak imponująco ujął to Montague – który początkowo na pewno nie należał do jej wielbicieli – jest najpiękniejszą dzikuską, jaką w życiu widział. Jednak to nie jej uroda – ani nubijska, ani lewantyńska, tylko jakaś pośrednia – oczarowała na początku sir Johna. Chodziło o sposób, w jaki dziewczynka się do niego uśmiechała.

To prawda, jak powiedział do lady Jane przy obiedzie, że „kontrast owej dzikiej urody z cywilizowanym strojem epoki oświecenia” wydał mu się rozkoszny, ale nagły, nieoczekiwany, krótki błysk jej zębów rozbroił go zupełnie. Błysk zębów, wir czerwieni, kałuża oka, taniec stóp. Sir John był już wszędzie – nigdzie jednak nie widział nikogo podobnego do tej dziewczynki. Poczuł się tak, jak gdyby dopiero co zbudził się ze snu.

W dniu otwarcia gliptoteki lady Jane podniosła wzrok na dziką górę i jej ośnieżony, zagubiony we mgle szczyt, a potem spojrzała znów na grecką świątynię z piaskowca, która stała teraz u wylotu malowniczej lesistej doliny. Pomyślała, że kiedyś może bawił tutaj Zeus, który zmieniał się w każde zwierzę, w jakie tylko zechciał – w byka, kozła, łabędzia – żeby zniemacka osiąść kolejną śmiertelniczkę lub boginię. W tym momencie przez świątynię przebiegł kangur, sadząc wysokimi susami. Kiedy jego podskakująca i opadająca sylwetka połączyła korynckie kolumny u wejścia do świątyni zamaszystymi powietrznymi łukami, lady Jane zaczęła się śmiać ze swojej absurdalnej fantasmagorii.

Mathinna pozostawała z lady Jane i jej urzędowym orszakiem, ale status dziewczynki się zmieniał. W coraz mniejszym stopniu uważano ją za adoptowaną córkę Franklinów, a w coraz większym za jakieś inne stworzenie, które traktowano

podobnie jak kilka innych domowych zwierzątek w Government House – oposa albinosa, papugę Mathinny, wombata – czyli jak egzotyczny obiekt zabawy i rozrywki.

Sir John szukał małej i kazał jej śpiewać piosenki w jej ojczystym języku; potem, gdy poznał ją lepiej, kazał dziewczynce tańczyć taniec kangura, oposa, kolczatki i emu, najbardziej jednak lubił taniec czarnego łabędzia, w którym wyginała się daleko do tyłu, składając niczym scyzoryk i wysuwając gwałtownie ramiona w przód i w bok, jak gdyby wzlatywała w powietrze.

Ci, którzy chcieli wejść w krąg towarzyski Franklinów, musieli zaakceptować Mathinnę, a także zarzekać się, że są nią rozbawieni i oczarowani. Cieszyła ją jej pozycja, wymagająca od wszystkich głębokich ukłonów, i teraz, jeśli nie spełniali jej kaprysów, karciała służących, którym dawniej nie śmiała nawet spojrzeć w oczy.

I kiedy w dniu otwarcia Ancanthe, jak nazwano gliptotekę, papuga Mathinny przysiadła na ramieniu Montague'a i pozostawiła po sobie wilgotne białe odchody, które spłynęły po jego czarnym surducie, nawet zapewnienia sir Johna, że takie wydarzenia przynoszą szczęście, nie zagłuszyły śmiechu czarnoskórej dziewczynki, tak chrapliwego i nieokiełznanego, że zaraziła nim wszystkich zgromadzonych.

Upokorzony Montague szepnął swojej małżonce, że dziewczynka nie zachowuje się jak dama, ale jak wariatka, po czym wskazał na ziemię oraz palce bosych stóp Mathinny, na przemian wysuwające się z błota i w nim kryjące.

– Przypominają ohydne larwy albo robale – zadrwił Montague. – Jak gdyby ziemia i brud były rozkoszą.

Im bardziej Mathinna przestawała być tym, czego oczekiwali Franklinowie, i stawała się sobą, tym bardziej gubernator ją lubił. Był zafascynowany tym „leśnym duszkiem”, jak nazywał małą, zarówno ze względu na jej żywy charakter, jak i szczególną umiejętność pojawiania się znikąd i zaskakiwania ludzi, zwłaszcza lady Jane, która z początku uważała tę cechę za zabawną, potem nieco niepokojącą, a wreszcie niesłychanie irytującą – bo co właściwie ta dziewczynka słyszy i widzi? Co ta uśmiechnięta czarna enigma wie i co sobie myśli?

Lady Jane czuła czasem, jak coś się owija wokół niej, a gdy spuszczała wzrok, widziała dwoje czarnych ramion wokół swoich bioder. Odwracała się i odchodziła, a Mathinna, wyczuwając, że to jest taka zabawa, dopadała lady Jane w dwóch skokach i z okrzykiem radości znów obejmowała ją za nogi. Gubernatorowa czuła wtedy jej zapach: dziki, niebezpieczny, psi zapach dziecka. Znowu odpychała dziewczynkę, ale ta z uporem wyciągała ręce, starając się uchwycić jedno z osłoniętych spódnicą ud przybranej matki.

– Proszę cię, Mathinno – odzywała się cicho lady Jane, ściskając ją mocno za nadgarstek. – Proszę. Nie lubię tego.

Sir John, jak twierdził, również tego nie lubił, w tajemnicy zaczął jednak pragnąć takiego dotyku i ciepła. Uwielbiał patrzeć, jak Mathinna się rusza – była taka szybka i żywa. Przyglądał się jej jak urzeczonej, kiedy pewnego popołudnia zastawiła pułapkę na rojnie dokuczające portowemu miastu mewy; była to prosta konstrukcja, kawałek chleba na długim sznurku, który dziewczynka z nieskończoną cierpliwością przyciągała w stronę kopczyka z pokręconych gałązek i kory. Chowała się za nim, po czym w odpowiedniej chwili jednym błyskawicznym ruchem łapała ptaka. Spędził resztę dnia, towarzysząc małej w tej zabawie, aż wreszcie udało mu się zwabić mewę, był jednak zbyt niemrawy i ptak wzbił się w powietrze, a Mathinna zaczęła się śmiać, jeszcze zanim sir John, który się przewrócił, dotknął ziemi.

Nie potrafił zapomnieć tego śmiechu. Wyliczał pod nosem wszystkie punkty kompasu, recytując w odpowiedniej kolejności katechizm marynarza: „Północ... Północ ku wschodowi... Północny wschód ku północy”, trzydzieści dwa punkty układu, który wywoływał przytulną, domową pewność z oceanicznej pustki. „Północny wschód... Północny wschód ku wschodowi... Wschodni północny wschód” – mruczał do siebie, żeby zapomnieć o urzekającym brzmieniu śmiechu dziewczynki.

Ale sir John znalazł się teraz na południe od urojonej północy i każdy punkt kompasu służył mu tylko do tego, by jeszcze bardziej skupić swoje myśli wokół Mathinny. Bez względu na to, czy podążał na zachód ku północnemu zachodowi, czy na południe ku południowemu wschodowi, dziewczynka była wszędzie. Zaczął się uciekać do nazywania wiatrów i miejsc ich pochodzenia, ale i to nic nie pomogło, bo lady Jane uparła się, że Mathinna powinna nosić dzwonek przywiązany do nadgarstka, aby jej opiekunowie wiedzieli, gdzie jest, i żeby nie napędzała strachu gubernatorowej ani żadnemu z wielu dygnitarzy odwiedzających Government House; by można było mieć pewność, że „to puste czarne naczynie”, jak zaczęła ją nazywać, „nie napełni się więcej żadną nierozwagą”. I teraz już sama nazwa, jak „sirocco z południowego wschodu” czy „mistral z północnego zachodu”, wystarczyła, aby uszy sir Johna wypełnił łaskotliwy odgłos dzwonka.

– Czyż oni nie widzą – syknął Montague do żony – że nierozwagą, o której mówi lady Jane, jest sama dziewczynka?

Nie minęło wiele czasu, nim nowo wywołane zainteresowanie sir Johna adoptowaną córką zaczęło przynosić skutki. Coraz częściej miał dosyć codziennej monotonii porannych spotkań rady wykonawczej, niekończących się i męczących rozmów z niezliczonymi petentami po lunchu, podpisywania protokołów, dyktowania memorandów, poleceń, zapytań i prowadzenia inspekcji, nie wspominając już o cowieczornych towarzyskich koszmarach, jak zasiadanie do kolacji z jego zdaniem najnudniejszymi na świecie ludźmi, z których nie umiał wyobrazić sobie nikogo, kto byłby dość inteligentny i zręczny, żeby schwytać

mewę, i którzy co do jednego postanowili nie zdradzać żadnych ludzkich uczuć przed człowiekiem, będącym pod każdym względem jak ich król. Wykonywał swoje obowiązki, ale jego dawniej nieugięta dbałość o szczegóły zniknęła. Zaczynał żyć w dwóch światach, choć liczył się dla niego tylko jeden.

Sir John grał z Mathinną w „ciotkę Sally”, toczył orzech z papugą i dołączał do śpiewania piosenek, których nauczył dziewczynkę Francis Lazaretto. Z nią mógł robić wszystko, czego nie mógł robić jako gubernator, rzeczy zwyczajne, proste i przyjemne. Robiąc je, mógł z kolei powiedzieć coś głupiego albo naiwnego, albo jak to się często zdarzało, coś głupiego i naiwnego jednocześnie, i nie ponosić z tego powodu żadnych konsekwencji. Wyczuwał, że przy tej aborygeńskiej dziewczynce może być sobą.

Były też jednak inne konsekwencje. Nawet sir Johna niepokoiło to, że mięknie i staje się bardziej świadomy cudzych cierpień i pragnień, co doprowadziło go do kilku aktów miłosierdzia, uznanych za przejaw głupoty, a co gorsza, słabości. Ułaskawił pięciu skazańców, przez dwa lata wycinających drogę, którą on i lady Jane podróżowali na południowy zachód. I postanowił ograniczyć stosowanie chłosty.

– Ten człowiek w ogóle nie rozumie, na czym polega władza – zwierzył się Montague sędziemu Pedderowi, tasując karty przed ich cotygodniową partią pikiety.

Sir John nie przywykł do ucies, więc starając się usprawiedliwić je jako obowiązek, powtarzał zarówno sobie, jak i innym, że jest to niewątpliwie najważniejszy eksperyment dla przyszłości kolonii. Ale jedną z największych atrakcji, jakie stanowiła Mathinna dla sir Johna, było to, że kiedy znajdował się w jej towarzystwie, ani trochę nie dbał o eksperyment, kolonię czy przyszłość Ziemi Van Diemena. Rozkoszował się w sekrecie tym, czym stało się jego życie: kilkoma kradzionymi chwilami z dzieckiem, zastępującymi mu niekończący się świat fantazji sprawowania władzy w kolonii, w którym coraz częściej żył już tylko jak w skorupie. Ponieważ pozbył się własnego zdania, ambicji i zainteresowań, a jego żona nadal je miała, zrezygnował z odpowiedzialności, a nawet zaczął otwarcie zasięgać zdania lady Jane i natychmiast realizować jej rady, bez dyskusji czy też entuzjazmu, bo jego uszy zawsze czekały tylko na brzęk dzwoneczka na ręce Mathinny.

– Dlaczego do tego dopuściłeś? – pytał Montague, zaniepokojony, że gubernator daje swoim wrogom wszystkie argumenty, jakich potrzebowali.

– A dlaczego nie? – odpowiadał sir John. I śmiał się, bo widział przez okno, jak Mathinna bawi się z oposem, który szeroko otwierał oczy, by lepiej widzieć w nocy, kiedy najchętniej włóczył się po okolicy, i miał w tej chwili tak samo zdumioną minę jak Montague.

Sir John odziedziczył sekretarza po swoim poprzedniku, gubernatorze

Arthurze. Montague odegrał cichą, lecz zasadniczą rolę w burzliwych dziejach kolonii, w której wybuchały wojny z bandyckimi gangami i Aborygenami, gdzie skazańców traktowano okrutnie jak niewolników i gdzie krążyły mityczne opowieści o aktach kanibalizmu wśród mieszkańców oraz o postanowieniu poprzednika Franklina, aby powiesić tylu ludzi, ilu będzie trzeba, dopiero wtedy bowiem zrozumieją, że mogą mieć nadzieję na wszystko z wyjątkiem nadziei. Montague pojmował władzę jako sferę konieczności, nie pretekst do wyjazdów na plenerowe akwarelowe wycieczki malarskie, Franklinami gardził zaś nade wszystko za ich naiwność.

– Ktoś to musi robić – ciągnął sir John – a moja żona chce. – I znowu się roześmiał, ponieważ zrozumiał, że Montague nie widzi, jak trywialne i bezsensowne jest rządy czymś lub kimś. Sir John wiedział, że jest nieostrożny, lecz jego pogarda dla władzy była tak absolutna, że nie przyszło mu do głowy, by mogło nieść to jakieś konsekwencje.

– Władza ma i taki aspekt – zwrócił się sędzia Pedder do Montague'a, kiedy ten mu o tym opowiedział. – Jest królestwem zapomnienia. – Zgłosił sekwens, zdobył sześćdziesiąt punktów i wygrał rozdanie.

Mimo wszystko sir John czasami się wstydził, a jako człowiek pobożny prosił Boga w modlitwach, żeby go prowadził w swojej mądrości. Wydawało mu się, że jest kimś, o kim coraz częściej szeptali koloniści: bezużytecznym, grubym, zakochanym w dziecku staruchem. Starął się skupić na czymkolwiek, byle nie na tej małej Aborygence. Ale tylko wspomnienie jej śmiechu i swobodnych ruchów przywracało gubernatorowi poczucie młodości i życiowego celu, i nikt nie był bardziej zadziwiony zagadką swojego życia niż sam sir John. Gdy rano spotykał Mathinnę, znów opowiadał jej o wielkich lądach polarnych, o nieskończonym lodzie i zamrzniętych światłach, a jego serce ponownie rozpalalo wyjątkowo grzeszne pożądanie.

– Władzę można jednak utrzymać tylko wtedy, kiedy nie przebaczasz niczego i pamiętasz wszystko – powiedział Montague do sędziego Peddera, odkładając karty i wręczając mu projekt kilku nowych reform karnych, o których wspomniał rankiem sir John, mówiąc, że chce je wdrożyć. Projekt został spisany ręką lady Jane. Obaj mężczyźni, którzy przetrzymali nieznośne intrygi więziennego dziedzińca, przekształconego w salon towarzyski, i długo utrzymywali się na swoich stanowiskach, starannie przeczytali jednak ten dokument, zdecydowanie zamierzali bowiem zachować życie i władzę jeszcze przez dłuższy czas.

Sir John był bezradny. Nie potrafił się powstrzymać. Ten uśmiech, ten śmiech, sposób, w jaki ciągnęła go za rękę, by zwrócić na nią uwagę, szarpała go za nogawkę spodni, opierając się i ocierając o niego jak o słup, sposób, w jaki... – aż zadrżał na to wspomnienie. Tyle wrażeń zmysłowych i nazbyt wiele wspomnień, oczywiście niewinnych – coś jednak kazało mu wypędzić je z pamięci. To ten jej

dotyk, pomyślał poruszony tak bardzo, jak kiedy dotykała go palcami, ręką. Jej ciało dotykające jego ciała.

Nade wszystko lubiła smażony, rozpuszczony ser. Sir John smarował masłem przygotowane dla niej grzanki, a potem uważnie wpatrywał się w łapczywe usteczka Mathinny, kiedy jej głodne wargi powlekał żółty tłuszcz. Po jedzeniu od razu szukała papugi, żeby się z nią bawić – a jeśli nie mogła znaleźć ptaka, prosiła sir Johna, żeby jej towarzyszył, on zaś zawsze się godził, wierny jak mały piesek, bojaźliwy jak opos i z pewnością grzeczniejszy niż papuga, czasem onieśmielony, czasami zawiedziony, zawsze jednak posłuszny.

Niekiedy zakradał się do jej sypialni tylko po to, żeby patrzeć, jak śpi – zupełnie inaczej niż lady Jane, która przypominała starego rżęzącego psa w porównaniu z tym anielskim dzieckiem, właściwie niewydającym z siebie nawet szeptu. Przebiegał go dreszcz na widok ciemnego puchu na jej odsłoniętym przedramieniu, a kiedy pochylał się nad nią ze świecą w dłoni, by lepiej się przyjrzeć dziewczynce, miał ochotę całować jej oczy i usta. Po chwili jednak, przerażony swoim zauroczonym sercem, prostował się gwałtownie i wychodził.

Był oczarowany i jak wszyscy oczarowani mężczyźni pragnął znajdować się jak najbliżej swojej czarodziejki, manewrował więc i kombinował tak, aby tę bliskość osiągnąć. Jeżeli uważał, że jest coś złego, a nawet perwersyjnego w jego rosnącej namiętności do Mathinny, to w żaden sposób tego nie okazywał. Przeciwnie, brnął dalej, zmuszał wszystkich w Government House, żeby się unosili nad tym cudownym eksperymentem, prowadzonym z tak energiczną radością, wciągał w tę historię miejscowe elity, polecając im klaskać, kiedy dziewczynka wchodziła do pokoju, i kazał machać na powitanie całemu Hobart Town, gdy mała Aborygenka siedziała koło niego w gubernatorskim powozie, przejeżdżając przez miasto.

Kiedy padał śnieg, zabierał ją na sanki na niższe zbocza góry, gdzie polecił skazańcom wytyczyć tor zjazdowy; ależ Mathinna piszczała, zjeżdżając tamtędy na sankach zrobionych specjalnie dla niej z polecenia sir Johna! Jeśli świeciło słońce, brał ją na łódź żaglową w szerokie ujście rzeki Derwent, pływanie jednak raczej ją nudziło. A kiedy opos zniknął i nic nie przynosiło dziewczynce pocieszenia, gubernator osobiście zanosił jej smażony ser i nie mógł pojąć, co się dzieje, kiedy rzucała talerzem o ścianę. Nie powiedziała mu, że gdy zwierzak nie wrócił z nocnej włóczędzy o świcie do jej łóżka, poszła go szukać i znalazła w końcu jednego z używanych do polowania na kangury psów Montague'a, miażdżącego obdartego ze skóry oposa w zaślinionej paszczy.

Na pociechę dostała wombata i konia i życie toczyło się dalej. Jeździli na pikniki, grali w „ciotkę Sally”, a kiedy lady Jane zaoponowała, że to nieodparcie mieszczańska zabawa, sir John nauczył Mathinnę grać w cribbage, nie w calabresellę, ulubioną grę karcianą lady Jane – dla trzech osób – która jej

zdaniem cieszyła się popularnością wśród duchowieństwa na Półwyspie Apenińskim. Odparował wtedy, że jeśli miałby nauczyć małą jakiejś gry, będzie to gra angielska.

Ale kraj pochodzenia takiej czy innej gry pozostawał bez znaczenia dla Mathinny, która po prostu uwielbiała skoczny taniec oznaczających zdobyte punkty pałeczek na specjalnej tablicy i nazywała cribbage „kangurzą grą”. Nad tymi skaczącymi pałeczkami dało się słyszeć czknięcia, śmiech, westchnienia, kichnięcia, chichoty, postękiwania i piski. Z czasem przybyły dyskusje, opinie i uwagi. Potem przyszły dąsy, spory, milczenie, zazdrość i konflikty woli, za które sir John usiłował przeproszać ciastem owocowym, wycieczkami za miasto i kolejnymi porcjami smażonego sera.

Mathinna wydawała się dojrzewać w absurdalnie przyspieszonym tempie; miała dziewięć lat, gdy zauważył, jak się rozwija pod dziewiczo białą jedwabną regencyjną sukienką o wysokim stanie i niskim kołnierzyku. Gdy skończyła lat dziesięć, pojawił się zarys pęczniejących piersi i wtedy zmieniła się też jej postawa – dziewczynka zmadrzała i, jak mu się wydawało w chwilach większego przygnębienia, stała się przebieglejsza, a także bardziej atrakcyjna, jak gdyby piersi i uroda były ze sobą związane, jakby nowa nieśmiałość i nowa pewność siebie Mathinny były jednym i tym samym, jak gdyby nowe pragnienie prywatności i zdobywania nowych doświadczeń życiowych w pewien sposób były w niej jednością, sir John zaś postanowił stać się jej niepodzielną częścią.

Bardzo drobna, chociaż obdarzona dużą głową, Mathinna poruszała się z wdziękiem tasmańskiego kota tygrysięgo, jak zauważył sir John, w nagłych podskokach i przywodzących na myśl rosyjski balet zrywach, a w swojej fizycznej naturalności wydawała się mu ideałem, jak gdyby była już w pełni uformowana, dorosła w wieku zaledwie dziesięciu lat, i jakby życie nie miało jej już pozwolić na wiele więcej.

Lady Jane nie mogła nic na to poradzić – drażniła ją myśl, że będzie musiała popłynąć na statek na mokrym i zalewanym przez fale tenderze wyłącznie po to, aby zaznać trochę wieczornej rozrywki. Lubiła wprawdzie atmosferę przygody, ale nawet najmniejsza zmiana w jej codziennych zwyczajach zawsze tylko ją irytowała. Dlatego ilekroć wyjeżdżała w podróż do jakiegoś nowego świata, upierała się, by zabrać ze sobą stary. Dlatego wzięła czterdzieści osiem pudeł z kapeluszami na słynną wędrówkę przez samo serce południowo-zachodniej części Ziemi Van Diemena, w trakcie której przez nieznaną dżunglę niosło ją w palankinie z ciemnego drewna czterech bosonogich skazańców – i dlatego nie była w odpowiednim nastroju, by cieszyć się tym wyrafinowanym przebraniem, w którym właśnie pokazał się jej mąż, gotowy na wielki bal kostiumowy na odpływających na Antarktykę statkach ekspedycyjnych, HMS „Erebus” i HMS „Terror” – sir John stał bowiem przed nią, choć trudno w to uwierzyć,

przebrany za czarnego łabędzia.

Zauważyła, że zrobił się niezwykle ożywiony i absolutnie nieznośny, odkąd statki przyplęły tu jesienią, zdążając w rejon bieguna południowego. W dniu, kiedy przybiły do brzegu, sir John odwiedził je, a po obowiązkowych uroczystościach i inspekcjach zabrano go do kabiny nawigacyjnej „Erebusa”, służącej także jako kantyna dla oficerów.

Na długim wąskim stole gubernator zobaczył zwinięte mapy, sekstans, kompas, kikuty sfatygowanych ołówków i otwartą butelkę swojego ulubionego alkoholu, madery, co obudziło od dawna uspioną w nim chęć powrotu do wypraw badawczych. Kapitanowie Crozier i Ross bardzo się ucieszyli, mogąc poznać sławnego polarnika, a z kolei sir Johnowi zrobiło się bardzo przyjemnie i nie posiadał się z radości, ponieważ, jak się wyraził, jest w otoczeniu rodziny, przez którą rozumiał podróżników z Royal Navy – chociaż lady Jane wkrótce zaczęła myśleć, że oba te statki są raczej zakładem zamkniętym dla osób społecznie nieprzystosowanych. Trzej polarnicy szybko zawarli morską przyjaźń (składały się na nią: specyficzny język, pasja podróżnicza oraz gwałtowne poklepywania i poszturchiwania na śródokręciu), z której lady Jane czuła się wyłączona i która wydawała się jej niestęchanie nudna.

Pili za angielskie męstwo i angielski geniusz, za przyszłe angielskie odkrycia, nie wypowiadając dzielonej przez wszystkich nadziei, że wkrótce i oni staną się częścią wspaniałej angielskiej historii. Osuszywszy drugą szklaneczkę madery i szybko doszedłszy do piątej, sir John poczuł się lekko. Pomyślał o tym, jak bardzo chciałby zostawić tę żalną kolonię, uciec od jej trującej polityki i wielkich ambicji żony i jeszcze raz znaleźć się w białej pustce ziem polarnych, gdzie wybory i wymagania były proste: zbadać, nanieść na mapę, przeżyć, wrócić. Zimno, głód, śmierć, ryzyko – wszystko to nie wydawało się powodem do zmartwienia czy strachu, lecz było źródłem dumy, chodziło bowiem o rzeczy, których doświadczył i które przewyciężył jedynie on i kilku innych wybrańców.

No i Crozier!

– Cóż to za wspaniały mężczyzna! – powiedział później sir Franklin do lady Jane. – Podobno najprzystojniejszy w Royal Navy! – Nie dodał, że w obliczu takiej fizycznej wspaniałości czuje się nieswój, gruby i niezdamy, chociaż zarazem lepiej: bardziej męski, wyższy i odważniejszy niż w innym towarzystwie. – Wiele dam uważa – dodał z konfidencyjnym przydechem – że jest podobny do Byrona.

– Byłby do niego podobny, tylko gdyby zamienił swój wzrost na talent – parsknęła lady Jane, którą wysoki Crozier deprimował. Wprawdzie kapitan roztaczał wokół siebie pewną tępą zmysłowość, co lady Jane kojarzyło się z siedzeniem obok mokrego psa myśliwskiego, nie widziała jednak ani śladu jakiegokolwiek rozwiązłości czy przywary na tej pustej, majaczącej wysoko nad nią twarzy. Chociaż nigdy by się do tego nie przyznała, w duchu zawsze właściwie

zazdrościła Byronowi daru rozpasania. To nie miało jednak nic do rzeczy. Crozier, kiedy zaczynało się z nim rozmawiać, był po prostu nieprawdopodobnie nudny.

Dlatego pani gubernatorowa nie okazała szczególnego zachwytu, kiedy to, co miało być tylko postojem dla uzupełnienia zapasów i dokonania napraw, trwającym kilka tygodni, przedłużyło się do kilku miesięcy, po czym stało się jasne, że zaraz przyjdzie zima i że ten wilczarz pozostanie wśród nich, członkowie wyprawy postanowili bowiem spędzić zimę w Hobart, zamiast ryzykować życie, zapuszczając się w długą antarktyczną noc.

Opóźnienie cieszyło jednak sir Johna. Przygotował dla Rossa, Croziera i ich załóg wiele rozrywek, podróży, przyjęć oraz projektów naukowych. Aprowizację statków nadzorował osobiście, aby mieć pewność, że ekspedycja nie zostanie oszukana pod względem jakości i ilości prowiantu, zapraszał oficerów na polowanie na emu i kangury, zbudował obserwatorium, by pomóc marynarzom w przepatrywaniu nieba, i otworzył podwoje wszystkich instytucji, zakładów i urzędów w kolonii, by mogli z nich korzystać ku swemu pożytkowi. Podróżnicy, obok Mathinny, byli jego wielką namiętnością.

W rewanżu za taką gościnność Ross i Crozier przed znacznie opóźnionym wiosennym odjazdem urządzili bal na „Erebusie”. Pozostawali pod wrażeniem cudownych zwierząt, które tu widzieli i do których strzelali, jego tematem przewodnim miało więc być bestiarium.

Stojący przed lady Jane sir John, przystrojony w skomplikowaną płataninę drutów i piór i trzymający w ręku maskę, widział, że ten bal cieszy go o wiele bardziej niż żonę, spróbował więc poprawić trochę jej humor.

– Ależ nawet Napoleon kazał zrobić dla Józefiny zagłówek z wypchanego czarnego łabędzia z Ziemi Van Diemena – powiedział, chociaż już kiedy wypowiadał te słowa, zdał sobie sprawę, że lady Jane jest jeszcze bardziej zirytowana tym, ile zachodu kosztowało go przygotowanie tego wykwintnego głupstwa, czyli czarnych skrzydeł. Jej kostium był nieskończenie prostszy, a jego prostota, jak uważała gubernatorowa, była bardziej stosowna, zważywszy ich pozycję społeczną. Zamierzała włożyć maseczkę lisa, którą kazała sobie uszyć przed wielu laty, jadąc do Wenecji.

– Byłem na tyle prózny – dodał nieco urażony sir John – by sądzić, że mój kostium ci się spodoba. To wyśmienita robota.

Znalazł krawca, łączącego wrażliwość wypychacza zwierząt z Maison Verreaux z umiejętnościami najlepszego stylisty: był to skazaniec, zesłany za bestialstwo – o tym szczególnie gubernator postanowił jednak nie informować żony – i to właśnie on stworzył te ciemne, na wpół rozpostarte skrzydła, dzięki którym wydawało się, że sir John w każdej chwili może wzbić się w powietrze. Wypychacz przesycił swoje dzieło nie tylko rozkoszą płynącą z możliwości osiągnięcia nieba, ale i nieomylnymi aluzjami do bardziej przyziemnych

przyjemności. Ogromne skrzydła potężnego czarnego ptaka wysuwały się do przodu i w bok, jak gdyby pragnąc po raz pierwszy zagarnąć powietrze, przez co ciało sir Johna, zazwyczaj przywodzące na myśl tylko odprężenie, wyglądało tak, jakby jego mięśnie już się napinały, aby za chwilę zwiotczeć w chwili cudownej ulgi.

– Wyglądasz jak kompletny idiota – oświadczyła lady Jane.

Zarówno „Terror”, jak i „Erebus” zostały wspaniale udekorowane z okazji balu. Na burtach statków powieszono siedemset luster, przeznaczonych na wymianę z tubylcami, których podróżnicy mogli napotkać w rejonie bieguna południowego, dlatego blask chińskich lampionów, zdobiących pokład i maszty, odbijał się w całym porcie.

Wszyscy byli podekscytowani i powtarzali w kółko to samo – jaki to będzie wspaniały bal – a Mathinna, która w swojej ulubionej czerwonej sukni i masce walabii wyglądała olśniewająco, szła za rękę z sir Johnem, ubranym poważnie w mundur marynarski. Jedynym ustępstwem ze strony gubernatora na rzecz motywu balu była maseczka czarnego łabędzia, którą ku jego irytacji Mathinna próbowała mu ściągnąć i wrzucić do zatoki.

Weszli po kładce na statek i dalej, na wyższy pokład „Erebusa”, który na tę noc miał się zamienić w salę balową, mijali bukiety miejscowych polnych kwiatów, olbrzymie paprocie i niezgrabnych lokajów w za ciasnych albo zbyt luźnych liberjach, sługusów, którzy pragnęli tego, co miała już Mathinna – żeby być w centrum wydarzeń. Nie wiedziała o tym, ale wyczuwała to w sposobie, w jaki wszyscy ci mężczyźni i kobiety w przebraniach dziwnych zwierząt – dziobaków, gryfów, centaurów, jednorożców i wombatów – pochylają się i usiłują zwrócić na siebie jej uwagę, chcą, żeby ich zauważyła, żeby coś powiedziała, ona jednak tylko się uśmiechała; i ten uśmiech działał, uszczęśliwiał sir Johna i panią, podtrzymywał jakąś więź pomiędzy nią i nimi. Kątem oka widziała, jak inni goście poprawiają kostiumy – tutaj z szelestem, tam z westchnieniem – przed wielkim lustrem na podeście prowadzącym na pokład dziobowy. Wokół Mathinny szybowały komplementy, gorzkie uwagi na stronie, bezsensowne słowa.

– Nasza księżniczka dzikiej głuszy! – westchnął jakiś wilk.

Przez cały tydzień uczyła się kadryla.

– Najśłodsza dzikuska! – powiedział niedźwiedź.

Mathinna wysunęła lewą nogę w tył, w bok i z powrotem, po czym podniosła prawą rękę, by podać ją partnerowi, raz-dwa-trzy-cztery, skupiając się na tym, żeby pamiętać, co należy zrobić na początku tańca, pięć-sześć-siedem, i na razie szła dalej, uśmiechając się na prawo i lewo.

– Nie potrafię powiedzieć, co się stało z ich pięknymi wioskami – mówił tygrys. – Zapewne i je zmiotły z powierzchni ziemi racje oświecenia.

Nie rozumiała nic z tych komentarzy na swój temat, poza tym, że chociaż

kolor jej skóry czynił ją wyjątkową, to w pewien sposób także ustanawiał ją nie tylko kimś niegodziwym, ale chodzącą pomyłką. Było to niepojęte, bo pamiętała przecież wszystkie kroki.

– Nie przybyliśmy tu dla towarzystwa i cywilizacji. Przyjechaliśmy po to, po co przyjeżdża na tę wyspę każdy, kto nie jest skazańcem: dla pieniędzy.

Zagrała orkiestra wojskowa, a nadzwyczajne wydarzenie, jakim był bal, dziwnie przypominało Mathinnie wieczory przy ognisku w Wybalenna, toteż zachwyty i podniecenie, które ścisnęły ją w dołku, wydawały się jej dziwnie znajome i przyjemne.

– Wyczuwałem, i to od dłuższego czasu, że dobre intencje zawsze będą prowadziły do dobrych uczynków, a prawda zwycięży wszystko. No ale nie muszę ci mówić, że takie przekonania nie ostaną się długo na Ziemi Van Diemena.

Chociaż Mathinna prawie nic z tego wszystkiego nie pojmowała, pozwoliła się zagarnąć zapachom, widokom, głosom i muzyce, starając się pamiętać, jak się liczy rytm i ile akordów powinno wybrzmieć, zanim będzie musiała się odwrócić. Odmawiała jednak wszystkim zaproszeniom do tańca. Tym, którzy ją prosili, mówiła, że czeka na kadryla. Ten taniec ćwiczyła, kochała – inne znała tylko trochę, za słabo, by wejść na parkiet, bała się bowiem, że będzie na nim wyglądać niezgrabnie i głupio.

Tańczono kotyliona, potem walca, następnie szkocki reel. Tancerze trzęśli się i podskakiwali; niektórzy, choć nieliczni, tańczyli w bardziej nowoczesny, stateczniejszy sposób, Mathinna jednak nadal odmawiała wszelkim prośbom, by wkroczyć na część pokładu wyznaczoną jako parkiet taneczny, i opierała się o główny maszt, obserwując, czując, jak rosną w niej emocje, słuchając muzyki oraz strzępów rozmów, podczas gdy jej prawa noga kręciła się to w tę, to w tamtą stronę w zwojach liny.

– Czyżbyśmy już nie byli waszą ekscelencją, tylko samym Zeusem? – spytała dosyć śmiało młoda córka pani Lord, gdy tańczył z nią sir John, którego łabędzia maska zatrzęsła się wesoło, a twarz poniżej dzioba zmarszczyła ze śmiechu.

W miarę upływu czasu tańce stały się coraz bardziej ożywione i emocjonujące. Od czasu do czasu z oddali nadpływał jakiś głos, przekrzykujący coraz bardziej zdeterminowane wysiłki orkiestry wojskowej, coraz bardziej gorączkowe odgłosy wielu poruszających się ludzi i szuranie butów. Mathinna wypełniała się muzyką, początkowo odczuwając silne pragnienie wspólnoty, przenikające wszystkich na parkiecie, a potem stała się świadoma tylko własnego ciała, jego pamięci i pragnień przepelniających ją tak, że nieomal się z niej wylewały.

W końcu kierownik orkiestry zapowiedział kadryla.

Kiedy Mathinna przyjęła dłoń sir Johna i weszła z nim na parkiet z trzema

innymi parami, rozległy się uprzejme brawa. Było jej gorąco, ciężko oddychała, lecz gdy zagrała orkiestra, dziewczynce wydało się, że jest w centrum świata. Mgliście zdawała sobie sprawę z wyrazów zdziwienia wobec jej umiejętności tanecznych i kolejne kroki stawiała coraz pewniej. Kiedy para prowadząca taniec – pani Lord i kapitan Crozier – wykonała następny zestaw figur, Mathinna, sir John i pozostali tancerze powtórzyli je. Napięcie rosło, a Mathinna zaczęła wprowadzać drobne zmiany w swoich ruchach, które stały się szybsze, odważniejsze.

Dumna ze swoich umiejętności pani Lord zrezygnowała z prostych kroków, którymi do tej pory prowadziła taniec, i zaczęła skomplikowaną sekwencję wymagającą dość gwałtownego drobienia. Kapitan Crozier wyglądał na zdumionego i chociaż był dobrym tancerzem, z trudem dotrzymywał kroku partnerce. Aborygeńska dziewczynka powtarzała jednak kroki pani Lord doskonale, a potem przy narastających brawach oczarowała wszystkich oryginalną pracą nóg i skrętami ciała, i nawet pani Lord zatrzymała się na chwilę, żeby się roześmiać i klasnąć w dłoń.

Mathinna była już tak rozemocjonowana i czuła się tak swobodnie, jak gdyby turlała się w chmurach. Zdawało się, że zbliża się do jakiejś prawdy o sobie, a ludzie właśnie za to ją oklaskiwali. Ktoś powiedział w tej chwili, że z plemienia, które zamieszkało w osadzie pana Robinsona, pozostało mniej niż siedemdziesiąt osób, ale statek unosił się wraz z dziewczynką, która wyczuwała, jak wiatr podrzuca ją w górę i opuszcza. Jej ruchy nie przypominały już kroków, podskoków czy ślizgów, bo kierowało nią coś magicznego, co zawładnęło jej ciałem.

W czasie ożywionego finału Mathinna zrozumiała, że nie trzyma już sir Johna za ręce i nie drecze krok w krok ze swoim partnerem, co tak cierpliwie ćwiczyła, ale porusza się w rytm czegoś znacznie bardziej fundamentalnego i zakorzenionego w niej głębiej niż reguły taneczne opracowane piętnaście lat wcześniej w Paryżu.

Policzki jej płonęły, ciało zostało wyzwolone, a umysł dziewczynki nigdy jeszcze nie uwolnił się do tego stopnia z czegoś, co – jak zrozumiała – było dziwną mgłą, zalegającą nad nim, odkąd sięgała pamięcią. Nie wyczuwała jednak dziwnego pęknięcia, które wywoływała jej osoba w atmosferze tego wieczoru. Jej oczy nigdy nie wydawały się tak bystre, nigdy nie widziały i nie poznawały wszystkiego w taki sposób jak teraz – a mimo to nie zauważała westchnień, kręcenia głową, gniewnych i ponurych spojrzeń, kiedy wciąż wirowała, potem zaś podskoczyła, albowiem wyczuła pod nogami nie wosk, którym wysmarowano dębowy pokład, lecz ziemię wyspy Van Diemena. Dwoma zręcznymi ruchami rzuciła buty i stała się kangurem, który całkowicie znieruchomiał, jeśli nie liczyć obracającego się łebka, raz, drugi, potem przytup, dwa skoki – i Mathinna pofrunęła.

Wszyscy przestali tańczyć i patrzyli. Co, na Boga, wyprawia to dziecko?

Kim jest ta dzikuska? Dlaczego pozwala się jej przebywać dalej na parkiecie?

Orkiestra przestała grać.

Lady Jane przypomniała sobie, jak pewnego razu powiedziała, że ciało Mathinny myśli. I patrząc ze zdumieniem na dziewczynkę, która tańczyła w jakimś nieznanym barbarzyńskim rytuale, zaczęła się zastanawiać, co ona, na Boga, myśli właśnie w tej chwili.

Mathinna przeczuwała, że ma tylko tę chwilę na pokładzie, żeby wyjaśnić, kim jest – nikt jednak nie miał się tego dowiedzieć, nawet ona sama, bo ludzie otaczali ją coraz ciasniejszym kręgiem. Próbowwała tańczyć dalej, ale ktoś krzyczał; coś było nie w porządku, bardzo nie w porządku. Zakręciło się jej w głowie, statek wirował coraz szybciej, a ona już nie skakała i nie fruwała, tylko spadała, i wyciągały się do niej ręce, białe ręce, ręce w rękawiczkach strasznych jak te łańchany, w które odziewa się zmarłych – czy to znaczy, że umiera? Niczego nie była pewna. Chciała zapytać, ale zabrakło jej słów, musiała jednak wiedzieć: czy to Rowra?

Zbudziła się z ciężkiego, rwanego snu, wyczuwając nad sobą czyjąś obecność. Otworzyła oczy i natychmiast zdjęło ją przerażenie. Majaczył nad nią dziób olbrzymiego czarnego łabędzia. Wiedziała, że jej życie dobiegło końca.

– Rowra – szepnęła.

Kiedy zemdląca, Crozier zaniósł dziewczynkę w swoich wielkich ramionach do kajuty kapitańskiej, pomieszczenia niewiele dłuższego i szerszego niż koja, na której ją złożył i na której właśnie się ocknęła.

– Co? – spytał sir John.

Dziecko nie odezwało się już ani słowem.

W oddali trwał bal, orkiestra znowu grała.

Był wszystkim i wszystko było nim. Patrząc na Mathinnę, na jej drobnutkie ciało, obnażone czarne kostki, brudne małe stopy i znaczące wgłębienie w czerwonej sukience między chudymi nogami, sir John poczuł dreszcz.

Którego nie zaznał potem już nigdy więcej.

Pewnego zimnego poranka, trzeciego dnia prób w Haymarket, w połowie sceny, w której Ellen Ternan, grająca Rose Ebsworth, zostaje uściskana przez swoją pogrążoną w rozpacz przyjaciółkę Clare Burnham, graną przez jej siostrę Marię, Ellen nagle wyszła z roli, wyrwała się z objęć siostry i zawołała:

– Proszę cię, Maisy, uważaj, bo inaczej wymażesz mnie całą pasztetem ze szpaka!

Dickens po raz pierwszy widział spontaniczny występ Ellen Ternan. Wprawdzie trochę go rozbawiła i zaintrygowała, był jednak zmęczony i stracił po prostu cierpliwość, tej kwestii nie było bowiem w tekście sztuki.

– Niech panią diabli wezmą, panno Ternan! – odezwał się ostro, podnosząc tekst dramatu niczym świętą księgę. – Zostało nam dziesięć dni... Co pani wyprawia?

W odpowiedzi Ellen nie bez wahania sięgnęła pod płaszcz i wyciągnęła stamtąd lśniącego czarnego ptaszka. Zakwilił.

– One świetnie naśladowują różne głosy, proszę pana – odparła, niepewna, co jeszcze powinna powiedzieć, trzymając szpaka w splecionych dłoniach, jak gdyby składała ofiarę.

– Ona zawsze próbuje ratować zdychające ptaki – powiedziała Maria. – Tego znalazła przed wejściem do Haymarket.

– Wydawało mi się, że ma trochę złamane skrzydło, panie Dickens – powiedziała Ellen Ternan. – I pomyślałam, że powinnam go ogrzać.

– Trochę? – odezwał się Dickens. – No to powinniśmy dziękować Bogu, że nie bardzo.

Wyciągnął rękę, by dosięgnąć ucichłej już kuleczki lśniącego pierza, którą trzymała Ellen.

– „Nauczę szpaka jedyne słowa...” – powiedział cicho, wycofując się w deklamację i jednocześnie wciskając palec najpierw pod jedno, a potem pod drugie szpaczę skrzydło, powoli kolejno rozkładając oba i badając ptaszka. – „Mortimer! Potem pošlę mu go w darze...”.

Dickens podniósł wzrok i po raz pierwszy spojrzął Ellen w oczy. Zdumiał się. Nie ze względu na ich kolor, którego potem nie mógł sobie przypomnieć.

– „Aby...” – powtórzył, gubiąc się i jękając. – „Aby...”.

– „Aby mu ciągle gniew jego odświeżał” – uzupełniła Ellen Ternan.

– *Henryk IV*⁴¹ – powiedział zaintrygowany Dickens.

– Hotspur – uśmiechnęła się Ellen, która twórczość Barda знаła jak własną kieszeń.

Dickens przypatrywał się jej przez chwilę. Wspomnienia tej chwili nie

potrafił później ubrać w żadne słowa.

– Ludzie zapominają, że Szekspir był najpierw aktorem – odezwał się w końcu, kiedy przestraszony tymi jej oczami, opuścił znów spojrzenie na trzymanego w dłoniach ptaszka. – A dopiero potem pisarzem. Oto sekret jego geniuszu. Nie miał poczucia siebie i istniał tylko dzięki temu, że naśladował innych.

No proszę, pomyślał dziwnie wstrząśnięty pisarz: zdradziłem wam swoją tajemnicę. Pogłaskał ptaka i poczuł, że obaj są jak sparaliżowani ze strachu. On, który bez wysiłku imponował niezliczonym tysiącom widzów i czytelników, zachowywał się nieporadnie i niezdarnie, próbując nawiązać rozmowę z młodą kobietą, jeszcze prawie dzieckiem, ona natomiast poczuła się ośmielona.

– Orzeł dla cesarza – powiedziała Ellen, kontynuując zabawę w cytaty. – Pustułka dla łotra^[5], a... – urwała. Gdy Dickens podniósł głowę po raz drugi, ośmieliła się spojrzeć mu prosto w twarz. – A szpak – uśmiechnęła się – jako naśladowca dla pisarza.

Odwrócił się, nieco oszołomiony. Spostrzegł niewielkie sosnowe pudełeczko używane jako rekwizyt i podniósł je, chociażby tylko po to, by zamaskować ogarniające go nagle zdenerwowanie. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę, wymościł nią pudełko, a potem złożył rannego szpaka w jej fałdkach.

Wieczorem, gdy jechał powozem na obiad z Catherine, położył rękę wysoko na jej okrytym spódnicą udzie. Odwróciła się, zmierzyła go dziwnym spojrzeniem, a potem odsunęła nogę.

W czasie prób, które jeszcze im zostały w ostatnich dwóch tygodniach, Dickens spędzał coraz więcej czasu w towarzystwie Ellen Ternan. Trudniej było mu znaleźć się z nią sam na sam, ale wykorzystywał chwile, kiedy nie było przy niej nikogo innego, by pojawić się niespodziewanie i wpaść na nią niby przez przypadek. Ellen uważała go za uprzejmego, zawsze był pomocny i wesoły, a ona nigdy się nie zastanawiała, dlaczego nieustannie szuka jej towarzystwa.

Dickens z kolei uważał ją za zabawną i energiczną; pozostawał pod urokiem jej silnego charakteru, który tak ewidentnie irytował matkę Ellen. Szczere sądy i opinie, w które mocno wierzyła, oraz jej zainteresowanie literaturą, teatrem i polityką, wydawały mu się uzdrawiające po manifestacjach niezaprzeczalnej ignorancji, głupoty i nadąsanego milczenia ze strony Catherine. Zauważył, że Ellen też potrafi być dziecinna, drażliwa i uparta, że jej uczucia i pomysły bywają płytkie i głupie, ale to, co irytowało go w małżonce, zachwycało go w Ellen, której wybaczał to, czym nie mógł się zachwycać, bo czyż takie drobiazgi mogły mieć jakieś znaczenie? I ani przez chwilę nie myślał, do czego może doprowadzić jego zachowanie – dopóki nie żywił żadnych świadomych zamiarów, miał pewność, że nie zrobi nic złego.

Świat Dickensa był jak pod napięciem. To przez tę sztukę, mówił

przyjaciołom, ponieważ przekonał sam siebie, że to prawda – chodziło o działalność dobroczynną, o pomoc dla innych połączoną z radością podciągnięcia przedstawienia na znacznie wyższy poziom, niż się spodziewał. A przyjaciele zachwycali się, że pisarz odzyskał energię, że poświęca tyle czasu i uwagi każdemu aspektowi wskrzeszonej sztuki, a zwłaszcza że tak pieczołowicie prowadzi próby. Kiedy pod koniec pierwszego tygodnia pracy nad spektaklem szpak zniknął, ponieważ zapewne wrócił do sił i odleciał, Dickens nie mógł pozbyć się przeczucia, że jest w tym znaku coś ozdrowieńczego.

Gniewał go jednak jawny brak dobrej woli, który okazywała wobec przedstawienia jego żona.

– Po co marnować tyle czasu na coś, co świetnie się wcześniej sprawdzało? – spytała pewnego ranka. Stała przed nim w jego gabinecie, trzymając wazon z kwiatami. – Popatrz. Begonie, dalie i wszystkie te piękne rośliny jednoroczne na twoje biurko. – Kiedy nie podniósł wzroku, odezwała się znowu, nieoczekiwanie zimno: – Te panie Ternan... Jeśli są z nich takie dobre aktorki, to dlaczego zadajesz sobie tyle trudu, żeby odbywać z nimi tak wiele prób?

Gdy Catherine podeszła bliżej, by postawić wazon na biurku, plecy, które dokuczały jej od dnia wydania na świat drugiej córki, przeszył ostry ból. Potknęła się i upuściła wazon, kwiaty wypadły, a woda zalała równiutko ułożony stos zapisanych kartek.

Dickens zerwał się i odskoczył od zbierającej się kałuży wody. Gorączkowo starając się uratować rękopis, mruknął pod nosem, że Catherine nawet nie potrafi odpowiednio dbać o dom i że nie powinna mu się dziwić, że wstydzi się zabierać ją między ludzi.

Tylko że ty nie urodziłaś dziesięciorga dzieci, chciała odpowiedzieć, niezgrabnie odzyskując równowagę. Nie wiesz, jaki to ma wpływ na człowieka. Stajesz się ociężała, masz problemy z pamięcią i utrzymaniem moczu, bolą cię plecy. Nie powiedziała jednak żadnej z tych rzeczy.

– Przepraszam, Charles – odezwała się drżącym głosem. – Naprawdę bardzo przepraszam.

I przepraszała go dalej, wycierając biurko swoją krynoliną, a Dickens potrząsał jakąś zmoczoną książką, która wcześniej leżała przed nim otwarta. Zapytał Catherine, czy naprawdę jest aż taka głupia. Odpowiedziała, że nie. Ową zalaną książką okazały się dzieje rewolucji francuskiej pióra Thomasa Carlyle'a z osobistą dedykacją dla Dickensa od wielkiego historyka. Catherine wiedziała, że mąż nieustannie nad nią ślęczy i że kiedyś powiedział jakiemuś ich gościowi, że czytał ją pięćset razy. Stała w bezruchu, nie wiedząc, co robić. Nic z tego nie rozumiała. Przecież on na tę książkę na pewno nie może już patrzeć.

Jej myśli zdawały się skręcać w coś tak bolesnego, że musiała uderzyć się pięścią w czoło, by bezskutecznie spróbować na nowo nastawić straszliwy

mechanizm swojego życia. Patrzyła bez słowa, jak mąż dzwoni na służącą, by przyszła do gabinetu i posprzątała, a potem chwyta płaszcz i wypada przez drzwi jak bomba.

Uświadomiła sobie, że nigdy go nie rozumiała. Nie dało się go powstrzymać, nie można było mu się sprzeciwić, nagiął świat do własnych planów i marzeń z taką samą pewnością, jak postaci ze swoich książek. Catherine wiedziała, że dlatego przypada jej rola grubej, beznadziejnej gospodyni domowej, histeryczki, kaleki, więdźmy i megieri.

Jednak czy w każdej książce, przemowie i wypowiedzi Dickens nie mówił, że liczą się tylko rodzina i ognisko domowe? I czy ona nie nadwerężała swego ciała, dając mu dzieci i starając mu się przypodobać? Czy go nie kochała i czy w jego książkach taka miłość zawsze nie triumfuje? Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego we własnym domu jej mąż zaczął pogardzać taką miłością jako głupią.

Wróciwszy do zbierania rozsypanych kwiatów, pojęła wreszcie, że jest wytworem jego wyobraźni, tak samo jak każda z tych rozmazanych kartek na jego biurku i każde z tych nudnych stworzeń uchodzących w powieściach Dickensa za kobiety. Uczynił ją głupią. Uczynił z niej nudną kobietę z własnych książek; w swojej słabości, uległości i nudzie stała się bohaterką jego literatury.

Dopiero teraz, gdy przeżył z nią jakiś czas, taka kobieta przestała mu się podobać i chciał, żeby zniknęła. A Catherine wiedziała, że dzięki swojej inteligencji i zdolnościom językowym mąż zrobi z niej kogoś innego, używając przy tym okrutnych nazwisk i przydomków, i że ona dla świata stanie się wtedy po prostu idiotką bez serca. Bo świat, wiedziała o tym, jest taki, jak chce Charles. Nie miała się jak bronić.

Próbowała na nowo ułożyć kwiaty. Ostróżki, dalie, chabry, groszek pachnący, begonie i lyszczec. Godziła się posłusznie na wszystko – na porośnięty bluszczem przytulny stary dom, na hordeę dzieci, służące, które musiały być zabawne, na to, że Charles opowiadał światu w swoich artykułach i przemowach o ich zachwycających świętach Bożego Narodzenia i niekończących się żartach w czasie wystawnych obiadów dla licznych gości. Nadziewała baraninę ostrygami, pilnowała, by szkocka zupa porowa została przyrządzona tak, jak on lubi, żeby krokiety z kurczaka przygotowano z wyobraźnią i żeby ostre gołębie łapki sterczały z zapiekanki idealnie prosto jak zimowe brzozy. Grała z biesiadnikami we wszystkie gry, opowiadała zagadki i wykonywała żabie skoki. A mimo to, choć zaznała w małżeństwie wiele dobrego, od dawna wylewało się z niej znacznie więcej żalu.

Przypomniała sobie, jak zaledwie dzień wcześniej Dickens powiedział, że ona buntuje dzieci przeciwko niemu. Mówił strasznie niegodziwe rzeczy: że nigdy o nie nie dbała jak należy, że cierpi na chorobę umysłową. Wiedziała, że jest głupia, bolały ją plecy, miała złamane serce. Choć bardzo się starała, kwiaty nie

układały się w żaden ładny wzór, a tymczasem świat kręcił się wokół niej w okrutnym wirze.

Trzasnęły frontowe drzwi i do gabinetu weszła Katy, zastając matkę samą; w pokoju była już tylko ona i wazon z kwietnym bezładem. Catherine wyglądała na wpół obłąkaną; dyszała, jak gdyby się dusiła. Nie zwracając uwagi na córkę, udało jej się wydobyć z wypełniającej ją pustki straszliwy dźwięk, nie głos kobiety, lecz o wiele od niej starszy dźwięk samotności. Krzyknęła nagle, jak gdyby ukradziono jej coś bezcennego:

– To boli!

A potem już milczała.

Tego wieczoru Dickens późno przyszedł do łóżka i przez jakiś czas leżał na wznak. Nie dotykali się. Kiedy Catherine niemal zapadła w sen, zaczęła go gładzić powoli, prawie z roztargnieniem rozpinając swoją koszulę nocną. Wyciągnęła do niego rękę. Przyciągnęła jego głowę do swoich piersi. Poczul zapach olejku lawendowego, którym skrapiała się każdego wieczoru. Nie wyczuła jego łez. Wspominał słowa Dantona: „Rewolucji nie robi się wodą różaną”.

Ruszyli z chrzęstem, rykiem i stukotem, stopniowo oddalając się od miasta. Najpierw zapuścili się pomiędzy domy mieszkalne, napęlniając ulice szumem, potem wypadli na łąki, rwąc po wilgotnej ziemi, huczeli w ciemności i ciężkim powietrzu, po czym wypadli znów w słoneczny dzień, bardzo jasny i przestronny. Uciekali między stogami siana, skałami, przez lasy, mijając obiekty będące niemal w zasięgu podróznego i wiecznie się od niego oddalające. Dickens wyczuwał narastające w nim zwodnicze zdystansowanie, a Ellen Ternan sądziła, że wreszcie zmierza ku takiemu życiu, jakie zawsze powinna prowadzić: radosnemu, podniecającemu i bardzo przyjemnemu.

W czasie tej podróży pociągiem w sierpniu 1857 roku – liczny zespół sztuki *The Frozen Deep* i osoby im towarzyszące zajmowali kilka wagonów – Dickensowi udało się nawet doprowadzić panią Ternan do płaczu ze śmiechu, kiedy bawili się w zgaduj-zgadulę, przekazując sobie, na co nalegał pisarz, spisywane na kartkach odpowiedzi z okna do okna, nadziane na czubki parasoli i lasek. Jeśli zdarzało się, że kartki zabierał wiatr, Dickens zaczynał biegać tam i z powrotem, udając, że ze zmartwienia rwie sobie włosy z głowy, udawał sepleniącego konduktora i wołał: – Co sa tlagedia! Ojej! Ojej! Co sa stlasna tlagedia!

Jeżeli nawet te naiwne zabawy były zabarwione flirciarską nutką, to co z tego? Ellen Ternan mogła cieszyć się względami pisarza, traktując je jako hołd, który, o czym właśnie się przekonywała, mężczyźni gotowi są składać młodzieńczej urodzie. Ale to wszystko. Dickens ze swojej strony gotów byłby może zabawić się w pewnego rodzaju romans, pozwolić sobie na niego, a nawet go sprowokować, chociaż taki flirt nie obejmowałby związku uczuciowego i szybko

by się skończył, tego domagało się bowiem jego zdyscyplinowane serce. Mroczne granice przeznaczenia były jak pisarz tańczący skoczny marynarski taniec, gdy pociąg brał szeroki zakręt i rzucał Dickensa w kąt: po prostu można było się z nich śmiać. Czy istnieje taki cios albo upadek, którego nie da się przewyciężyć dzięki dobremu humorowi? Czuli, że żyją, dawało im to radość i byli niepomni wszystkiego, chociaż świat wokół nich zaczął się zmieniać w coś całkowicie innego, tak powoli, że aż niedostrzegalnie.

Kiedy najślawniejszy Anglik swoich czasów turlał się po podłodze wagonu kolejowego, oczy jego towarzyszy podróży zachodziły łzami ze śmiechu. Pociąg chrzącił i ryczał coraz głośniejsze, pędząc przed siebie i nie napotykając żadnego oporu, dopóki jego drogi nie pokrył gęsty popiół i wszystko nie poczerniało. Wokół pociągu wyrósł jakiś dziwny zwęglony las, z którego ludzkość została wypędzona, choć jednocześnie skazana na życie w nim.

Za oknami wagonu wokół poobijanych dachów i wybitych szyb wił się ohydny dym, a podróżni zaglądali do żalonych izb, gdzie niedostatek i gorączka ukrywały się pod wieloma strasznymi postaciami i gdzie zawsze była obecna śmierć. Dickens odwrócił się i usiłował nie myśleć o tym, co kiedyś powiedział o nim niefrasobliwie Wilkie – że żyje z dnia na dzień ze zmarłym ojcem w jednej kieszeni i zmarłą córką w drugiej, nie mogąc wymazać żadnego z nich z pamięci.

– Tak bardzo jeszcze nigdy się nie spóźniłyśmy – powtarzała ciągle pani Ternan, wpychając Ellen i jej dwie siostry w dym i gwar dworca w Manchesterze dwa dni później. – Kto wie, czy jeszcze tu są?

Przedzierały się przez tłum i chociaż przygotowania Ellen do wycieczki opóźniły ich wyjście oraz kosztowały matkę mnóstwo wysiłku, nie wspominając już o prośbach, błaganiach i niejednej łzie, to rozkoszowała się teraz, idąc stanowczym krokiem w węglowo-siarkowej mgłę, trochę słodkiej i wilgotnej, i ciesząc się dźwięcznym podnieceniem brzęczącego żelastwa oraz przeraźliwymi gwiazdami na dygoczących peronach.

Wprawdzie właściwie nic, co miała na sobie, nie należało do niej, ale od chwili, kiedy dziś rano weszła z siostrami do recepcji hotelu Great Western, przyciągając pełne podziwu spojrzenia, czuła się tak, jakby krynolinowa suknia z marmurkowego jedwabiu o pięknych stożkowatych rękawach i z elegancką koronkową krezą, pożyczona od jej siostry Fanny, została uszyta na nią, i jakby długa burgundowa mantylka, którą nosiła jej matka, kiedy była młodsza, a która teraz okrywała jej ramiona, zawsze należała do niej.

Odczuwała idealną równowagę między tym wspaniałym strojem i swoim życiem, między swą duszą i światem. Była świadoma spojrzeń, którymi ją obrzucano, lecz dorastała na scenie i cieszyło ją zainteresowanie otoczenia. Uśmiechała się, zadowolona ze swojego wyglądu i uszczęśliwiona, gdy na przeciwległym peronie dostrzegła brodate oblicze, które nagle wyskoczyło w górę

i uśmiechnęło się, kiedy tylko spotkały się ich spojrzenia: pan Dickens! W tym momencie powstał nieznośny hałas, a peron zaczął drżeć, bo wtoczyła się na niego lokomotywa; wiązar zwalniał, czarny od smaru maszynista wychylił się przez okno, a białka jego oczu świeciły jak reflektory, gdy wielka maszyna wjechała między nich.

Pociąg zasłonił Dickensowi młodą kobietę i w tym momencie zwrócił się do niego wysoki, potężny mężczyzna, który nachylił się nad jego uchem i bardziej krzyknął, niż szepnął:

– Najkrócej mówiąc, strojność prowadzi do upadku wiele młodych dam.

– Powściągliwość to być może jedyna nieprzemijająca filozofia na świecie – odpowiedział Dickens. – Ale, mój drogi Mamucie, nie proponuję ludziom, by budowali na niej swoje życie. – Stał pośrodku niewielkiej grupki osób, które zabrał na wycieczkę na wystawę sztuki, reklamowaną jako najwspanialsze tego rodzaju wydarzenie w dziejach świata, pokaz tak ogromny, że na jego potrzeby wzniesiono na Old Trafford specjalny gmach, a także nowy dworzec kolejowy dla tłumów zwiedzających.

– Błagam o barwy – powiedział Dickens, uśmiechając się i nieznacznie kłaniając zbliżającym się do nich paniom Ternan. – Pożądam barw w tych naszych czasach żeliwa. – Wyciągnął rękę i podszedł do czterech elegantek. – Przez chwilę myślałem, że to cesarzowa Eugenia we własnej osobie – oświadczył, biorąc Ellen za rękę. Wiedział, że dziewczyna stara się ubierać podobnie do młodej francuskiej monarchini, bo sama mu o tym mówiła.

Może to luz, jaki zapewniały jej cudowne stalowe obręcze, w przeciwieństwie do całych mil halek, które nosiła jego żona, by rozkloszować suknie, może to jej młodość, a może, zastanawiał się, dając się nieco ponieść fantazji, jej cudowny duch, ale poruszała się swobodnie, lekko, zręcznie i szybko, i miała niesłychanie piękną talię. Przypomniał sobie, że jakaś kobieta podobno nawet zginęła przez taką spódnicę, otarła się bowiem o świecę i suknia stanęła w płomieniach jak stóg siana, lecz teraz to on płonął. Zdawszy sobie sprawę, że zamiast być czarujący, tylko się na nią gapi, puścił dłoń Ellen, podskoczył niczym przestraszony ptak i podjął pospieszne starania, aby odwrócić uwagę od swojej chwilowej dekoncentracji.

– Pani Ternan! Czeka nas wielka rozkosz! – Potem zagadnął Marię, skomplementował Fanny, aż w końcu rozczarowana Ellen wybuchnęła:

– Panie Dickens! Podoba się panu moja mantylka w kolorze granatu czy nie?

– Jest czerwona – nie mógł powstrzymać się Forster. – A kolor czerwony, w dodatku ciemnoczerwony, to nie jest kolor granatu.

– Słyszałam, że jest to tradycyjna barwa stroju oblubienic w Indiach – odrzekła Ellen Ternan, nawijając lok jasnych włosów na palec. Nawet nie zadała sobie trudu, by spojrzeć na Forstera, przyglądała się tylko Dickensowi

z uśmiechem, gdy znów się odezwała. – A co za tym idzie, jej uroda jest bardzo szeroko znana.

Kiedy wchodzili na wystawę Manchester Art Treasures, Dickens pomyślał, że ten budynek to wspaniała krzyżówka najnowocześniejszego dworca kolejowego z cudowną jaskinią Ali Baby. Widowiskowość otoczenia, tłumy i ludzki żar pokazu porywały pisarza znacznie bardziej niż nieskończone szeregi dzieł dawnych mistrzów i wspaniałych artystów współczesnych, w sumie szesnaście tysięcy genialnych prac wiszących w szeregach jedne nad drugimi w kolejnych salach.

Forsterowi zakręciło się w głowie od oglądania i właśnie miał się udać do sali restauracyjnej na gotowaną wołowinę i lemoniadę, kiedy przystanęli przed obrazem pewnego starego mistrza przedstawiającym Ledę z łabędziem. Dzieło – jak malowidła wszystkich dawnych świntuszących artystów – zostało powieszona w najwyższym rzędzie.

– Uważa się, że to kopia zaginionego obrazu Michała Anioła – powiedział Wilkie, podając Ellen lornetkę operową, którą przyniósł, aby lepiej podziwiać wiszące wysoko prace.

– Tak naprawdę nigdy nie rozumiałam tego mitu – odparła pani Ternan. – Mówi o czymś złym, co w taki czy inny sposób ludzie postrzegają jako coś dobrego.

Jakiś młodzieniec bez nóg, w łachmanach, podtoczył się ku nim na umocowanym na kółkach drewnianym denku od beczki, które napędzał, odpychając się od ziemi niestarannie zabandażowanymi rękami. Przypominał Dickensowi rosyjski samowar i zainteresował go bardziej niż obrazy.

– W tym dziele chodzi o harmonię i konflikt – powiedział Forster, który uważał, że musi komentować wszystko. Wilkie przewrócił oczami i poszedł do następnej sali. – Ale głównie o konflikt – ciągnął Forster. – W wyniku zbrodni, której dopuścił się Zeus, Leda zniosła dwa jaja, a z każdego wykuło się dwoje dzieci: jednym z nich była Helena Trojańska, innych nie pamiętam. Potem dochodzi do wojny trojańskiej, ginie cały naród. I tak dalej. O tym jest ten obraz. – Z tymi słowy Forster zniknął w sali restauracyjnej.

„Samowar” nagle kichnął gwałtownie, spryskując Marię Ternan ohydny deszczykiem. Potem kaleka bez słowa przeprosin zawrócił swoje denko i odjechał. Pani Ternan, Maria i Fanny odeszły w drugi koniec sali.

Przez rozedrganą szybę Ellen zobaczyła najpierw dwie pary dopiero co wyklutych z jaja dzieci, a potem jej spojrzenie uniosło się na służalczego łabędzia, szczęśliwego w objęciach pogodnej, młodej, nagiej kobiety. Pomyślała, że wcale nie jest tak, jak mówił Forster. Wszyscy na tym obrazie – dzieci, łabędź, świat – wydawali się porażeni urodą tej obnażonej piękności. Ellen zaczerwieniła się, a Dickens zauważył dziecięcy rumieniec, który wystąpił na jej szczerą twarz, kiedy podawała mu lornetkę.

– Mogłabym schrupać te dzieci – powiedziała.

Zostali sami. W samotności, którą zapewnia dziwny tumult w tłumie, Dickens, z lornetką przy oczach i zagubiony w rozmyślaniach, na chwilę stracił czujność. Usłyszała, jak cmoka.

– Miałaby siedem lat – powiedział.

– Kto? – spytała Ellen.

Dickens opuścił lornetkę i popatrzył na nią zawstydzony.

– Przepraszam – powiedział. – Nasza córka, Dora. Kiedy się urodziła, była taka świeżutka, że prawie można było się spodziewać na jej główce skorupki jajka.

– Nie wiem, kto to jest Dora – odparła Ellen Ternan.

Dickens nie rozmawiał o Dorze nawet z Catherine. Nie dało się sprowadzić tego tematu do śmiesznej anegdoty czy idiotycznej rozmowy. Wyglądało na to, że w obliczu tej śmierci nie ma żadnej obrony ani wytłumaczenia. Tamtego dnia z kamienną twarzą w kilku słowach opowiedział jednak krótką historię życia swojej córeczki, kończąc na tym, jak zostawił ją chorą owego pamiętnego wieczoru, kiedy wygłaszał mowę do członków General Theatrical Fund.

– Mamy w życiu tylko kilka chwil – powiedział, ale zaraz urwał. Słowa były dla niego piosenkami, przedstawieniem, teraz nie śpiewał jednak ani nie występował. – Takich jak chwila radości i zadziwienia drugim człowiekiem. Niektórzy powiedzieliby, że jest to chwila piękna czy transcendencji. – Przełknął ślinę. Mówił o Dorze, chociaż zrozumiał, że właściwie jednak o czymś innym. – Albo że taka chwila obejmuje wszystkie wzniosłe odczucia. Potem człowiek dochodzi do pewnego wieku, panno Ternan, i pojmuję, że ta jedna chwila, a jeśli ma pani bardzo dużo szczęścia, kilka podobnych chwil, to było pani życie. Że takie chwile są wszystkim, całym światem. Z uporem myślimy jednak, że będą one miały wartość tylko wtedy, jeśli uda nam się sprawić, aby trwały wiecznie. Powinniśmy żyć dla takich chwil, jesteśmy jednak tak zaabsorbowani pogonią za czymś innym, za przyszłością i za kotwicami, które ściągają nas w dół, że czasami nawet nie widzimy tych chwil takimi, jakimi są. I zostawiamy chore dziecko w domu, żeby wygłosić jakieś przemówienie.

Zamilkł, przytknął lornetkę do oczu i zaraz ją odsunął. Patrzył nie na Ellen, lecz prosto przed siebie, w ścianę.

– Rzecz w tym... – powiedział, ale nie dokończył.

To Ellen Ternan powiedziała Dickensowi coś, czego nie powiedział mu nikt inny. Możliwe, że usłyszała coś ukrytego za jego słowami. Miał wrażenie, że został rozgrzeszony.

– To nie była pana wina.

Sir John usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi. Pałac gubernatora był tak rozklekotany, że cały poruszał się w górę, w dół i na boki, i w rezultacie wszystko w nim było obluźwane albo zakleszczone, a czasem, chociaż brzmi to nieprawdopodobnie, obluźwane i zakleszczone jednocześnie. Odwrócił się od okna, przez które obserwował, jak w górę rzeki Derwent idzie sztorm. Lady Jane patrzyła na niego swoimi niesamowitymi jasnoniebieskimi oczami, które kiedyś, co prawda na krótką chwilę, uznał za niebywale urzekające, choć w końcu dotarło do niego, że nigdy nie zrozumie ich dziwnego wyrazu.

– Zapłacisz za to – powiedział.

– Co masz...

– Co? – warknął sir John, przypomniawszy sobie słowa, które od kilku minut próbował znaleźć w pamięci. – Mam na myśli to, co powiedział Montague, i nic innego. Że kiedyś za to zapłacę. – Sir John dawniej szczyił się tym, że niczego nie zapominał, a teraz miał trudności z przypomnieniem sobie nawet jakichś drobiazgów, o których była mowa przed chwilą. Co dziwniejsze, rzeczy ważne, kiedyś proste i oczywiste, stawały się coraz bardziej rozmyte i ulotne. I tak jak raporty i memoranda coraz częściej rozmywały mu się przed oczami, kiedy wpatrywał się w nie uważnie, w tej chwili odnosił wrażenie, że również jego żona rozmywa się i rozpływa, stając się kimś obcym.

– Kiedy Montague powiedział ci coś takiego? – usłyszał jej pytanie.

– Kiedy odmówiłem jego siostrzeńcowi koncesji gruntowej – odpowiedział. – Wtedy. A gdy szwagier Peddera nie dostał kontraktu na budowę nadbrzeża, powiedział coś podobnego.

– Ale to było wiele lat temu... – zaczęła lady Jane, sir John machał jednak ręką, dając żonie do zrozumienia, że to nie ma znaczenia.

– I teraz on i nasi wrogowie triumfują – oświadczył. – To przechodzi ludzkie pojęcie.

Na zewnątrz rozszalał się wreszcie potężny sztorm. W powstałym chaosie zatono kilka statków, huragan zrywał dachy domów, przewracał drzewa i miotał ciężkimi wozami i furami na wszystkie strony, jak gdyby były to dziecięce zabawki. Piękny gniady rumak pana Lorda został wbity na pał, który wiatr porwał niby wykałaczkę z pobliskiego tartaku i wbił w brzuch nieszczęsnego zwierzęcia. Tymczasem w głowie sir Johna ciemna chmura nasilającej się melancholii rozszalała się właśnie równie potężnym sztormem, miotającym jego nadzieje, pragnienia i wspomnienia tu i tam i miażdżącym jego opinię o sobie jako o dobrym człowieku i szlachetnym władcy. Sięgnął po jakieś urzędowe dokumenty i zaczął nimi wymachiwać przed nosem lady Jane nie tylko po to, żeby się wytłumaczyć,

ale też by zwalczyć dziwne zawroty głowy, których nagle dostał.

– Coś poszło nie tak, jak powinno – powiedział, a jego głos przez chwilę, tylko przez krótką chwilę, przypominał warczenie psa. – Proszę – dodał, szeleszcząc papierami, które natychmiast upuścił, jak gdyby parzyły go w palce. – Dzisiaj rano przysły rozkazy z urzędu kolonialnego. Podpisane przez samego sekretarza. – Sir John drżał na całym ciele, niemal trząsał się z wściekłości. – Mają mnie odwołać.

Co powiedziawszy, poczuł się nagle zmęczony. Lady Jane rzuciła mu spojrzenie, w którym od razu rozpoznał skrajny szok i czystą pogardę. I jak ja mam, zastanawiał się, ponosić winę za takie publiczne upokorzenie jak to? Przypomniawszy sobie triumfalne przyjęcie, gdy po raz pierwszy przyjechali do Hobart, tych akolitów, nadzwyczajną radość, jak gdyby wyzwalał ich spod władzy tyрана. Mimo to w głębi duszy domyślał się, że jego domniemane uchybienia mają jakiś związek z niezdolnością do zbudowania nowej tyranii na wyspie.

– Dlaczego? – zapytała lady Jane głosem nieugiętym jak żelazo.

To zastanawiające, pomyślał sir John. Jak to powiedział Crozier, kiedy był podchmielony? „Wyruszasz odkryć jakiś nowy ląd, bo przez całe życie masz poczucie, że nie wiesz, gdzie jesteś, że zgubiłeś drogę”.

– Bo... Chyba udało im się przekonać sekretarza do spraw kolonii, że jestem niekompetentny, przekupny i...

– A tak naprawdę?

– Naprawdę? Może dlatego, że nie jestem przekupny. Byłem jednak głupi.

– Dopóki nie przyjąłeś tej żalostnej posady na tej zapomnianej przez Boga i ludzi wyspie – powiedziała nagle lady Jane, wpadając we wściekłość, co rzadko się jej zdarzało – nie mieliśmy żadnych wrogów. Byliśmy poszukiwani jako ozdoby władzy i nigdy nikt nie złożył z nas ofiary na jej ołtarzu.

To, że sir John nie starał się o to gubernatorstwo, było prawdą, stała za tym bowiem jego żona – lecz przecież odkąd ją spotkał, całe jego życie było jej dziełem. Uwolniła go od jego najbardziej tajemnej wady, czyli bezmiernego braku ambicji. Czy on jest temu winien? Że tak całkowicie się jej poddaje? Podśledzał kiedyś, jak Montague powiedział o nim, że jest „słaby”. I czy właśnie nie taki przekaz krył się między wierszami listu towarzyszącego dokumentom od sekretarza do spraw kolonii, który pisał, że sir John „nadmiernie lekceważy innych urzędników”?

Ta myśl wprowadzała sir Johna w większą dezorientację niż cokolwiek innego. Czy jest słabością witać ze spokojem to, co niesie życie, choćby były to cierpienie i śmierć głodowa w lodach polarnych, albo sprawiać komuś przyjemność, robiąc wszystko, czego ten ktoś od nas oczekuje? A może to jednak raczej mądrość, nie słabość?

– Niech pan ma ufność – powiedział do niego Montague w dniu ich

przyjazdu na wyspę, wskazując szczupłym ramieniem znajdującą się w opłakanym stanie stolicę i ciągnącą się dalej bezkresną, otaczającą miasto niczym murem roślinność, niekończące się bezimienne góry oraz nienaniesione jeszcze na mapę rzeki.

Ale czemu miałyby ufać? Tej dziwacznej krainie sprzed początków czasu z jej wulgarnymi kolorami tęczy, z paskudnymi, olbrzymimi lasami i osobliwymi zwierzętami, ukrywającymi się tu od dnia wypędzenia Adama z Raju?

A może Montague miał na myśli ludzi, tych chamów, którzy mu służyli, obsługiwali go, pełnili funkcje urzędników, katów, kucharzy, golibrodów i właściwie wszystkie inne? Wszyscy byli skazańcami, groteskową parodią, ohydną pantomimą, obrzydliwą obrazą pamięci, a to w oczach sir Johna czyniło ich tylko postaciami jeszcze bardziej idiotycznymi, kiedy małpowali wszystko, co angielskie. Widział jednak, że jednocześnie stają się kimś innym, równie dzikim jak dżicy, a w buszu, jak niosła wieść, schodzili na podobnie niski poziom życia, ubierali się w kangurze skóry, tworzyli klany, spalili w chatach z kory i zajmowali się wyłącznie zabijaniem miejscowych zwierząt, które służyły im za pożywienie. Och tak, zaufał im, owszem, pomyślał gorzko sir John, za bardzo im zaufał, ufał im zbyt długo i teraz słono za to płaci.

Lady Jane ruszyła do drzwi, przystanęła, wydawała się nad czymś zastanawiać, a potem się odwróciła.

– Ta czarna dziewczyna – powiedziała.

Sir John wyczuł, że to sformułowanie nie wróży nic dobrego. Jego żona mówiła o małej „Mathinna”, kiedy była z niej zadowolona, czyli rzadko, i „czarna dziewczyna”, gdy Aborygenka popadała w niełaskę, czyli ostatnio często.

– Widzę, że jeśli o nią chodzi, to nawet ty się poddałeś.

Wydawało się, że sir John myśli.

– Te dziwne fomy, które dopadły ją w zeszłym roku na „Erebusie”, chyba źle na nią wpłynęły – ciągnęła lady Jane.

Sir John czekał.

– Dostała czegoś w rodzaju histerii. Nie uważasz?

Sir John powiedział, że nie wie.

– Jej stan nie tylko szybko się nie poprawił, czego można byłoby oczekiwać po białym dziecku, ale się pogorszył – dodała lady Jane.

Sir John wiedział, że z biegiem kolejnych tygodni i miesięcy Mathinna nauczyła się unikać ludzi, a jeśli już znajdowała się w ich towarzystwie, bawiła wszystkich wokoło, nikogo nie drażniąc. Stała się raczej kimś w rodzaju zwierzątka domowego niż dziecka.

– Jest apatyczna – stwierdziła lady Jane.

Wiedział, że Mathinna już nie pcha się przed szereg, nie łapie nikogo za nogi i nie ukrywa się za sukienkami. Że to, co pozostało z jej zwyczajów i porządku

dnia, załamało się pod ciężarem jej pełnej dąsów niechęci do zajmowania się czymkolwiek, co jej pokazywano lub czego ją uczono. Że strasznie się go boi.

– I szalona – odezwała się znów lady Jane. – Stała się zwierzęciem, które rzuca się na służących. Biję ich, krzyczy i drapie. Jedną z posługaczek, panią Wick, nawet ugryzła, a kiedy zmusiłam ją, żeby wróciła do swoich normalnych codziennych zajęć, przestała dbać o czystość i porządek i zamknęła się w sobie. Jak gdyby choroba przeniknęła nawet jej duszę.

Wtedy oboje zrozumieli, że w zachowaniu Mathinny jest coś, co można uznać za ich największą publiczną porażkę na Ziemi Van Diemena, albowiem to czarne dziecko nie chciało stać się białe.

– Jest nie do wytrzymania – powiedziała lady Jane.

– Nie da się tego wytłumaczyć – odparł sir John.

– Jeden Bóg wie, co będzie z nią w Londynie – zauważyła jego małżonka, po czym odwróciła się i wyszła.

Sir John wrócił do okna i cynowej mgiełki deszczu. Jakiś żebrak na ulicy zdjął wyświechtany płaszcz, rozpostarł go nad głową starej baby, po czym oboje pospiesznie odeszli razem. Jak bardzo sir John zazdrościł temu żebrakowi jego bezinteresowności, a nawet trybu życia! Zdał sobie sprawę, że jest sam w tym nieskończonym świecie, w którym było tyle życia, miłości i w ogóle wszystkiego.

Wszedł służący z kawą.

– Później.

W tej wyspie, w jego stanowisku, w wygasłych ambicjach, w całkowicie niezasłużonej marnej reputacji, którą dźwigał jak ciężące mu bardziej każdego dnia brzemie, było coś nieznośnego i kompletnie absurdalnego. Coraz częściej wydawało mu się to zdumiewające, jak prawie wszystko, co ludzkie. Miał do dyspozycji pułk w sile około sześciuset żołnierzy, których połowę stanowili pijacy, ale niezadowolony był ze wszystkich. Mimo to tych kilku niegodnych zaufania ludzi podporządkowało sobie kilkadziesiąt tysięcy skazańców – choć może to ci skazańcy sami im się podporządkowali. Przecież to jest coś absolutnie cudownego i idiotycznego zarazem! W pokorze mieszkańców ujrzał jednak własną naturę jakby w powiększeniu – ostatecznie przeżył większość swojego życia uwięziony w cudzych pragnieniach i marzeniach.

Zjawiał się adiutant, by mu przypomnieć o...

– Później.

Sir John siedział w coraz mroczniejszym gabinecie, osunąwszy się na zapadły szeslong. Nie cierpiał mieszkańców Ziemi Van Diemena w ogóle, a w szczególności tych, których znał: swojej żony, Montague'a, Mathinny – zwłaszcza Mathinny. Gardził nimi i nienawidził ich wszystkich, i po prostu chciał od nich uciec, gdzieś daleko. Jakże pragnął wrócić do krzepiącego starego marzenia o wędrówce po lodzie w małej grupie ludzi, w której czuł się wolny od

takich spraw. Siedział tak długi czas, samotnie, w milczeniu. Kiedy światło przygasło i zbliżał się mrok, powoli dotarło do niego, kto jest za to wszystko odpowiedzialny.

– Ta dzikuska – syknął.

Oczywiście, pomyślał. Człowiek zawsze ma wrogów, to jasne; powinien był dać im ziemię i kontrakty, i jeszcze więcej. To również było oczywiste. Ale ci ludzie dostali teraz broń do ręki.

I to przez kogo? To ta dzikuska przywiodła go do upadku. Jak mógł tego nie widzieć? Poczwarą dojrzała sposobność, żeby go zniszczyć, i wykorzystała ją, o czym świadczyło jej zachowanie – najpierw tak otwarcie odurzyła go czarami, a potem zdyskredytowała. Tak, to jej działania napędzały plotki, dały amunicję jego wrogom, wykreowały skandal i w ten sposób wpędziły go w tę kabałę. Być może pierwszy strzał oddał Montague, sir John widział jednak, że doprowadziły do tego czary Mathinny.

Mimo to owa okropna myśl pozostawiła gubernatora dziwnie zimnym i milczącym. Sztorm osłabł, przechodząc w nerwowy kapuśniaczek. Słysząc było już tylko odgłos stadka tryskających wodą wielorybów u ujścia wielkiej rzeki w oddali, a potem odległe krzyki marynarzy ze statków wielorybicznych i rozpoczynających rzeź harpunników.

Pięć lat później sir John miał wspominać tę chwilę jako moment nieskończonego spokoju. Leżąc w kabinie Croziera na skutym lodem „Erebusie”, usłyszał powolny trzask i przerażający chrzęst drewna pękającego pod naporem nieprawdopodobnej siły. Statek gwałtownie przechylił się na bok pod naciskiem lodu, koja została zablokowana między ścianą i podłogą, a drewno, lód i wiatr bezustannie jęczały i krzyczały, zwiastując nieuchronny los. Nieznośna mgła, przesycona wilgotnym, ponurym smrodem gangreny, niosła się spoza kabiny na śródkręcie. Wewnątrz, spoczywając na tej samej koi, na której leżała kiedyś przed nim Mathinna w ładnej czerwonej sukience, wielki polarnik z przerażeniem, ale i z fascynacją odrzucił koldrę i spowijające go bandaże, chcąc przyjrzeć się w świetle tłustej lampki tranowej cuchnącemu kikutowi, którym był już wtedy.

W śmiertelnej agonii myślał tylko o tym, by łowić ptaki z drobną, ciemnoskórą, nadal wyśmiewającą się z niego dziewczynką, a jego nozdrza na moment wypełnił nieprawdopodobny zapach świata, który wspominał teraz jako Eden po deszczu. W jego umyśle mieszało się mnóstwo chaotycznych wspomnień różnych dobrych rzeczy, papug, wielorybów i dzieci, gdy nagle ujrzałabinę, w której tak się męczył, koję, na której umierał, zmiętą czerwoną sukienkę i pyszczek skomlałej walabii. Dotarło do niego poczucie własnego przerażenia. Pełzło po nim wdzierające się w niego zimno, cienkie drzazgi lodu już oplatały mu płuca.

– Południe ku zachodowi – zaczął szybko podśpiewywać, jak gdyby mogło

mu to przynieść odkupienie, jak gdyby był to magnetyt, mogący jeszcze wskazać drogę ucieczki. – Południowy południowy zachód, południowy zachód ku... – Ale potem z jego piersi wyrwał się nagły okrzyk bezmiernego strachu, który wznosił się i opadał w niesamowitej ciemności wokół statku, po chwili zaś zginął na zawsze. Kiedy Crozier wpadł do kabiny, mocno przyciskając do swojej wycieńczonej twarzy nasączoną kamforą chusteczkę do nosa, największy podróżnik jego epoki już nie żył.

Tamtego wieczoru sir John odczuł ulgę, dowiedziawszy się, że będą mieli gości na obiedzie, w tym Edwarda Kerra, agenta z Van Diemen's Land Company, i grupę londyńskich inwestorów, do których należała północno-zachodnia ćwiartka wyspy. Kerr przyjechał na zajeżdżonym dereszku, roztaczając wokół siebie aurę siły charakteru i stanowczości, które podziwiał sir John, niezgrabnie zbudowany i urodzony pod bardziej pechową gwiazdą. Nie wspominał gościom o swoim odwołaniu; to, jak postanowił, może poczekać na oficjalne ogłoszenie w „Gazette”. Stopniowe odchodzenie Mathinny od przyzwoitego zachowania i jej niechlujny strój nie pozwalały już dziewczynce brać udziału w oficjalnych przyjęciach, jeden z gości zauważył ją jednak, wiszącą do góry nogami na drzewie przed wejściem.

– Naprawdę uważam, że należy podjąć jakieś starania, żeby ocalić tych ludzi przed wyginięciem, i że to my powinniśmy dawać przykład w tej sprawie – powiedziała lakonicznie pani gubernatorowa, kiedy ktoś wspomniał o małej.

– Ależ lady Jane, chyba zdaje sobie pani sprawę – odezwał się ktoś – że niektórzy z najbrutalniejszych czarnych przywódców zostali przez nas wychowani w wierze chrześcijańskiej. Proszę tylko popatrzeć na Czarnego Toma, który przeszedł do czarnych i stał się absolutną bestią. – Był to głos koronnego radcy prawnego, człowieka, którego nazwisko ciągle się myliło sir Johnowi z nazwiskiem pewnego dawnego znajomego; i takie luki w pamięci stanowiły kolejną słabość gubernatora w oczach jego rosnących w liczbę wrogów. – Niechętnie dałem się wciągnąć w tę dyskusję, ale przekonywałem poprzednika pani męża, gubernatora Arthura, że rząd ma prawny obowiązek opieki nad skazańcami narażonymi na ataki czarnych w trakcie robót w głuszy.

– I co pan mu doradził, panie Tulle? – spytała lady Jane.

– Że jeśli nie można się z nimi uporać inaczej, trzeba ich likwidować. Nie było innej drogi do zapewnienia bezpieczeństwa białym, jak tylko zniszczenie ich czarnych przeciwników. Przez kilka lat płaciliśmy nagrody za głowy Aborygenów. Dobre pieniądze. Pięć funtów od sztuki.

– Moim jedynym celem w tamtych heroicznych czasach było zabić ich wszystkich – perorował dalej Kerr nad rosółem z wombata w odświeżająco szczery i miły sposób, jak uważał sir John. W tym momencie lady Jane wstała, oświadczyła, że miała ciężki dzień, przeprosiła wszystkich i z uśmiechem wyszła. Wtedy Kerr objawił im się jako najpotrzebniejszy spośród mężczyzn w średnim

wieku na sztywnym spotkaniu towarzyskim: okazał się gawędziarzem, niepomnym cudzych uczuć. Wstał, pożegnał się z gubernatorową, całując ją w rękę z niejaką galanterią, po czym znowu usiadł, kontynuując swoje refleksje.

– A to dlatego – ciągnął, celując w biesiadników łyżką, tak jak kiedyś zapewne celował do Aborygenów z pistoletu – że byłem i jestem całkiem przekonany, że prawa natury, Boga i tego kraju każą mi uznać takie postępowanie za swój obowiązek.

Jego łagodny głos, spokojna, niemal zdystansowana postawa, chłopięce, falujące jasne włosy i niemal całkowite zaabsorbowanie własną przeszłością kontrastowały ze wstrząsającą, pełną przemocy opowieścią, nadając jego słowom urzekający czar.

– Co do tego, że zatknąłem trzy czarne głowy na dachu swojej chaty, mogę powiedzieć tylko tyle, że moim zdaniem ich widok działał odstraszająco na niektórych z ich towarzyszy, każąc im wspominać śmierć współziomków i pożytecznie upowszechniając przykład, jaki z nich uczyniłem.

Franklin zrozumiał, że Kerr jest nadzwyczajnym człowiekiem. Nie uświadomiłby sobie tego, gdyby nie mieszkał już tak długo na wyspie, ale teraz wszystko stało się dla niego tak jasne, jak nigdy przedtem. W agencji była krzepiąca, a nawet poruszająca uczciwość – wiedział, że tak, że Kerr tchnie przerażającą wiarą w siebie i uzewnętrznia ją; bo jaki człowiek, który zatyka trzy ludzkie głowy na dachu swojego domu, nie ma pewności siebie?

I w tej szczerości, myślał Franklin, jest jakaś straszna, nieodparta prawda, jakaś dziwna kombinacja pożądania i wolności, jakaś zgoda nie na pokój, lecz przemoc, stanowiącą, czego coraz bardziej obawiał się sir John, także nieubłaganą cechę jego charakteru; przemoc, którą zaczął uważać za prawdziwy motor napędowy świata, przemoc, którą wyczuwał, chociaż nie potrafił przyznać, że to ona kryła się za tym, do czego doszło pomiędzy nim i Mathinną. To nie przemoc była zła, myślał sir John, tylko brak odwagi, który nie pozwalał mu doprowadzić jej do logicznego końca, co tak otwarcie uczynił Kerr. Sir John zazdrościł mu pogody ducha, bo dzięki niej mógłby zaakceptować swój żaloszny los; też pragnął takiej beztroski, takiej pewności. Odwrócił się od tego dziwnego bohatera wojny z czarnymi i zaczął dumać nad swoją przyszłością, z której wzywało go coś, co Crozier nazywał „kryształową pustynią zapomnienia”.

– Jesteśmy emisariuszami Boga, nauki i sprawiedliwości – ciągnął Kerr. – Wiemy, czym jest miłosierdzie i licho wie, co jeszcze. Nic nie przebije jednak trzech ludzkich głów. Co powiedział ten młody przyrodnik, Darwin, kiedy odwiedził naszą wyspę przed kilku laty i siedział w tej jadalni, w której teraz jesteśmy? „Ziemia Van Diemena ma tę ogromną zaletę, że jest wolna od tubylczej populacji”. Myślicie, że łatwo zdobyć taką wolność? Może wam się wydaje, że można ją zyskać, nie zatykając na dachu kilku głów tubylców?

Kerr uśmiechnął się. Jego oczy koloru miki nie zdradzały nic, mówiły jednak wszystko: odznaczał się mrozącą krew w żyłach pewnością siebie człowieka, który nie boi się odkrytych w sobie samym okropności.

Sir John wyczuł w głębokich refleksjach Kerra coś, co wykraczało poza dobro i zło. No a chrześcijańskie miłosierdzie i naukowe zainteresowania jego i jego żony, które skłoniły ich do adopcji Mathinny... Czy takie cnoty nie będą nagrodzone?

– Wydaje mi się, że nie – powiedział Kerr, jak gdyby ten nadzwyczajny człowiek czytał w myślach sir Johna.

Gubernator Franklin wykrzywił twarz w uśmiechu. Było coś bezlitosnego i nieznośnego w tym, że wyspa wydawała mu się pokryta ludźmi jak krostami; dzikie pustkowia, morza, wszystko to jakby wyciągało człowieczą duszę poza jej zwykłe granice, a może nawet żądało, żeby wykroczyła poza siebie. I dzisiejszego wieczoru ta myśl sprawiała mu przyjemność. Wyczuwał atrakcyjność, ogromną satysfakcję wynikającą z bycia człowiekiem niewyznającym żadnej wiary, niestosującym się do żadnych zasad, wynikającą z potęgi bycia bożkiem, którego po raz pierwszy wyczuł w Robinsonie i widywał od tamtej pory także w potężnych wolnych osadnikach z ich feudalnymi farmami i w poławiaczach fok, utrzymujących całe haremy czarnoskórych kobiet.

– Ludzie przyjeżdżają tutaj, żeby mieć lepiej, rozumiecie państwo – rzekł Kerr.

Sir John rozumiał i czuł się tak, jak gdyby pojął to wszystko po raz pierwszy, ale było za późno. W tym miejscu bogów tworzyli na swoje podobieństwo właśnie tacy bandyci i gwałciciele, aby służyli im i ich potrzebom.

– Nie chcę napawać się wzniosłymi pejzażami tej głuszy i nie żywią złudzeń, że uda im się oświecić tych, którzy od tak dawna żyją w mroku lasu – mówił dalej Kerr, wybijając łyżką o stół wojowniczy rytm. – Rozumiecie, rzecz jasna.

Sir John naprawdę rozumiał. I chociaż rzadko wykazywał w życiu zdecydowanie, to teraz postanowił, że lady Jane też zrozumie.

Wyjazd sir Johna odbył się tak godnie, że zyskał mu szacunek, którego nie zaznał nigdy jako gubernator. W najmniejszym stopniu nie okazywał gniewu, wstydu czy wściekłości z powodu tego, co – jak wszyscy teraz mówili – było tak jasno nikkzemną manipulacją frakcji Arthura. Wyglądało niemal na to, że Franklin chętnie godzi się ze swoim losem, a odjeżdżając, okazuje bardzo wiele cech, których nie było widać w czasie jego rządów.

Odnotowano z aprobatą, że sir John wraz z żoną podjęli wreszcie decyzję w kwestii tej czarnej dziewczynki, która, jak powiedział Franklin, jednak nie pojedzie z nimi do Anglii. Oświadczył, że zadecydowały o tym względy medyczne: wiadomo z doświadczenia, że konstytucja cielesna dzikich czyni ich niezdolnymi do życia w surowym klimacie – jest to udowodnione i niezaprzeczone, podobnie

jak korzyści, których tu zaznała i które niewątpliwie zapewnią jej świetlaną przyszłość. Nie mieszał żony w sprawę memorandum, nakazującego odesłanie małej do sierocińca St John's. Nie chciał słuchać jej sprzeciwów, zauważył tylko, że to wspaniały zakład, w niczym nieustępujący innym takim placówkom, i że dziewczynka ku powszechnemu zadowoleniu będzie mogła dokończyć tam naukę. Nie chciał też wdawać się w spór z lady Jane co do niezakończonych jeszcze eksperymentów.

– Od samego początku kierowały nami nienaukowe pragnienia – stwierdził sir John, a chociaż oboje wiedzieli, że chciał użyć słowa „obłąkane”, w jego stwierdzeniu dał się słyszeć ton niekwestionowanej pewności. Kiedy lady Jane powiedziała, że musi przygotować małą, i poszła ją zapewnić, że jej przyszłość wciąż rysuje się obiecująco, było już za późno. Mathinna została zabrana poprzedniego ranka, bez ostrzeżenia ani wytłumaczenia, chociaż zadbano o to, by zaserwować jej specjalne śniadanie, czyli smażony ser. Sir John nie był pewien, czy zrobił to po to, aby uśmierzyć strach, jaki mogła odczuwać Mathinna, czy żeby złagodzić własne wyrzuty sumienia – po prostu uważał, że był to czyn zrodzony raczej z konieczności niż z poczucia żalu.

Adiutant zaczął mówić coś o porannych petentach, a sir John podszedł do dużego ognia w kominku, żeby się rozgrzać; chwilami przytakiwał, chwilami kręcił zaś przecząco głową, przez cały czas szczęśliwie marząc o lodzie, do którego, o czym już wiedział, może nareszcie wrócić. Ziemie polarne leżały poza polityką i postępem; zwątpienie nawiedzało je codziennie, ale właściwie nie miało innego wyboru, niż szybko się wycofać. Pustka prowokowała proste rozwiązania i wymagała, żeby przestrzegać ich z wręcz przesadną odwagą, decyzje podróżników były bowiem ważkie, ale nie złożone, a pomimo całej gadaniny o odkryciach i przetrwaniu podejmowano je w świecie zagubionych dzieci, których porażki czczono potem jako triumfy dorosłych.

I na przyjemną myśl o ucieczce od wieku dorosłego, o powrocie do nieubłaganej samotności niczym do łona matki, do nieuniknionego zapomnienia, które wskutek najdziwniejszej alchemii narodowych marzeń nieuchronnie miało zamienić się w sławę i historię, uśmiechnął się raz jeszcze i przez cały czas starając się powstrzymać rękę od drżenia, przywołał służącego, by znów napenił mu szklanekę.

Na wyspie nastała zima, śnieg leżał nisko na zboczach, i kiedy mężczyzna marzył, by znowu stać się dzieckiem, skulona, drżąca z zimna dziewczynka, która siedziała na jadącym raz szybciej, raz wolniej wozie, pozostawiała za sobą postrzępione resztki swojego dzieciństwa. Otulała się skórą z oposa, żeby osłonić ciało przed zacinającym deszczem ze śniegiem, zaprzeczyć nieustannie osaczającej ją pustce, która coraz bardziej przypominała śmierć. Wiedziała niewiele, tylko tyle, ile jej powiedziano: i dlatego, żeby mogła mieć więcej doświadczeń w kontaktach

z innymi dziećmi, miała zostać umieszczona na kilka dni w pobliskiej szkole i nie pozwolono jej nic ze sobą zabrać, żadnych rzeczy osobistych ani zwierząt. Zdawała sobie sprawę z tego, że jest to dziwne, lecz dziwne było właściwie całe jej życie.

Położyła się, zwinęła w kłębek pod oposową skórą i zamknęła oczy; krucha skorupka jej ciała podskakiwała na wybojach i trzęsła się razem z wozem. Powtarzała sobie, że jest jej ciepło i bezpiecznie, a pocieszonej takimi niezbędnymi kłamstwami i z brzuszkiem krzepiąco pełnym smażonego sera, podtrzymującym złudzenia, udało się jej jakoś zasnąć. Śniła, że biegnie przez wysoką trawę.

Kiedy się obudziła, koń mocno napinał uprząż, wciągając wóz na stromą błotnistą drogę, wiodącą ku samotnemu budynkowi, który wyrwał się z ciemnej ziemi ku górze niczym grot grubej strzały. Deprymującą samotność sierocińca St John's wydawały się wzmacniać mroczne lasy i pokryta płaszczem śniegu, wijąca się wokół nich góra. W jej centralnym punkcie wznosił się wyposażony w wysoką wieżę kościół z piaskowca, po którego bokach stały dormitoria – po prawej dla chłopców, po lewej dla dziewcząt – przypominające obłamane skrzydła.

To, że wielu tutejszych pensjonariuszy nie było sierotami, tylko dziećmi z nieprawego łoża albo nieszczęśnikami, o których nie dbali rodzice, nie miało właściwie znaczenia. Chociaż St John's został stworzony jako placówka dla niecnot, w praktyce funkcjonował jako sierociniec dla bezbronnych, dla dzieci, które były solą w oku władz, ponieważ biegały bez opieki po ulicach Hobart Town i naśladując lepszych od siebie dorosłych, bawiły się w chłostę, wieszanie i bandytów. Dlatego wyłapano je i zamknięto w St John's.

Tutejszy dzień zaczynał się od wizyty w kościele, którego ławki zostały zaprojektowane w taki sposób, aby uniemożliwić jakiegokolwiek naruszenie norm moralnych. Chłopcy nie widzieli dziewczynek, a skazańcy i liczne inne niepożądane osoby pozostawali poza zasięgiem wzroku pobożnych wolnych osadników wywodzących się z pobliskiej enklawy nuworyszy, zwanej trafnie i koszmarne Nowym Miastem. Wokół ławek dla osadników stały kominki, ale rzekome sieroty nie mogły się nawet poruszać, żeby się rozgrzać. Znosiły modły za niegodziwców, ludzi upadłych, zagubionych i złamanych, za chorych i kalekich, za biedne, nieszczęsne dzieci bez ojców i matek, a potem wracały kaszleć i marznąć, i znowu były bite.

W dniu przyjazdu Mathinny nabożeństwo trwało o ponad godzinę dłużej niż zwykle, bo w nocy tyfus zabrał kolejne dziecko, co oznaczało, że w ostatnim miesiącu umarło ich pięćoro. W sierocińcu panowała apatia, przytłumiająca nawet ostrą woń przemocy, która przenikała cały budynek. Mathinnie nikt nie powiedział, co ma się z nią stać ani co to za dom, przez który szła teraz z beztróską, jaką mógł okazywać tylko ktoś, kto nie zdawał sobie sprawy z tego, że to miejsce jest jego przeznaczeniem. Dziewczynkę poprowadzono ciemnym korytarzem, biegnącym niczym tunel przez cały budynek i wychodzącym na werandę z tyłu, po czym

kazano jej czekać.

Wyrzała na nędzne podwórko. Chociaż tego zimowego dnia było tam błoto, dzieci ciągnęły na nie jak do miejsca, gdzie jeśli nawet nie można było się rozgrzać, to wolno było patrzeć na dalekie ciepło jeszcze dalszego słońca. Ciepło było dla tych dzieci abstrakcją – jedynym aspektem filozofii, z którym zapoznawano ich w St John’s – a dwaj próżnujący chłopcy, siedzący w nieocienionym kącie podwórza, odwrócili się, żeby popatrzeć na nowo przybyłą, chcąc się z nią zaznajomić.

Mathinna stała w bezruchu, owinięta w skórę oposa; była senna i dokuczały jej mdłości po podróży na wozie, zauważyła jednak, że pod ciekącym rynsztokiem na zardzewiałej kadzi wielorybniczej, do której zlewano tran, przysiadła właśnie kakadu złotoczuca. Oczy Mathinny spojrzały bystrzej. Ptak był najwyraźniej oswojony i uciekł komuś z domu, bo przestępował z nogi na nogę, wykrzykując na przemian „Cię kocham!” i „Cię pierdołę!”. Była to piękna, dorodna papuga o ślicznym upierzeniu i wspaniałej postawie.

Mathinna uśmiechnęła się jak na widok przyjaciela. Postąpiła krok do przodu, wyciągając rękę, żeby papuga mogła na niej usiąść, a ptak przechylił łebek i zwrócił na nią lśniące hebanowe oko, po czym podrzucił na powitanie swoim złotym czubem. Podskoczył dwukrotnie, zbliżając się do dziewczynki, i zaraz upadł, uderzony kamieniem. Mathinna podniosła wzrok i zobaczyła uśmiechniętego chłopaka, dumnie wymachującego procą, a potem znów spojrzała na kakadu, skręcającą się w konwulsjach w błocie. Pochyliła się, jednym szybkim ruchem skręciła jej kark, po czym się odwróciła, skuliła gwałtownie i zwymiotowała do kadzi na wół strawionym serem i grzankami.

Jakiś czas potem przyszedł po nią chromy starzec, który klnąc pod nosem, zaprowadził ją po schodach z surowego sosnowego drewna kilka pięter wyżej, do pełnego ubrań magazynu. Tutaj dziewczynka zademonstrowała pierwsze oznaki oporu, kiedy pani Trench, kobieta zażywna i jękająca się, próbowała zdjąć z niej zielony naszyjnik z muszelek i czerwoną sukienkę, najlepsze ubranie, które Mathinna włożyła na tę okazję. Ugryzła opiekunkę w rękę aż do krwi. Wezwano dyrektora, ale przyjechał dopiero po dobrej godzinie, gdyż nadzorował palenie pobliskiego lasu, skąd jego zdaniem płynęły ohydne, śmiercionośne tyfusowe miazmaty.

Rozgniewany, albowiem przerwano mu to ważne zajęcie, dyrektor – dziobaty, zbudowany jak kowadło mężczyzna w podeszłym wieku – wychłostał dziewczynkę różgą z drzewa herbacianego, a kiedy Mathinna nie złożyła żadnych wyjaśnień ani nie przeprosiła za swoje zwierzęce zachowanie, zbił ją po raz drugi za tę niemą bezczelność. Potem dziewczynka została zabrana do pokoju, przeznaczonego dla takich złośliwych przestępców jak ona, i zamknięta tam na resztę dnia i noc. W pokoiku nie było łóżka, hamaka ani siennika, tylko popękany

nocnik z niewypalanej gliny, którego zawartość wyciekała na i tak już śmierdzącą podłogę, gdzie spała.

Następnego ranka pani Trench z pomocą dwóch strażników, trzymających małą pod ramiona, zaciągnęła ją do umywalni. Strażnicy unieruchomili Mathinnę, a pani Trench rozebrała swoją podopieczną, chociaż się szarpała i rzucała, poszczypała ją trochę, niby szukając wszy, a potem oblała kubłem zimnej wody. Chociaż dziewczynka przegrała bitwę, zdobyła oporem uznanie opiekunki, bo pani Trench rzuciła jej naszyjnik i czerwoną sukienkę, mówiąc, że może je zatrzymać, jeśli będzie nosić jeszcze jakieś dodatkowe okrycie. Następnie ścięto jej gęste czarne włosy i ubrano w poplamioną niebieską suknię i perkalowy fartuszek. Oba te elementy garderoby były na nią za duże, mogła je więc nosić nie na jednej, lecz kilku czerwonych sukienkach.

Jako że Mathinna była na swój sposób osobą znaczącą, dyrektor z powagą podarował jej coś, co dostawało bardzo niewiele dzieci: parę drewnianych chodaków należących do chłopca, który zmarł w nocy na tyfus. Jediną reakcją dziewczynki było rzucenie chodakami w dyrektora. Znowu ją wychłostano, po czym została zaprowadzona bosą do pokoju kar na drugi dzień i noc, które spędziła w towarzystwie popękanego nocnika.

Chociaż dyrektor poświęcił resztę dnia na palenie lasu za sierocińcem i chociaż po południu powietrze było gęste od dymu, a nie od torfowej woni drzew, wieczorem na tyfus zapadło jeszcze dwoje dzieci. Cały personel, który dowiedział się o tym od pani Trench, i wszystkie dzieci, które słyszały o tym od pracowników, wiedziały z całą pewnością, że czarni mają „moc”. Jeszcze bardziej wszechobecne niż cierpki smak popiołu było przerażenie, jakie zaległo teraz nad sierocińcem. Wszyscy wiedzieli, że nadąsana czarna dziewczynka się mści.

Jedyny wniosek, wypływający z mądrego kompromisu dyrektora następnego dnia, kiedy po raz czwarty zbił Mathinnę, potem pozwolił jednak młodocianej czarownicy spać w dormitorium z innymi dziewczynkami, głosił, że dziewczynka jest naprawdę wysłanniczką diabła, lecz dzięki dyrektorowi wydany na nich wszystkich wyrok śmierci został odroczone. A to dlatego że śmiercionośna epidemia się skończyła i teraz było jasne, że nie powstrzymało jej palenie lasów, lecz opatrnościowa decyzja dyrektora.

W dormitorium ciężka amoniakowa woń, bijąca z wilgotnych hamaków moczających się w nocy dzieci, których niewytłumaczalny grzech nie dawał się wypłenić żadną chłostą, mieszał się tej księżycowej nocy z rojami dziwnych owadów, mnożących się na wyspie w biblijnych proporcjach – uskrzydłonych mrówek, ciem wielkości małych ptaków i komarów. Szatańska opinia o aborygeńskiej dziewczynce umocniła się jeszcze, kiedy Mathinna, która nie chciała jeść za dnia, zaczęła wieczorami błyskawicznym ruchem ręki chwycić ómy i je pożerać.

Sir John poinformował małżonkę, że jak mu powiedziano, odwiedziny wpędzą tylko Mathinnę w jeszcze większy rozstrój nerwowy i nie pomogą jej wejść w nowe życie, lecz lady Jane trzy dni później pojechała do sierocińca, aby odebrać dziewczynkę. Jej motywacją były: częściowo urażona duma, w pewnym stopniu prawdziwa, chociaż niewielka troska o małą, jak również chęć przypomnienia mężowi, że każde jego działanie, podjęte bez konsultacji z nią, jest nie do przyjęcia.

Istniał także jeszcze jeden powód; coś kryjącego się w lady Jane tak głęboko, że przybierało postać fizycznego bólu, na którego określenie nie śmiała nawet szukać słów. Nie była histeryczką. Nie chciała się otwierać na chorobliwe doznania jak kobiety słabego charakteru, widziała bowiem na własne oczy, jak skwapliwie akceptują schorzenia własnego umysłu. Mimo to ów ból ogarniał lady Jane falami, przyprawiał o zadyszkę i oszołamiał, kiedy dyrektor prowadził ją przez sale sierocińca zgodnie z otrzymanymi wcześniej instrukcjami od gubernatora – sir John za długo bowiem żył ze swoją żoną i za dobrze poznał jej siłę woli, by wierzyć, że będzie mu posłuszna, i jako doświadczony oficer marynarki przygotował sobie chytrze drugą linię obrony.

Dzieci odsuwały się od lady Jane jak zwierzęta, po części dlatego że się bały, po części zaś dlatego że rozpaczliwie pragnęły jedzenia i życia; jedynym tryskającym zdrowiem i zadowolonym stworzeniem, jakie zobaczyła w tej jaskini nieszczęścia, był wielki rudy kocur spasiony na szcurach, które nawet o tej porze harcowały wzdłuż ciemnych paneli ściennych. Lady Jane próbowała porozmawiać z jednym chłopcem, wydawał się jednak nie zwracać uwagi na nią, na nikogo i na nic, jak gdyby wycofał się z życia. Pytała inne dzieci: czy dostają dość jedzenia? Czy wszystko jest tu dobrze?

Dzieci jednak zdawały się jej nie słyszeć, a co za tym idzie, nie rozumieć. Twarze miały przygnębione, puste, bez wyrazu, spierzchnięte, często pokryte strupami. Lady Jane zauważyła, że – choć było to niesamowite – nikt tu nie szepcze, nie ciągnie kolegów za włosy ani nie chichocze. Sieroty sprawiały wrażenie zbyt zmęczonych, by mogły robić wiele więcej, niż kaszleć, odchrząkiwać i drapać się, atakowane przez wszystkie możliwe choroby, od suchot przez dyzenterię po bolesne odmrożenia, których rany zdobiły ich ramiona krwawymi jaskrami.

Chociaż sierociniec liczył sobie zaledwie kilka lat, unosił się w nim fetor. Lady Jane zidentyfikowała jeden ze składających się na niego odorów jako woń zgnilizny, ale poza nim, ponad nim, wyczuwała inny zapach, którego nie była w stanie nazwać i który miała później opisać w swoim dzienniku w wyjątkowo nieokreślony sposób: sierociniec cuchnął tak, napisała, jak gdyby „działo się tam coś złego”. Był to zapach zamknięty w upstrzonych dużymi kwiatami moczu i krwi śmierdzących płóciennych hamakach koloru umbry, wśród których lawirowała

w smrodliwym dormitorium, tkwił w amoniakowych, szorstkich deskach podłogowych i krył się w niewielkim kopczyku rozognionego czerwono-żółtego mięsa leżącego na prymitywnym łóżku w kącie, owiniętego w płótno opatrunkowe i nasmarowanego tłuszczem jak zimny pieczony kartofel.

– Pożar domu – powiedział szeptem dyrektor. – Matka spłonęła żywcem. Uratowała się tylko ta dziewczynka.

Poza rozlegającym się od czasu do czasu cichym, przeciągłym skomleniem poparzona nie wykazywała żadnych oznak bólu ani zainteresowania otoczeniem. Wpatrywała się tylko w sufit jasnymi, przeraźliwie niebieskimi oczami, wyglądającymi tak, jak gdyby ktoś omyłkowo zagrzebał je w spalonej wieprzowinie, jak gdyby zastanawiały się, dlaczego muszą tak długo czekać, aż ktoś zamknie je w jednej z tych wyglądających jak zabawki trumienek, które czekały, pomalowane na biało, ustawione na półkach, gotowe, w piwnicznym magazynku, dokąd lady Jane została wprowadzona w następnej kolejności.

– Jesteśmy cudownie i całkowicie samowystarczalni, naprawdę – powiedział dyrektor, unosząc lampę, aby oświetlić ten makabryczny magazyn. – Nasi chłopcy sami je wyrabiają.

Wychodząc z tej sali trumien, lady Jane poprosiła, żeby oszczędzono jej dalszej wycieczki, poszli więc do jadalni na drugim piętrze, gdzie spożywał posiłki personel placówki i skąd można było wyjrzeć na tylny dziedziniec, na którym dzieci beczynnie spędzały czas. Spojrzała przez mleczne szkło na błotnisty plac.

Przelknęła ślinę.

Gdyby nie kolor skóry Mathinny, nie rozpoznałaby pokrytej już wrzodami, ogolonej na łyso dziewczynki w workowatej brązowej sukience, siedzącej samotnie i bez ruchu na ziemi. Trafiona w twarz błotem, rzuconym przez jakieś dziecko, Mathinna obnażyła zęby i chyba zasyczała, co nieoczekiwanie zakończyło atak.

Lady Jane przyjechała, by zabrać małą do domu. Nie obchodziło ją to, co myśli i robi jej mąż ani co mogą powiedzieć ci żałośni ludzie uchodzący za socjetę kolonii. Zamierzała po prostu wyrazić swoje życzenie i natychmiast wyjechać stąd z Mathinną. Coś jednak powstrzymało ją teraz przed powiedzeniem, czego sobie życzy; wyraziła tylko nadzieję, że Mathinna odpowiednio się odżywia.

– Odżywia? – powiedział dyrektor, który podszedł i przystanął przed oknem obok lady Jane. – Nic nie je. Z wyjątkiem owadów.

Zapadła długa cisza. W St John's nawet słowa wydawały się niepotrzebnym luksusem.

– Mój kochany dyrektorze... – zaczęła lady Jane, po czym urwała i pokręciła głową. Chciała już wyjść.

Dyrektor pochylił się bliżej.

– Tak, lady Jane?

– Panie... Jak mam to powiedzieć? Przez te wszystkie lata, które spędziła ze mną, ta dziewczynka nigdy nie jadła owadów.

– Wróciła do swoich korzeni – powiedziała pani Trench, która właśnie do nich dołączyła.

– Czyżby ukrywała przed panią swoją prawdziwą naturę? – spytał dyrektor. – Przez te wszystkie lata? Czy to, co widzimy teraz na podwórku, nie jest prawdą o ludziach jej rasy?

Przez kilka chwil wpatrywali się bez słów w obryzgane błotem, obszarpane dziecko. Lady Jane widziała je coraz niewyraźniej, odwróciła się więc twarzą do dyrektora.

– Wydawała mi się... – zaczęła, ale w jej głosie i wylewających się z ust słowach zabrakło pewności, przekonania. Przetarła oczy palcem w gienzowej rękawiczce. – W każdym razie przynajmniej na początku, to znaczy... wydawała się inteligentna, chyba...

– Inteligentna? – powtórzył dyrektor, jak gdyby była to kwestia warta zastanowienia. Sprawiał wrażenie niezwykle wyrozumiałego i ta jego wyrozumiałość była dla lady Jane w jakimś sensie przerażająca i jednocześnie niemożliwa. Pachniał dymem, a jego głos brzmiał niczym brzęczące żelazo. – Nie – powiedział w końcu. – Na pewno nie inteligentna.

– Raczej sprytna jak szczur – powiedziała pani Trench.

– Kieruje nią mocno wyostrzony zwierzęcy instykt – zauważył dyrektor. – Jak sugeruje pani Trench, która ma dużo doświadczenia z dzikusami. Czyżbyśmy popełniali błąd Rousseau, sądząc, że szczurza przebiegłość może dorównać człowieczeństwu albo cywilizacji? Nie. Dlaczego? Bo pokaż ta mała dostawała nagrody, udawała, że jest kimś innym. Tutaj jednak widzimy, że tacy jak ona są zdolni do najobrzydlivszych oszustw. Szybko cofają się w rozwoju, właśnie dlatego że nie są zdolni się rozwijać. – Spojrzał w oczy lady Jane, a jego wąskie wargi powoli uformowały się w bolesny uśmiech mądrego współczucia. – Czy moje słowa sprawiają pani ból? Wiem, szanowna pani. Jak mogłoby być inaczej? Ale dla nas tutaj w sierocińcu St John's wszyscy pensjonariusze to dzieci Boga. Skądkolwiek pochodzą, czy są potomkami Chama, czy Abrahama; to nie jest dla nas istotne.

Dyrektor wierzył w boską miłość i litość. W straszną miłość. W wyjątkowo przerażającą litość. I w obliczu takiej wiary, całej tej miłości i litości, w obliczu wszystkich pytań, na które już dostała odpowiedzi, załamał się nawet duch tak niezwyciężony jak duch lady Jane.

Odwróciła się znów do matowej szyby i widocznej za nią Mathinny, tak przytłoczona falami wspomnień i emocji, że pomyślała, że może się w nich utopić. Bardzo pragnęła usłyszeć znów brzęk dzwoneczka, oznaczający, że mała chodzi po domu. Pragnęła poczuć owijające się wokół jej nóg i bioder ramionka, ręce, które

chwytaly ją i obejmowały. Dlaczego odpychała to dziecko, skoro w duchu chciała być obłapywana i obejmowana?

Po chwili nie była już w stanie powstrzymać głęboko skrywanego uczucia. Nie była w stanie odsuwać od siebie wspomnienia trzech poronień. Nie mogła zapomnieć smutku, a potem okrutnego przebudzenia sam na sam ze swoim jałowym ciałem, z samotnością, z nieuniknionym poczuciem kobiecej hańby, z rozpaczliwym pragnieniem dziecka, z dumą, która najpierw ją ocaliła, a potem zmiażdżyła, i nakazała jej poruszać się niestrudzenie i bez przerwy, od tamtej pory już zawsze desperacko próbując podźwignąć i wywyższyć siebie oraz męża, jak gdyby oboje mogli jakoś pozbyć się ciężaru jej rozpaczy.

Aż do tamtego dnia na Flinders Island, kiedy zobaczyła Mathinnę tańczącą w skórze białego kangura, lady Jane łudziła się, że chodzi o naukę, rozum, chrześcijaństwo; że fortel szlachetnego eksperymentu może jakoś otworzyć przed nią tajemnicę, którą inne kobiety uważają za oczywistość, choć nigdy nie przyznała, że naprawdę pragnie ją poznać: miłość matki do dziecka.

Chciała zbiec na to ohydne podwórko, chwycić przerażoną dziewczynkę i wykraść ją z siedliska tej całej miłości i litości, gdzie panowało powszechne przekonanie, że Mathinna naprawdę musi aż tak bardzo cierpieć. Chciała ją wykapać i ukoić, szeptać jej w kółko, że wszystko będzie w porządku, że już jest bezpieczna, całować delikatne muszelki jej uszu, tulić ją do siebie, nakarmić ją ciepłą zupą i chlebem. Chciała być matką, na którą zawsze tak bardzo starała się nie wyglądać, wsunąć nos w rozwichrzone włosy małej, pocieszać ją i bronić, upajać się jej innością i nie starać się jej zniszczyć, bo w tym momencie zrozumiała, że zniesienie różnicy między nimi może ostatecznie sprowadzić dziecko tylko na ten właśnie straszliwy podwórzec, a potem do składowanych pod ziemią białych trumien.

Po pewnym czasie tę myśl zastąpił inny głos, szepczący o tym, że wszystkiego tego wypada żałować, lecz że stało się to, co musiało się stać, że w pewnym sensie owe cuchnące hamaki, szczury, zimne błoto i spalone dzieci są jakoś konieczne, mają jakiś cel. To było bez sensu. W końcu jednak głowie lady Jane udało się uspokoić lekkomyślne serce i zobaczyła prawdę w tym, co jej mówiono: że jej wielki eksperyment zakończył się wyjątkowo sromotną porażką i że nie wolno jej cierpieć dalszych upokorzeń, których by zaznała, zabrawszy Mathinnę ze sobą do domu, do Anglii. W tej chwili wszystko w tej sali, w całym sierocińcu zapachniało dla pani gubernatorowej mokrym kamieniem.

Odwróciła się od okna i tej paskudnej, obszarpanej postaci. Wzięła głęboki oddech. Nikt nie może nie doceniać jej odwagi.

– To, co pan mówi, jest zgodne ze zdrowym rozsądkiem – powiedziała powoli, potykając się o słowa, jak gdyby chodziło o wyznanie wydobywane z niej jakimiś okrutnymi metodami. – Widzę, że ta dziewczynka po prostu wraca do

swojej zwierzęcej natury.

– Pracowaliśmy już tu wcześniej z takimi – powiedział łagodnie dyrektor. – W kuchniach i pomywalniach naszej kolonii znajdzie się miejsce dla wszystkich, szanowna pani. Nie można jednak zrobić gazeli ze szczurów.

Lady Jane widziała, że urok, który miała Mathinna jako mała dziewczynka na Flinders Island, zniknął. Nie była już ładna, tylko brudna i nieatrakcyjna, nie była rozkoszna i szczęśliwa, tylko zawzięta i żalosna. Prawdę mówiąc, pomyślała lady Jane, pod moją opieką wyłącznie się cofnęła i pod moją opieką może najwyżej jeszcze bardziej się zdegenerować. Taniec opuścił tancerza.

Obserwując powrót powozu lady Jane i widząc, że wchodzi do Government House sama, sir John pomyślał z nadzieją, że za gruboskórnego uzna go wreszcie ktoś więcej niż tylko jego żona. To pomoże – chociaż tylko w nieznacznym stopniu – przywrócić jego pozycję wśród mieszkańców kolonii, dzięki czemu odzyska może chociaż trochę dumy. Gardził za to sobą i w ogóle ludźmi. I uznał to za decydujący argument za powrotem do czegoś, do czego pod każdym innym względem po prostu się nie nadawał – z powodu otyłości, wieku, charakteru – czyli do świata wypraw polarnych. Była to jedyna znana mu pustka większa od tej, która go wypełniała.

Dzień po wypłynięciu z Ziemi Van Diemena, kiedy od dziewczynki dzielił ich już szmat drogi, sir John w geście, w którym kryło się tyle samo skruchy, ile przebiegłości, podarował małżonce portret Mathinny namalowany przez skazańca, niejakiego Bocka, na krótko przed tamtym feralnym balem.

Modelka miała na sobie swoją ulubioną czerwoną sukienkę, a obraz szpecił tylko jeden szczegół: jej boscie stopy. Mathinna bowiem swoim zwyczajem zrzuciła czółenka w czasie pozowania i Bock namalował ją bosonogą. Była to akwarela, uważał więc, że nie może niczego domalować, a kiedy na polecenie lady Jane zrobił kopię obrazu, na której Mathinna występowała w pantoflach, okazało się, że jakoś brakuje jej rozkosznej spontaniczności oryginału. Dlatego malunki zostały zwinięte, schowane i zapomniane, aż wreszcie sir John kazał odszukać i oprawić oryginał.

– To naprawdę piękna podobizna tej dziewczynki z czasów, kiedy była najbardziej godna podziwu – powiedział, gdy papier pakowy opadał na podłogę. – Z czasów poprzedzających jej dość żalosny regres.

Lady Jane miała ochotę przeraźliwie krzyknąć.

Człowiek, który oprawił portret, używając kawałka profilowanego drewna, osiągnął więcej w jednej chwili niż ona dzięki swojej nigdy niezwykniętej woli w ciągu ostatnich pięciu lat. Owalna ramka równiutko odcięła postać Mathinny na wysokości kostek, dzięki czemu jej boscie stopy stały się nareszcie niewidoczne.

Lady Jane wyszła z ciemności kabiny w jaskrawe światło dnia na nadbudówce. W słońcu, w statku, w wietrze i morzu była jakaś świeżość, jak gdyby

świat narodził się na nowo. Świeżo wyszorowane pokłady parowały, a światło łamało morze na miliony brylantów.

Odwróciła się i poszła na rufę. Gwałtownym, nietypowym dla siebie ruchem cisnęła obrazek do morza, za rufę statku. Portret spadał, zaczął jednak unosić się na wietrze. Przez chwilę wydawało się, że będzie latał, w końcu jednak pacnął w wodę, a siła uderzenia rozerwała go na dwoje. Odpłynął szybko, leżąc tyłem do góry. Kiedy lady Jane się odwróciła, sir John stał za nią; jego czoło zdobiły czarne smugi, a wiatr rozwiewał jego długie, wypomadowane włosy w kształt wijących się znaków zapytania.

Był rok 1844. Właśnie zabito ostatnią parę alk olbrzymich, urodził się Friedrich Nietzsche, a Samuel Morse wysłał pierwszy w dziejach świata telegram, o treści: „Co uczynił Bóg”.

– Kochałam ją – powiedziała lady Jane.

Dickens stał na scenie, która miała zaraz przenieść go do Arktyki, i rozglądał się po tym cudownym, magicznym teatrze. Manchester Free Trade Hall był równie nadzwyczajny jak wszystko w tym ogromnym, wstrząsającym mieście, które dzięki swoim ogromnym fabrykom, hutom, walcowniom, slumsom, nędzy i bogactwu było cudem współczesnego świata. Wysoko nad głową pisarza na trapezie przy konsoli siedział oświetleniowiec, sterujący najlepszym zestawem gazowych świateł scenicznych i rampowych, jaki Dickens do tej pory widział, a po jego lewej ręce na półeczce stał najnowszy wynalazek teatralny: lampa wapienna.

Przy dużej skrzyni pełnej tłęcego się wapna kręciło się dwóch ludzi, których zadaniem było podtrzymywać ogień za pomocą ogromnych miechów i pilnować, by wybuchowy wynalazek nie eksplodował, kiedy olśniewający snop przeraźliwie białego światła przesunął się na scenie na prawo i lewo. Dickens dotąd słyszał tylko o tym zdumiewającym urządzeniu, a teraz był tu, w teatrze, gdzie miał za chwilę wystąpić w tym niezwykłym świetle.

Ustawił na środku statystę, kazał zapalić wapienny reflektor i oświetlić twarz mężczyzny. Moc lampy była niezwykła. Wymazywała kolory. Podkreślała zmarszczki, zarys szczęki, wargi. Dickens zrozumiał, że będzie musiał się mocniej ucharakteryzować, bardziej wyraziście, aby w pełni wykorzystać takie oświetlenie. Poszedł za kulisy i kazał statystyce opuścić, a potem podnieść głowę, przysunąć twarz do światła i odsunąć ją. Uważnie obserwował grę blasku i cienia, patrzył, jak można się poruszać niczym sam diabeł pomiędzy nocą a dniem i jakie nowe możliwości otwierają się dla niego jako aktora, który odtwarza rolę umierającego Wardoura.

Wrócił na scenę i stanął w przeraźliwie białym blasku. Zgodnie z nową modą widownia miała być nieoświetlona w trakcie przedstawienia. Spojrzał na parter i z zadowoleniem stwierdził, że nic nie widzi.

Poczuł nieznaną mu wcześniej moc kamuflażu białej jasności, w której był skąpany, i zdał sobie sprawę, że to, co się zaczęło jako teatr amatorski, zmierza w stronę czegoś nieoczekiwanego i nadzwyczajnego. Niektórym jego kolegom po piórze nie podobało się to, co robi – Thackeray powiedział, że każdą próżność uznaje się za czcigodną, jeśli tylko jej beneficjentką jest dobroczynność.

Do diabła z Thackerayem, pomyślał. On ma potomność, a ja tylko ten dzisiejszy wieczór. Do diabła z nim! Do diabła z nimi! Do diabła z nimi wszystkimi! Ten, który został pogrzebany, będzie wskrzeszony. Ten, który umierał, uwięziony w stalowym kadłubie, w lodzie, ożyje – choćby na chwilę – w oślepiającej bieli wapiennego reflektora. Bezpieczny w oślepiającym snopie światła, świadom tego, że otaczający go świat pozostaje wreszcie niewidoczny,

Dickens obiecał sobie, że włoży w postać Wardoura wszystko, co ma, i wreszcie pozwoli obnażyć się swojej duszy.

Ku uldze wszystkich widzownia na premierze była pełna, a występ Dickensa w swoim natężeniu i skuteczności okazał się porywający. Wilkie Collins, który oglądał spektakl zza kulis, był pod ogromnym wrażeniem. Widział twardych stolarzy, którzy drżeli na całym cieple, płaczących robotników scenicznych i setki widzów tonących we łzach. Wilkie, też z wilgotnymi oczami, nachylił się do Johna Forstera.

– To cudowne – szepnął. – Ale jest coś dziwnego w tym przedstawieniu. Coś tu jest nie tak.

Forster popatrzył na niego ze zdumieniem. Jego wielki przyjaciel triumfował, wznosił się na nowe wyżyny – czy może być coś lepszego?

– To straszne – syknął Wilkie. – Nie widzisz tego? To nie aktorstwo, to metamorfoza.

– Uważaj, Wilkie! – zawołał ktoś. – Zaraz wchodzisz na scenę.

Wtedy tuż koło nich pojawił się brodaty, nieszczęsny szaleniec – nie Dickens, tylko opętany Richard Wardour. Chwycił Wilkiego, wziął go w ramiona i zaniósł na scenę, gdzie autora *The Frozen Deep* Maria Ternan powitała jako miłość swojego życia, Franka Aldersleya, którego uważała wcześniej za zmarłego.

Po przedstawieniu Dickens odwiedził panie Ternan w garderobie, by im pogratulować. Ellen była zaskoczona uwagą i szacunkiem, jakie okazywano temu człowiekowi, którego w czasie ich pierwszego spotkania zlekceważyła do tego stopnia, że rozmazgała się na jego oczach. Oczywiście słyszała o nim, czytała *Klub Pickwicka* i kilka innych książek jego autorstwa – kto ich nie czytał? – ale była nieprzygotowana na to, w jaki sposób świat rozstępował się przed nim i kłaniał mu się, gdziekolwiek Dickens się zjawiał. Po przyjeździe do Manchesteru czuła się ważniejsza niż rodzina królewska. Zakwaterowano ich we wspaniałym hotelu Great Western, a zespół dostał własną jadalnię i salon, gdzie razem z siostrą, Marią, Ellen Ternan wypija pierwszego wieczoru chyba trochę za dużo brandy, Dickens zaś zrobił później niefrasobliwą, chociaż sympatyczną aluzję do tego incydentu.

Po wyjściu z garderoby zauważyła na toalecie książeczkę, którą pisarz stale nosił przy sobie. Przyjrzała się jej: ależ to przecież notatnik! Być może, pomyślała, osobisty notatnik pana Dickensa! Z jednej strony nie zamierzała go otwierać; matka nauczyła ją, że rzeczy osobiste to święta prywatna własność. Z drugiej strony – zastanawiała się – a jeśli notatnik nie należy jednak do pana Dickensa? Skąd mogłaby to wiedzieć, jeśli go nie otworzy? Dlatego wieczorem wzięła notes do łóżka. Miał sprężyste grzbiet, a kartki ciemnobrązowe. Otwierał się jak ranne pisklę, rozkładające skrzydła w nadziei, że ktoś je wyleczy.

Na stronie tytułowej nie było nazwiska, Ellen rozpoznała jednak charakter

pisma na podstawie komentarzy, którymi Dickens opatrzył jej egzemplarz sztuki, przeszła więc do następnej strony, a potem do kolejnej i tak dalej, aż wreszcie przejrzała całość. Notatnik zawierał najróżniejsze wykazy, tytuły i dziwne sformułowania. „Niesforne serce”. Polizała kartkę. Wszystko było jasne jak słońce. „Kiedy leżałem na ziemi jako Wardour, nowe pomysły na opowiadanie przysły mi do głowy ze zdumiewającą siłą i jasnością”. Brakowało jednak fabuły, która połączyłaby pojedyncze kęsy w prawdziwy posiłek.

Przeczytała kilka zapisków; domyślała się, że są to notatki do następnej powieści. W większości były ponure, chociaż znalazła kilka zabawnych dialogów i wiele dziwnych zdań. „Wiatr goni za nami, fruną za nami chmury, nurkuje za nami księżyc i ściga nas cała szalona noc; jak dotąd jednak nie ściga nas nic więcej”. Dziwne nazwiska postaci. „Miriam Odmowna”. „Verity Szczęśliwa”. „Mary McPytajna”. Osobliwe aforyzmy. „Człowiek może mieć, co chce, tylko potem dowiaduje się, że za wszystko trzeba płacić. Pytanie brzmi: czy ciebie na to stać?”. W sumie wydawało się to wszystko kuriozalne, prawie nudne, i można byłoby się zastanawiać, czy pan Dickens sam coś z tego rozumie i czy w ogóle chciałby odzyskać notatnik.

Znalazła pisarza następnego wieczoru w gabinecie dyrektora, na godzinę przed występem, pogrążonego samotnie w pracy nad suflerskim egzemplarzem sztuki.

– Panie Dickens!

Podniósł wzrok. Był już w nowej charakteryzacji, którą opracował tego dnia, by lepiej wykorzystać lampę wapienną. Makijaż podkreślał jego koźle rysy.

– Ach, mógłby pan grać samego Lucyfera, panie Dickens!

Raptownie wstał, przytknął dwa palce do czoła niczym rogi, zrobił upiorną minę i zaryczał. Ellen odskoczyła z piskiem i wpadłaby na stojący za nią stół, gdyby Dickens nie chwycił jej za nadgarstek.

– Przepraszam, panno Ternan – powiedział. Ellen spojrzała w dół, na swój przegub, tkwiący w mocnym uścisku wielkiego pisarza. – To był tylko żart. Kiepski.

– Mimo to nawet Lucyfer mnie nie pokona – odpowiedziała, wrywając rękę z uścisku. – Jestem Angielką.

– Niemożliwe – zauważył Dickens. – A ja wziąłem panią za włoski wazon.

Ellen już nie wiedziała, co odpowiedzieć komuś tak sławnemu, więc po prostu popatrzyła mu w oczy. Były ciemne, a dziwny makijaż tylko podkreślał ich czernię. Odczuwała jednocześnie strach i pociąg do niego. W nadziei, że potraktuje ją poważnie, poczuła się w obowiązku powiedzieć coś poważnego.

– Podobało mi się to, co powiedział pan panu Huefferowi o rządzie i wojnie – stwierdziła, odnosząc się do sprzeciwu Dickensa wobec uwagi ogłoszonej przez dyrektora Free Trade Hall na temat wagi zwycięstwa w wojnie

na Krymie. Musiała przyznać, że pisarz wydawał się jej całkiem przystojny. – Że jakiś poobwieszany orderami angielski generał może być kompletnym idiotą, ale jego błędy są zawsze uznawane za sukcesy, zwłaszcza kiedy okazują się katastrofami, przy których opisie sięga się po takie określenia jak waleczność. To mnie naprawdę rozbawiło.

Dickens uśmiechnął się. Ellen odpowiedziała uśmiechem, wyciągnęła zza pleców notatnik i zaczęła machać mu nim przed nosem, jednocześnie kręcąc głową, jak gdyby go karciała.

– Upadek, jeśli już musi przyjść, powinien być tego warty – powiedziała, nie zdając sobie sprawy, że Dickens w tej chwili nie gra. Położyła notes na toalecie i przesunęła go w jego stronę. Kiedy próbowała odsunąć rękę, pisarz wyciągnął dłoń, a wówczas czubki ich palców zetknęły się ze sobą. Dickens nie wziął notesu i nie odsunął ręki.

– Nie idzie nam dobrze – powiedziała Ellen Ternan. Jej ciało było świadome tylko jego dotyku, tym razem jednak nie cofnęła palców. Podniosła głowę.

– Mam na myśli wojnę – dodała.

– Wojny rzadko kiedy idą dobrze – odparł.

Poczuła się tak, jak gdyby poraził ją piorun, a zarazem zrobiło jej się wyjątkowo głupio, że ma takie wrażenie.

– Lady Franklin na pewno jest panu niebywale wdzięczna. I pani Jerrold.

Wspomniawszy inne kobiety, którym udało się zasłużyć na względy tego wielkiego człowieka, Ellen nie była w stanie oprzeć się nadziei, że i ona może znaleźć się w ich towarzystwie. Starła się kontrolować swój oddech. Dickens powoli cofnął dłoń i notatnik, a potem... Ale czy to tylko jej wyobraźnia? A jeśli naprawdę to zrobił, zastanawiała się, to czy to coś znaczy?

Bo kiedy podniósł notes, bardzo delikatnie przesunął palcem po jej palcu. Miejsce, którego dotknął, paliło Ellen jak ogniem i było w tym odczuciu coś wstydliwego, nikczemnego, ale także absolutnie cudownego.

Pisarz mówił o sztuce, jak gdyby nic się nie stało, lecz jej palec ciągle płonął i płonął, a ona nie była pewna, czy coś się stało, czy nie. I chociaż pieczenie zapewniało ją, że tak, wiedziała z całą pewnością, że pragnie zostać z Dickensem, chce, aby został jej przewodnikiem, chce być przy nim do końca tego dnia i dłużej.

Zapytał ją o zdanie w kwestii swojego występu.

Odpowiedziała, że był bardzo przekonujący, ale że jeśli wypowiadałby swoje kwestie nieco wolniej i pozwolił im odetchnąć dzięki krótkim pauzom, mógłby być wielki. Nie miała pewności, dlaczego pisarz chce wiedzieć, co ona o nim myśli, ale widząc, jak uważnie się jej przygląda, nabrała odwagi i ciągnęła dalej:

– Niech pan pozwoli, by pana twarz i ręce powiedziały publiczności, co pan czuje. Niech pan ciągnie ludzi za sobą, szanowny panie, każdym gestem, niech pan ich przyciąga tak, jak gdyby chciał pan ich uściskać, i wtedy, i tylko wtedy niech

pan strzela w nich słowami niczym z przytulonej do serca armaty. Wiem z własnego doświadczenia, że kiedy wygra się jakąś kwestię odpowiednio długo, to potem trzeba jeszcze policzyć do trzech, zanim znów się coś powie, i że to czasami działa obrzydliwie doskonale.

Nie była pewna, czy poprawnie użyła w tym kontekście słowa „obrzydliwie”, uznała jednak, że to lepiej, kiedy coś działa dobrze do obrzydliwości, niż po prostu działa. Mówiąc, machała rękami, jak gdyby ilustrowała w ten sposób swój argument.

– Panno Ternan... – zaczął Dickens.

– Nell – powiedziała. – Wszyscy mówią mi Nell.

– Nell – powtórzył. – No to doskonale. – I wyobraził sobie bardzo wyraźnie, jak te nagie ramiona oplatają się wokół jego szyi, a dłonie wędrują wśród włosów na czubek głowy, jak gdyby miały się złączyć do modlitwy. – Wobec tego lepiej mów mi Charles.

Uśmiechnęła się.

– To przez pański *Magazyn osobliwości*. Nazywają mnie Małą Nell.

Drugiego wieczoru setki ludzi musiały pocałować klamkę. Dickens i Ellen spotkali się na podwieczorku w hotelowej jadalni. Pani Ternan także miała przyjść, wymówiła się jednak w ostatniej chwili, bo skontaktowała się z nią stara przyjaciółka, z którą pracowała kiedyś w teatrze i która wyszła za mąż za pewnego magnata bawełnianego.

– Hrabina z Bawełnopolis – powiedziała Ellen. – Nie można odrzucić takiego zaproszenia!

W ten sposób Ellen Ternan i Charles Dickens po raz trzeci zostali sam na sam. Zamiast ciastek Ellen zamówiła czereśnie, najlepsze, jak zapewnił ją kelner, bo pochodzące aż z Kent. Ale ani Ellen, ani Dickens nie jedli, tylko rozmawiali o teatrze. Opowiedziała mu kilka bardzo śmiesznych anegdot, których nie znał. Mówili też o polityce, co do której Ellen nie była równie rozczarowana jak Dickens, niedostrzegający prawie żadnych pomyślnych perspektyw na przyszłość, sądzący jednak, że nigdy nie należy rezygnować z walki o zdroworozsądkowy postęp, i o literaturze, w której dziewczyna dzieliła z nim wielką miłość do takich mistrzów jak Fielding i Smollett. Lubiła Thackeraya, ale sprawiła ukrytą przyjemność Dickensowi – którego często ogarniało najszczerze z literackich uczuć, czyli zazdrość – kiedy powiedziała, że ów wybitny pisarz przypomina jej startującego w derby konia rasy clydesdale.

Potem śmiali się z różnych rzeczy, które wydarzyły się w ciągu ostatnich kilku dni, dużo żartowali, aż wreszcie bez żadnego powodu rozmowa wygasła i nie byli więcej w stanie rozmawiać, choć jeszcze przed momentem przychodziło im to z wielką łatwością. Po chwili ciszy, której nie potrafiło wypełnić żadne z nich, pisarz zwrócił się do Ellen z wahaniem i niezgrabnie:

– Od dawna wydawało mi się, że się poniżam, godząc się na to, co przyniosło mi życie. A te ostatnie dni były... No cóż, Nell, widzę, że się myliłem.

Nic z tego, co powiedział, nie miało dla niej sensu. Bardziej pod wpływem nagłego zdenerwowania niż dlatego, że miała apetyt, włożyła do ust czereśnię, którą wcześniej obracała w palcach; przez chwilę ssała owoc jak cukierek, a potem delikatnie wsunęła wciąż pokrytą mięszem pestkę między wargi, wzięła ją w palce i wrzuciła do miseczki.

Dickens krótko wpatrywał się w niepotrzebną pestkę, pokrytą wilgotnymi niteczkami czerwonego mięszu. Zazdrościł jej szczęścia. Potem raptownym ruchem, równie nieoczekiwanym dla niego jak dla Ellen, zagarnął pestkę i połknął. Kiedy podniósł głowę, napotkał wzrok swojej towarzyszki.

Wybuchnęła śmiechem, do którego dołączył, chichocząc nad absurdalnością tego, co zrobił. I w tym momencie nie czuł żadnego wstydu, chociaż strasznie żałował, że się nie wstydzi, boi albo przynajmniej martwi. Przeciwnie: czuł się jak odurzony.

Niedługo po tym, gdy Ellen Ternan wróciła do pokoju, rozległo się pukanie i wszedł posłaniec z kopertą. W środku znajdowała się pocztówka z nazwą hotelu, a na niej wiadomość napisana wyrazistym charakterem pisma, jak już wiedziała, Dickensa. Liścik zaczynał się od słów „Droga panno N.”.

Pragnę, żeby Pani wiedziała, że jest najnowszym marzeniem mojej duszy. Byłem w upodleniu, lecz widok Pani zbudził we mnie dawne cienie, które, jak sądziłem, dawno umarły. Odkąd Panią poznałem, dokuczają mi wyrzuty sumienia, które, mam nadzieję, więcej mnie nie dotkną, i ciągle słyszę szepty dawnych, ciągnących mnie wzwyż głosów, które, jak sądziłem, umilkły już na zawsze. Przychodzą mi do głowy nieokreślone myśli, by znowu zacząć się trudzić, żeby znów zacząć wszystko od nowa, otrząsnąć się z gnuśności i zmysłowości i podjąć walkę, którą przerwałem. To jest marzenie, tylko marzenie, które kończy się niczym i pozostawia śpiącego tam, gdzie się położył, pragnę jednak Panią poinformować, że to Pani mnie do niego natchnęła.

Proszę spalić tę kartkę.

C.

Ellen czytała ją w kółko. Nie spaliła jej. Właściwie nie zrozumiała, o co w niej chodzi. Nie miała dla niej więcej sensu niż jego tajemnicze słowa przy podwieczorku. Wprawiały ją w zakłopotanie, podniecały i wywierały na nią presję. Wiedziała, że coś znaczą, coś ważnego i złowieszczonego, chociaż to, czym miałyby to być, wymykało się jej pojmowaniu.

Czyż nie był to osobisty list od najślawniejszego pisarza w całej Anglii, zaadresowany do niej – Ellen Ternan? I czy nie była to najcudowniejsza, najniezwyklejsza i najbardziej nadzwyczajna sprawa, i czy ten najślawniejszy pisarz w Anglii nie uważał, że jest interesująca, mądra i daje mu natchnienie?

Przycisnęła pocztówkę do piersi, chciała pobiec do sąsiedniego pokoju i powiedzieć o wszystkim Marii, ale coś ją przed tym powstrzymało. Wydarzyło się coś wyjątkowo cudownego, nadzwyczajnego i niezwykłego, jednak zamiast powiedzieć o tym siostrze, schowała pocztówkę na dnie swojej torby. Czy z powodu tych słów: „Proszę spalić tę kartkę”? Nie wiedziała. Wiek nie był przeszkodą; ostatecznie kilka jej jak najbardziej godnych szacunku przyjaciółek wyszło za mąż w wieku piętnastu albo szesnastu lat, niektóre za mężczyzn trzykrotnie od nich starszych. Nie, problem tkwił gdzie indziej. Pan Dickens jest żonaty. Ukryła pocztówkę... Dlaczego to zrobiła? Nie wiedziała, wiedziała tylko, że przynajmniej w tej kwestii postąpiła mądrze.

Wieczorem Dickens ponownie grał Wardoura, który tym razem okazał się jeszcze bardziej opętany, demoniczny, skruszony i skłonny do pokuty. I ponownie poświęcił się dla miłości. Wyraźnie było słychać szloch z pierwszych rzędów.

W czasie występu Dickens był zdeterminowany jeszcze bardziej niż zwykle, aby zachować się szlachetnie i bezinteresownie jak Wardour. Tak dłużej być nie może! Musi się jakoś uwolnić od Ellen Ternan bez względu na cenę, na ból i cierpienie, na tę śmierć za życia, której od tej pory miał doświadczać codziennie.

– To było najlepsze przedstawienie tej sztuki, jakie mogłem sobie wyobrazić – powiedział potem Wilkie Dickensowi. – Dosłownie zelektryzowałeś publiczność.

Collins nie mógł wiedzieć, że kiedy na końcu zabrzmiały nieustające i rzęsiste brawa, w Dickensie narastało jakieś dziwne uczucie, które przeszło wreszcie w najokropniejszy strach. Szedł jakimś wąskim tunelem przez czernią tego przemożnego hałasu tam, skąd nigdy nie miał powrócić.

Kilka miesięcy po wyjeździe Franklinów władze znów zaczęły się martwić o to, by na Ziemi Van Diemena nie doszło do buntu czarnych, chociaż tę przerażającą perspektywę ucieleśniała jedna jedyna pozostała tu przedstawicielka rasy aborygeńskiej: dwunastoletnia dziewczynka, która prawie w ogóle przestała się odzywać i która – czego dowiedziała się w kabinie Croziera i co szczegółowo przemyślała, żyjąc pośród dzieci w sierocińcu – zniknęła z życia lady Jane.

– Są tacy, którzy wierzą nawet, że ta Mathinna rzuciła diabelską klątwę na poprzedniego gubernatora – powiedział Montague, gdy nowy gubernator przeglądał pismo, sugerujące, by odesłać dziecko między niedobitków jej wygnanego ludu na Flinders Island.

– Jestem wyznania anglikańskiego – odrzekł nowy szef Montague’a, posypując piaskiem swój szybko złożony podpis – i dlatego czuję się zwolniony z ciężaru, jakim jest potrzeba wierzenia w cokolwiek.

Ponieważ tylu współbraci odeszło od nich na zawsze, Aborygeni z Wybalenna byli poruszeni powrotem dziecka. Przyjazd Mathinny był dla nich prawdziwym wydarzeniem. Postawili czujki na Flagstaff Hill, pobiegli na plażę, machając na powitanie, kiedy słup rzucił kotwicę, i zaczęli krzyczeć, ujrzawszy, że ze statku zostaje spuszczone szalupa z siedzącą na dziobie kościstą czarną dziewczynką. Zaczęli ją obejmować, gdy zeszła na ląd. Mathinna znowu była czarną księżniczką Hobart. Przypominało to przedstawienia teatralne, które czasami przyjeżdżały do miasta i na które zabierała ją lady Jane – tylko że teraz dziewczynka była zarówno aktorką, jak i publicznością.

Nie okazywała radości ani szczęścia, dopóki nie zrozumiała, że nikt nie zmusi jej do noszenia chodaków pod bolesną karą chłosty, jeśli sama nie będzie chciała ich włożyć. Zdjęła ciężkie buty z sosnowego drewna. Skóra na jej stopach była miękka, biała i łuszczyła się. Końce palców u nóg wyglądały tak, jak gdyby owinięto je wilgotnym ciastem. Palce chrzęściły, kiedy zaciskała je i otwierała w mokrym piasku na plaży w Wybalenna. Za plecami dziewczynki szumiało morze. Powietrze pachniało drzewami herbacianymi, solą i życiem. Widziała podrywające się spośród naniesionych przez fale śmieci czarodziejskie strzyżyki, przeraźliwie niebieskie na tle lśniących wodorostów.

Wyrzuciła chodaki w zagajniku drzew herbacianych.

Tłum zaśmiał się i wydał ryk aprobaty, Mathinna pozostawała jednak poza ich poruszeniem, piskami i pytaniami. Nie wróciła z oposem albinosem, którego odchody przypominały kule karabinowe. Nie wróciła ze śmiechem. Wbiła palce stóp jeszcze głębiej w piasek. Była świadoma piaszczystego tarcia i chrzęstu życia. Patrzyła jednak na wszystko jak niewidoma. Wciskając stopy coraz głębiej,

zrozumiała, że to prawda: niczego nie czuła.

Nie minęło wiele czasu, kiedy podniecenie krajowców z Wybalenna wyparowało. Mathinna wydała im się dziwna. To białych uważała za swoich rodaków, nie ich.

– Mathinna nas opuściła – powiedziała Agresta – i ciągle jej z nami nie być.

Nielicznych Aborygenów, których spotkała tutaj po powrocie, dziewczynka uznała za brudnych, głupich i indolentnych. Nie okazała zaskoczenia ani wzruszenia, dowiedziawszy się, że reszta plemienia nie żyje i spoczywa na cmentarzu Robinsona, który wyjechał do Australii z ujarzmionymi czarnymi, by objąć opieką Aborygenów z Port Phillip.

– Oni dla mnie obcy – powiedziała zarządzającemu teraz osadą doktorowi Bryantowi w obecności kilku z tych krajowców, których tak oczerniała. – Zwyczajnie obce brudasy.

Zrobiła po prostu to, co ostatnio robiła zawsze: pozwoliła błądzić swoim myślom, które wkrótce zaczęły krążyć nad cmentarzem; wydawało się jej, że patrzy z góry na tych Aborygenów, którzy ją tu zabrali, i na siebie – i nie jest już piękną dziewczynką w pięknym stroju, tylko przypominającym złamaną gałąź dzieckiem odzianym w brudną brązową halkę i podarty niebieski pulower.

Od czasu do czasu chuda Aborygenka mówiła coś, bo musiała, a ponieważ jej duch unosił się teraz w górze, rozumiała, że wyraża się w sposób, który nie jest sposobem mówienia białych ani czarnych, że mówi dziwnie, używając dziwnych słów, niemających sensu dla nikogo. Kim ona jest? Dlaczego wyraża się w ten sposób? Skąd ten jej dziwny, załamujący się głos?

Jeden z tubylców, młodzieniec nazwiskiem Walter Talba Bruney, rozgniewał się. Powiedział, że nie rozumie, dlaczego tak się dzieje, nie pojmuje, skąd tyle umierania. Wskazał groby i zaczął jej krzyczeć w twarz, jak gdyby to była jej wina, jak gdyby Mathinna wróciła do Wybalenna z jakąś odpowiedzią, wiadomością, nadzieją, z jakimś wytłumaczeniem. Ale ona przywiozła tylko tę czerwoną sukienkę, która już na nią nie pasowała i którą przywykła nosić teraz jak chustkę.

Nie wiedziała, że złość Waltera Talby Bruneya zrobiła wrażenie na jej niektórych współplemieńcach i że Walter sądził, że może zrobić wrażenie także na niej. Nie poruszyła się. Nie obchodziło jej to. Rozumiała, że to wszystko nic nie znaczy.

– W takim razie zabijcie i mnie – powiedziała.

Nie miał władzy nad taką dziewczyną.

Pozostało ich przy życiu mniej niż setka, byli zrozpaczeni i nadal umierali. Rano kobiety szły na szczyt Flagstaff Hill i przesiadywały tam przez cały dzień, patrząc na odległy o sześćdziesiąt mil na południe horyzont, na daleką linię brzegową swojej ojczyzny. Tamtejsze wioski z butwiejącymi kopulastymi chatami bezskutecznie czekały na ich powrót; leśne poręby zarastały młode drzewka, na

ścieżkach rosły krzaki, a równiny, na których polowali, ogradzano i wypasano na nich owce. Przywoływały swoich osamotnionych przodków, którzy dzięki magicznym inkantacjom starali się wrócić do domu, by nie utracić na zawsze swoich dusz, ale nie było odpowiedzi.

Mathinna nie poszła na szczyt Flagstaff Hill. Początkowo spędzała wiele czasu z katechetą Robertem McMahonem. Był takim brudasem, że doktor Bryant powiedział swojej żonie, że jeśli na wyspie zabraknie kiedyś żywności, z koszuli McMahona będzie można wygotować resztki jedzenia kryjące się w jej czarnych, usmarowanych tłuszczem fałdach.

– Nie przyznaję się do słabości ani głupoty – zwrócił się McMahon do doktora Bryanta, wyjaśniając mu, skąd się tu wziął. – Proszę tylko o wybaczenie. – Ciągłe to powtarzał, jak gdyby jego pierwotny zamiar uzyskania spokojnej, chociaż przeciętnej kolonialnej synekury obejmował współudział w jakiejś dziwnej, niezauważonej zbrodni. Było jednak prawdą, że McMahon i doktor Bryant dostali ponure zadanie utrzymania jakiegoś takiego porządku w miejscu określonym przez syna Protektora mianem kostnicy, którą z przyjemnością opuszcza.

Z początku McMahon był wszystkiego ciekawy i troskliwy, trochę nauczył się języka krajowców i przetłumaczył kilka fragmentów Pisma Świętego na aborygeński, ale ludzie nie przestali z tego powodu umierać, a rząd ciągle obcinał doroczne dotacje dla osady. Ciągłe było mniej żywności, mniej ubrań, mniej wszystkiego. Z czasem Bryant i McMahon zaczęli wstrzymywać wydawanie zapasów i rozważali możliwość zastrzelenia kilku tubylców, by zachowali spokój, ci jednak wciąż prowokacyjnie umierali.

Żaden z Aborygenów nie był taki brudny jak McMahon, który miał niezwykle zdolności do przekręcania sążnistych cytatów z Biblii i wydawał się stać po stronie czarnych, a zarazem nimi pogardzał. Z punktu widzenia Mathinny odznaczał się dodatkową zaletą, nie był bowiem lubiany przez krajowców, a to jej zdaniem oznaczało, że pewnie jest dobrym człowiekiem. Chcąc zrobić na nim wrażenie, często prowadziła w jego obecności notatki w swoim dzienniku, bo dawniej nieraz widywała, jak robi to lady Jane.

McMahon zażądał, żeby pokazała mu, co pisze. Spełniła to polecenie, sądząc, że może katecheta będzie miał dzięki temu lepsze zdanie o niej niż o innych czarnych, wśród których, niestety, musiała teraz przebywać. Chociaż efektownie udawała, że dużo notuje, McMahon przekonał się, że w rzeczywistości pisała bardzo mało. Nie wiedział, że dziewczynka uważała pisanie również za rodzaj nagrody, za manifestację przyzwoitości, jak korzystanie z mydła, a także za przejaw siły. Gdyby zdawał sobie z tego sprawę, wybuchnąłby śmiechem.

Czasami przepisywała Pismo Święte, a czasem reklamy wyrobów bawełnianych, mydła, leków albo ogłoszenia o sprzedaży koni z „Hobart Town Chronicles”. Robert McMahon wziął dziennik Mathinny do ręki i przeczytał na

głos:

Nie powinni rozrzucać mydła mają za dużo mydło jest dobre żeby się nim myć a jednak ono nic ich nie obchodzi, nie, woleliby raczej wysmarować się tym czymś czerwonym kleistym co to tego ciągiem używajom i co lubiom kłaść na twarz lepiej niż mydło.

Zatrzymując się tylko między słowami śliskimi od pianistej śliny na jego wargach i na ustniku fajki z kaczana kukurydzy, czytał dalej:

Teraz rozumiecie że nikt z tych dobrych ludzi już nie żyje Walter Talba Bruney mówi że to dobrze że to boska rzecz i że wszyscy poszli do Jego chwały. Ale nie, ja myślę że oni umarli i ich nie ma a Walter Talba Bruney mówi że jeśli i ja umrę to niech się obudzę z powrotem na łowiskach gdzie będzie pełno kangurów i emu i żadnych pytań. Nie, nie widzę twarzy ojców śnię że drzewa wiemom wszystko i wszystko mi mówiom. Nie nie widzę go drzewa śnię że wiemom wszystko.

Robert McMahon wrzucił dziennik dziewczynki do kominka.

Minęły trzy lata. Potem przyszło lato ognia. Opowieści o tym, że nigdy się nie skończy, że niszczy ogromne połacie dalekiego interioru Australii, przyplłynęły razem z brygiem, który wyłonił się z grudniowego wschodu słońca, wioząc na pokładzie ujarzmionych czarnych Robinsona, wracających po pobycie u jego boku na kontynencie. Uciekli od Protektora i przyłączyli się do australijskich Aborygenów, mówiąc im, że muszą pozabijać białych, bo inaczej sami zginą. Strzelali do hodowców owiec i bydła, plądrowali chaty pasterzy, palili domy, zabili dwóch wielorybników. Biali schwyтали i powiesili Timmy'ego i Pevaya, ale pozostałych sześcioro krajowców – trzech mężczyzn i trzy kobiety – zachowało życie dzięki interwencji Protektora i wróciło do Wybalenna.

Te kobiety były inne niż tamte, siedzące na Flagstaff Hill. Uczyły Aborygenki nowego, diabelskiego tańca. Za dnia Mathinna prowadziła nowy dziennik, lecz wieczorami przyglądała się diabelskiemu tańcowi wokół wielkiego ogniska. Przez pewien czas starała się przekonać kobiety, które wróciły z Australii, że zachowują się ordynarnie i w niecywilizowany sposób, nocami słuchała jednak w zadziwieniu, jak snują opowieści o wszystkim, co widziały wśród poławiaczy fok i wielorybników, urzędników państwowych i misjonarzy. Odkryły bowiem coś nadzwyczajnego: że światem rządzi nie Bóg, tylko diabeł.

Świat został pokryty henną niekończącej się dymnej mgły, która obniżała niebo i zmiękczała każdy widok ponurych, fantastycznych gór w niewyraźny pejzaż. Słońce nie było już solidną i stabilną kulą, stało się czerwone i drżące. W ciągu dnia w powietrzu unosił się gryzący zapach pożarów odległych o setki mil, noce wypełniały jednak hałasy i krzyki towarzyszące diabelskiemu tańcowi. Wieczorem tego dnia, kiedy wreszcie wstała, by dołączyć do tańczących, Mathinna została obsypana zwęglonymi liśćmi i poczerniałymi paprociami, które przywiał

wiatr z Australii, a które w końcu zaczęły wirować i opadać na ziemię w Wybalenna.

Zaprzyjaźniła się z Walterem Talbą Bruneyem, który okazał się dziwniejszy od niej. Miał dwadzieścia dwa lata, jeszcze nie utył, ciągle był przystojny, a nieliczni pozostali przy życiu Aborygeni uważali go za jednego ze swoich największych bohaterów. Walter był pewien co do wielu rzeczy, otrzymał bowiem wykształcenie od Protektora, którego był kiedyś ulubieńcem, i najwyraźniej czuł się swobodnie zarówno wśród białych, jak i wśród swych współplemieńców. Syn wodza z Ben Lomond, miał magiczne moce. Na przykład umiał pisać.

To jego pisanie było tak potężne, że uważano je za coś w rodzaju czarów. Przez jakiś czas groził, że nazwiska tych starców, którzy nie chcieli podporządkować się Protektorowi, umieści we „Flinders Island Chronicle”, pisanej odręcznie na jednej kartce gazetce, której był redaktorem, autorem, rysownikiem, właścicielem i promotorem w jednym. Jego groźby wzbudzały przerażenie, za którym zawsze szła krótkotrwała uległość.

Dzień po swoim pierwszym diabelskim tańcu Mathinna popłynęła na langusty i uchowce, a potem upiekła je na małym ognisku na plaży razem z Walterem Talbą Bruneyem i położyła się z nim na piasku. Następnie przyszedł zmierzch pełen opowieści o tym, co widziała, o szaleństwie i o dziwactwach białych.

Walter powiedział, że nie boi się białasów. Miał różne pomysły, które zapożyczył kiedyś od białych nauczycieli, ale które teraz się zmieniały. Odzyska ziemię czarnych. Będą hodować własną pszenicę, kartofle i owce, będą żywić się też burzykami i jajami. Nie trzeba im białasów, żeby nimi rządzą. Napisze do królowej. Była jedenasta wieczorem, kiedy McMahan znalazł Mathinnę na zalanej księżycowym światłem plaży, gdzie dawała Walterowi Talbie Bruneyowi to, co przecież już dawno zabrał jej inny mężczyzna.

Rozwścieczony McMahan zbił ich oboje cienką laseczką z drzewa herbacianego, którą trzymał specjalnie w tym celu. Kazał Walterowi rozmyślać o Bogu, piekle i karze i żeby mu w tym dopomóc, zamknął go na siedemnaście dni do więzienia. A żeby uratować duszę dziewczynki, która bez tego byłaby już stracona i potępiona, zrobił ją swoją służącą.

W domu mówił różnymi głosami. Powiedział Mathinnie, że jest Wybrańcem. Bił ją prawie codziennie. Przy byle okazji chłostał dziewczynkę za każdy najmniejszy błąd i tylko chłosta zdawała się sprawiać mu przyjemność. Kiedy jej czarne plecy spływały w końcu krwią, zaczynał mówić, odmierzając słowa niczym uderzenia.

– Rozumiesz – mówił, pilnie chłoszcząc ją dalej – miała dziewiętnaście lat i była brzemienna. Żyła po chrześcijańsku, w kobiecej cnocie, i umarła w pełni przeświadczona, że za grobem czeka ją lepsze życie.

Mathinna zrozumiała tylko tyle, że jest to inna forma katechizmu.

Kobiety, które przywiozły diabelski taniec z powrotem na wyspę, miały też świeży zapas czerwonej ochry, wykorzystywanej w czasie ceremonialnych piasów. Odmawiały pracy w ogrodzie bez zapłaty i nie chciały sprzątać domów białych, jeśli nie dawano im lepszego odzienia. Namawiały mężczyzn, żeby stawiali opór. Powtarzały kobietom, że muszą walczyć.

Mówiły, że Jezus to jedynie sztuczka diabła. To diabeł rządzi światem. Na końcu nie ma światła, odkupienia ani sprawiedliwości. Pan Bóg, niebo, gadanina białasów – wszystko to diabelskie sztuczki. Nie ma żadnych czarnych marzeń, białego raj, jest tylko ten skurwiel, diabeł, który wszystko skurwia.

Żyły w tym świecie, widziały na nim diabła – i nie było takiego argumentu przemawiającego za dobrocią świata, którego nie mogłyby zbić, używając strasznego kontrargumentu swojego nieszczęśliwego żywota. Może tam w górze, wśród gwiazd, trwają niekończące się łowy, o których mówiła starszyzna. Trzeba będzie jednak walczyć, żeby się dostać do nieba. Idźcie z diabłem, cieszcie się nim – bo co wam pozostało? Myślicie, że diabeł przegrać? A czy diabeł kiedykolwiek przegrać? No, powiedzcie same. Powiedzcie same, kiedy to diabeł nie zrujnować wam życie? Tańczcie z nim, cieszcie się diabłem, bo on nas wkrótce wszystkich zabrać, bezwzględnie. Bez względu na wszystko.

A potem wybuchały śmiechem. Straszliwym, mieszącym się z coraz szybciej napływającym zapachem wodorostów, z przemożną wonią wilgotnego seksu, buchającego pomiędzy grubych, skórzastych czułek serpentynowej zieleni, długich na setki stóp, a wyrzucanych przez morze na całym wybrzeżu. Zapach ten niósł z plaży zachodni wiatr tej nocy, gdy Mathinna w milczeniu układała długie, cienkie źdźbła uschłego żółtaka od nawietrznej strony domu katechety tak cierpliwie, jak kiedy cerowała koszulki w sierocińcu.

Przypomniała sobie żółknące kartki dziennika i to, jak jej sny o drzewach zwijały się, a potem zamieniały w popiół w ogniu katechety, i zrozumiała, co powinna zrobić. Ułożyła jedną warstwę w poprzek, bo tak źdźbła łatwiej zajmą się ogniem i trudniej je będzie ugasić, a potem zaczęła splatać rośliny wzdłuż, aby płomień podsycił i szybko je wzbijał wiatr. Następnie odeszła i odtńczyła diabelski taniec, potem ognisko przygasło i pozostało po nim niewiele więcej niż węgle, czarni byli już zmęczeni, biali posnęli, i wtedy dziewczyna zrobiła pochodnię z gałęzi drzewa herbacianego obwiązanej liśćmi orlicy.

Gdy Robert McMahon wybiegł z ogarniętego pożogą domu cały, zdrowy i w samej brudnej koszuli, żeby schwytać Mathinnę, kiedy rzucała kępy liści paproci na płonący dom, nie pytał, czy jest winna, ona zaś nie udawała, że nie jest. Zmusił Aborygenkę, żeby uklękła, związał jej ręce i zbił ją laską z drzewa herbacianego.

Nieliczni mężczyźni, którzy mieli jeszcze magiczne moce, rzucili na niego

kłatwę. Nie pomogła. McMahon zaczął bić Mathinnę jeszcze mocniej. Był niezniszczalny jak mrówki i bez względu na to, jak często go deptano, zawsze wracał. Przeżył pożar. Przeżył kłatwy, czarodziejskie inkantacje i magię zaostrzonych kości umarłych. Nie przeżył, kiedy aborygeński wioślarz wyrzucił go za burtę o milę od Big Dog Island, krajowcy jednak nadal umierali, a cmentarz Robinsona wypełniało coraz więcej tubylczych trupów.

Niektórzy biali wyrażali obawy, że mogą wymrzeć wszyscy Aborygeni, a inni gorąco o to się modlili, wszyscy jednak zgadzali się co do tego, że ten dawniej wojowniczy i energiczny lud ogarnęły melancholia i apatia. Mathinna budziła się z przeraźliwym krzykiem. Starcy prosili, żeby im mówiła, jakie śnią się jej koszmary. Nie miała nic do powiedzenia.

– Nie mieć więcej dobrych snów – odpowiadała, zniknęła bowiem jej jedyna pociecha z czasów w Hobart Town. Nie lubiła mówić, że ojciec nigdy do niej nie przychodzi, bo nie chciała go okrywać hańbą. Wiedziała, że musi być jakiś powód po temu, że jej nie odwiedza, i że tym powodem jest na pewno ona. Nie mówiła też, że nie pamięta już twarzy swojego ojca.

W końcu pozostało już tylko czterdzieścioro siedmioro Aborygenów z Ziemi Van Diemena i stało się jasne, że nie stanowią więcej żadnego zagrożenia. Gdy okazało się, że trzymanie niedobitków w nędzy, do której się przyzwyczaili, za dużo kosztuje, nowy gubernator ogłosił, że można ich odesłać, by wiedli dalszy żywot w jeszcze gorszej nędzy w swojej ojczyźnie. Internowano ich w Oyster Cove, na południe od Hobart Town, w rozsypujących się kamiennych domach, gdzie dawniej mieszkali zesłańcy. Żywili się tam rumem i przyznanymi im przez władze racjami żywnościowymi, wynoszącymi dwa funty mięsa dziennie.

Sześcioro pozostałych przy życiu tubylczych dzieci, w tym Mathinnę, odesłano do sierocińca St John's. Przyjechały wieczorem. Mathinna skryła twarz w dłoniach, jak gdyby niepewna, że ją ciągle ma i że jeszcze żyje, i popatrzyła w niebo. Przez szpary między jej palcami wpadało srebrzyste światło.

– Towterer – szepnęła.

We wszystkim są jakieś szpary, pomyślała. Miała piętnaście lat i przetrwała dzięki temu, że trzymała się najmniejszych drobiazgów, rzeczy najmniej istotnych.

Po sześciu miesiącach spędzonych w sierocińcu Mathinnę posłano do pracy u krawcowej, pani Dellacorte, mieszkającej w pobliżu dzielnicy Salamanca. Czarna księżniczka przez krótki czas była atrakcją, gwiazdą, którą pani Dellacorte od początku doceniała za jej wartość handlową. Krawcowa, przebrzmiała piękność, która lubiła rude peruki i której uroda wycofała się już za welon z pudru bieli ołowianej, tworzącego jakby upiorną maskę na jej twarzy, nie zarabiała na naprawianiu sukni za dnia, tylko na prowadzonej pod osłoną nocy melinie. To właśnie tutaj miała pracować Mathinna, roznosząc dzbany z rumem i lemoniadą oraz słodzony gin dla amerykańskich wielorybników i maoryskich poławiaczy fok,

dla żołnierzy po służbie, a czasem dla jakiegoś starego zesłańca, któremu udało się wykrobać dość pieniędzy na kolejną szklaneczkę.

– Możesz robić, co chcesz – powiedziała krawcowa. – Tylko mnie nie wydaj.

Mathinna zrozumiała to w ten sposób, że i ona może pozwalać sobie na ognistą przyjemność picia rumu i herbaty z cynamonem, którą szybko bardzo polubiła.

Pani Dellacorte i jej czarna mopsica Beatrice rządziły w knajpie z lodowatą bezwzględnością. O tych, którzy irytowali panią albo jej psa, nie rozmawiano, a przede wszystkim nie odzywano się do nich, przy drugim zaś wykroczeniu wyrzucano ich za drzwi. Beatrice, kiedy nie leżała na kolanach pani Dellacorte albo nie snuła się po stołach, by obrzydliwym jęzorem o gadziej długości i zręczności wylizywać z talerzy resztki jedzenia, siedziała na brudnej owczej skórze przy wejściu do długiego ciemnego korytarza, rżąc gorzej niż konający suchotnik.

W zaciemnionym salonie na podłodze, czyli na ubitej ziemi, stała najdroższa własność pani Dellacorte: stół bilardowy z jedną złamaną nogą, wspartą na starym pieńku rzeźniczym. Nad kominkiem wisiał portret młodej i całkiem urodziwej właścicielki tego skarbu, która patrzyła z obrazu na stół jak gdyby z ostatnią prośbą – o nadzieję na coś lepszego? O przebaczenie? O miłość? Pani Dellacorte żyła bowiem w świecie pozbawionym miłości, przed którego grozą broniła się tym, co leżało na wytartym suknie stołu bilardowego, czyli pamiątkami po zmarłym kochanku, kobieciarzu i rozrzutniku, utrzymującym, że pochodzi z Habsburgów.

Leżały tam też jednak pochwy bez szabli, kompasy bez igieł, a nawet astrolabium z wygiętą alidadą i kilka gazet w jakimś dziwnym, niemożliwym do odczytania języku – węgierskim, jak mówiła pani Dellacorte. Twierdziła, że artykuły opisują bitewne wyczyny jej męża na kilku zapomnianych wojnach. Pokazywała te rzeczy każdemu gościowi, którego uznawała za ważną osobistość, albowiem chciała uchodzić za kobietę nie tylko namiętną, ale i o wysokiej pozycji społecznej. Nikt oprócz niej nie miał jednak dostępu do tych pamiątek.

Bez względu na to, jaką umowę zawarto między sierocińcem i krawcową, która miała łożyć na utrzymanie Mathinny do osiemnastego roku życia, dziewczynka i jej nowa opiekunka nie zawarły między sobą żadnej umowy. Mathinna żywiła się resztkami, kradła alkohol, a ponieważ nie dostawała zapłaty za pracę, zaczęła wymieniać to, co ukradł jej sir John, na drobne monety i chleb. Nie przywiązywała do tego większej wagi. Nie było to przyjemne – ale czy ona w ogóle miała w życiu jakieś przyjemności? Ostatecznie światem rządzi diabeł. Czasami nawet dostarczało jej to dziwnej pociechy: gorzej już być nie może, powtarzała sobie, kiedy mężczyźni ślinili się, jęczeli i bodli ją.

Niestety, mogło być gorzej, a najgorsze przychodziło wtedy, kiedy wracały do niej wszystkie wspomnienia współplemieńców, ich dobroci, śmiechu i tańców wokół ogniska. W wolnych chwilach szła do Queen's Domain, gdzie łapała

zielono-czerwone papużki, a potem sprzedawała je tym, którzy lubili ich mięso zapiekane w cieście.

Zauważyła, że coś jej cieknie w kroku i swędzi ją całe ciało. Zrozumiała, że ma syfilis. Ponieważ chorowali na niego prawie wszyscy, których знаła, wydało się jej to równie nieistotne jak dokuczliwe, a czasami bolesne, jak ukąszenia wszy, które też ją zaatakowały. Znajoma dała jej do wypicia ampułkę rtęci. Wymiotowała, wypadły jej wszystkie paznokcie, ale po jakimś czasie wysięk i swędzenie ustąpiły.

Najbardziej tęskniła do snu i jego słodkiego zapomnienia. W chwili kiedy podchodziła do swojej pryczy i wsuwała się pod okrycie ze skór oposów, czuła się bezpieczna.

Pewnego wieczoru do pokoju wdowy w głębi domu zapukał bardzo wysoki i chudy stary człowiek. Inna dziewczyna, też pracująca dla pani Dellacorte, powiedziała Mathinnie, że zbił majątek jako spekulant, który otrzymawszy niewielki spadek, kupił pół jednej akcji w wyprawie wielorybniczej i dzięki tej inwestycji został potem właścicielem kilku statków. Na widok Mathinny mężczyzna się uśmiechnął. Rozmawiał z nią zaledwie przez kilka minut, zanim stwierdziła stanowczo, że jeżeli chce ją mieć, będzie musiał zapłacić tak jak wszyscy. Przestał się uśmiechać, otworzył kościste palce i oczom dziewczyny ukazał się niepojęty dla niej widok gwinei.

Padał deszcz ze śniegiem i nie poszli tam, gdzie zwykle pracowała, czyli do pustego i przeznaczonego do tego celu boksu w stajni, lecz wślizgnęli się ukradkiem do nieco mniej zimnego saloniku pani Dellacorte, pełnego świętych pamiątek. Jednak kiedy Mathinna podkasała spódnicę, nieznajomy powstrzymał ją, posadził na krześle, dał jej następną gwineę i zadał pytanie:

– Panno Mathinno... Panienska mnie nie pamięta?

Poznała go dopiero, gdy wyciągnął z sakwy akordeon. Był to pan Francis Lazaretto. Kiedy zagrał *The Ballad of the Cyprus Brig*, jego głos oczarował ją po raz ostatni. Zwolnił tempo, a wtedy ze sfatygowanych, małych miechów wydobyły się dziwne smutne, słodkie dźwięki i Mathinna zaczęła wirować na prawo i lewo w leniwym wspomnieniu radosnego tańca, do którego kiedyś porywał ją nauczyciel. Wstał, żeby wyjść, i powiedział tylko jedno zdanie, które nic dla niej nie znaczyło.

– Istnieje więcej niż jedna forma spełnienia.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju weszła zdyszana czarna mopsica, wywalając na wierzch długi jęzor, a za nią pani Dellacorte. Rzuciła tylko jedno spojrzenie na siedzącą na stole bilardowym czarną dziewczynę, która najwyraźniej zbezczeszczyła jej najcenniejszą kapliczkę, i gdy Mathinna pierzchła z salonu w ślad za Francisem Lazaretto, pani Dellacorte powiedziała, że może już do niej nie wracać.

Jadąc swoim powozem na spotkanie z Pedderem, żeby omówić ciekawą propozycję biznesową – odnotowano gwałtowny spadek cen pastwisk w rozrastającej się nowej kolonii Port Phillip – Montague zobaczył idącą chwiejnym krokiem w jego stronę młodą Aborygenkę.

– Ledwo ją rozpoznałem, tak bardzo się zmieniła... W dodatku ani trochę na lepsze – powiedział później Montague Pedderowi. Sekretarz gubernatora przeszedł wylew. Kącik sparaliżowanych ust opadał mu bezwładnie, mówił więc niewyraźnie. – Miała opuchniętą i zakrwawioną twarz, jak gdyby ktoś ją pobił albo jakby się przewróciła, i była wychudzona, sama skóra i kości.

– Podobno włóczy się po mieście i chleje w rynsztoku – odparł Pedder.

– Opuściłem zasłonę w oknie powozu, o tak... – powiedział Montague. Pochylił się i udawał, że szuka wzrokiem wąskiego paska szyby. – No, rozumiesz. – Zaśmiali się na myśl o tym, że taka łajdaczka mogła go wprawić w zakłopotanie. – Najdziwniejsze było jednak to, że kiedy mnie zauważyła, po prostu się uśmiechnęła! Dasz wiarę? Zrobiła taką minę, jak gdyby świat był dla niej absolutnie realny, a jednocześnie nie miał żadnych rzeczywistych podstaw... Jak gdybym nawet ja był tylko złudzeniem! Ale właśnie to zdawało się podtrzymywać ją w tym stanie jakiejś obłąkanej wyższości, ją, dziewczynę, która ciągle jest upokarzana, z której każdy drwi i którą, jak słyszę, ludzie nieustannie obrzucają kamieniami i błotem.

– Widziałem to na własne oczy – powiedział Pedder. – Włóczy się po ulicach jak we śnie.

W upadku Mathinny i w jej obecnym zachowaniu tkwiło jednak coś, co niepokoiło obu mężczyzn. Trudno powiedzieć, czy to, że najwyraźniej pogodziła się ze swoim losem, było rezygnacją, łatwowiernością czy może najgłębszym buntem albo pogardą, większą niż ta, jakiej kiedykolwiek doświadczyła ze strony syfilitycznych żołnierzy, pasterzy czy zwolnionych skazańców.

– Wiele można było o niej powiedzieć – odezwał się Montague, zagubiony w swoich myślach. – Ale nigdy nie była łatwowierna. – I z ust sekretarza spłynął wykrzyknik śliny.

Czasami Mathinna sprawiała wrażenie wyniosłej, jak gdyby jej dziwne życie naprawdę obdarzyło ją tym majestatem, który kiedyś jej obiecywano, jak gdyby z wysokości swoich pięciu stóp i czterech cali wzrostu widziała już wszystko, co można było zobaczyć w świecie ludzi, i jakby teraz stała ponad nimi, zdając sobie sprawę z ich słabości, nikogo jednak nie osądzając. Niektórzy w Hobart Town uważali, że to typowa dla czarnych głupota, inni, że arogancja. Jedni mówili, że to skutki alkoholu, inni przypominali dawne opowieści o jej czarach. Łatwo było ją lżyć, wyśmiewać, a czasem opluwać, ale myśl o Mathinnie niepokoiła mieszkańców.

Nadal sprzedawała swoje ciało, bo tylko to umiała robić, jeśli nie liczyć

niewprawnego pisania i tańczenia kadryla, i wreszcie pojęła, że przetrwa tylko w ten sposób. Chociaż przybytek pani Dellacorte był obrzydliwy, miała tam suche łóżko, siennik, ogień, a jeśli nawet jedzenie było niesmaczne, to przynajmniej zawsze go wystarczało, najpodlejszych mężczyzn wyrzucano zaś za drzwi, jeśli poturbowali jakąś dziewczynę.

Teraz jednak marynarze, starzy zesłańcy i żołnierze brali ją w stanie jeszcze większego upojenia alkoholowego, beznadziejnie, gwałtownie, boleśnie, ze złością i we łzach, mieli gnijące usta, szczerbate zęby, cuchnący oddech, zionęli nienawiścią i błagali o przebaczenie, rzadko bywali ciekawi Mathinny i zwykle chcieli się jej pozbyć od razu, kiedy z nią kończyli. Akurat to, chociaż właściwie nic więcej, jej odpowiadało.

Poza tym wiedziała, że nie sprzedaje siebie, tylko swoją skorupę, z której w pewnym momencie się uwolni. Niewielu klientów znało historię jej życia albo wiedziało o nim na tyle dużo, żeby jej dokuczać, mężczyźni nie rozumieli jednak, że to nie ją obrażają ohydnyimi słowami, szorstkimi paluchami i swoimi wynędzniałymi ciałami, bo jej po prostu nie było w tej dziwnej kotłowni, szarpaninie i szamotaninie dwojga ludzi na jakiejś błotnistej uliczce albo w buszu za miastem.

– Wiesz, była kiedyś ulubienicą i księżniczką gubernatora, jego oczkiem w głowie, cała w uśmiechach jasnych jak perełki i w czarnej błyskotliwości – usłyszała pewnego mrocznego wieczoru męski głos, wlokąc się po Cat and Fiddle Lane. – Ale straciła urodę.

– Chyba z niej wyrosła – odezwał się drugi głos, piskliwy i nikczemny. – I stała się kolejną czarną małpą.

Zdawszy sobie sprawę, że mężczyźni znajdują się tuż za rogiem, Mathinna przystanąła.

– Raczej czartystką – zaśmiał się pierwszy z rozmówców. – Daje każdemu.

Chociaż Mathinna nie całkiem rozumiała, o co im chodzi, zdawała sobie sprawę, że jest to coś, czego nie uda jej się nawet pomyśleć – i że słowa tych dwóch odebrały jej coś, czego nie można odebrać.

– Jezus krwawił jak czarnuch – powiedziała później tego dnia jakiemuś traczowi, który wziął ją zbyt brutalnie od tyłu.

– Bóg jest wolny – odparł. – A ty nie.

Istotnie, nie była wolna, a cena za jej usługi wciąż spadała. Włosy wychodziły jej całymi garściami, obwiązywała więc głowę tym, co pozostało z jej czerwonej chusty. Straciła większość zębów, które wciąż jej się psuły, i cała była pokryta liszajami. Sprzedawała swoje umęczone ciało za reale, mohury, rupie, okruchy dolarów hiszpańskich, wielkie pensy i znieprawione tasmańskie szylingi Degravesa, jeśli miała szczęście, a kiedy była w rozpaczce za kawałek peklowanej wieprzowiny i kilka potężnych haustów byle jakiego alkoholu. Czasami robiła to

kilka razy w nocy na tyłach różnych knajp, a czasem transakcję przeprowadzano szybko przy trakcie prowadzącym z Hobart Town przez góry, nad kanał D'Entrecasteaux i dalej do Oyster Cove, gdzie internowano nielicznych ocalonych z Wybalenna, z którymi Mathinna spędzała ostatnio coraz więcej czasu.

Przestała polować na ptaki. Więcej piła. Widziała – chociaż mętnie i niewyraźnie, nie umiała więc przełożyć tego ani na słowa ojczystego języka, ani na angielski – że inni ludzie zdają się delectować i rozkoszować sensem życia na świecie. Pani Franklin żyła po coś, na przykład dla edukacji, postępu i cywilizacji. Skazańcy pragnęli uciec, żołnierze chcieli stać się osadnikami, osadnicy chcieli się bogacić. Nawet starzy ludzie w Oyster Cove mieli nadzieję wrócić na swoje ziemie i do swoich przodków, jeśli nie za życia, to za grobem.

Mathinna pragnęła podobnego ognia, przy którym mogłaby żyć, tymczasem jednak musiała się zadowolić tym, co pomagało jej to wszystko wytrzymać, dzięki czemu była w stanie przetrwać. Najczęściej korzystała z alkoholu. Czasami zakrywała jeszcze oczy dłońmi i szukała światła w szparach między palcami, ale coraz rzadziej. Piła coraz częściej, podążając w mrok.

George Augustus Robinson odwiedził Oyster Cove w drodze powrotnej do Anglii, żeby pożegnać się ostatecznie z niedobitkami tych, których kiedyś chronił. Był zdumiony, że mają mu tak mało do powiedzenia, a jego wizyta nie wzbudziła żadnego zainteresowania. Chciał zwłaszcza zobaczyć Mathinnę, żeby przekonać się, jaki koniec miał eksperyment lady Jane z czarną księżniczką, spotkał się jednak tylko z żalnymi pogłoskami.

Nad tym, jakie dziwne było to jego ostatnie spotkanie z Aborygenami, zastanawiał się wiele lat później, w Bath, gdzie w końcu osiadł. Zamykał właśnie wielki kufer pełen wszystkich jego dokumentów, zawierających szczegółową historię kontaktów z dzikusami z Australii i Ziemi Van Diemena. Miał nadzieję jakoś wykorzystać te papiery – napisać książkę, zostać gwiazdą, zdobyć zaszczyty, pieniądze. Osiągnąć najbardziej nieuchwytny szczyt: wielkość. Nikt nie był jednak zainteresowany jego wspomnieniami, jak się w końcu okazało, nawet on sam. Najbardziej żałował tego, że nie wyciągnął ręki po więcej pieniędzy, kiedy sprowadził ostatnich tubylców do świata białych. Pieniądze, pieniądze, pieniądze, ach, jak pieniądze potrafią zmienić życie!

Ambicje Protektora, podobnie jak ciało, więdły. Trudno było mu odzyskać równowagę ducha. Miał nadzieję, że po jego śmierci na domu, w którym mieszkał, zawiśnie mosiężna tabliczka. Nie był już teraz pewien, jak się najlepiej starać o ten zaszczyt i jakie czynić doń aluzje, choćby najbardziej mgliste, gdy na ulicach starego regencyjnego uzdrowiska coraz rzadziej spotykał nieliczne osobistości, które paradowały tam w glorii swoich wpływów i potęgi. Co taka tabliczka miałyby upamiętniać? Jego myśli były niczym mgła. Słyszał dziwne śpiewy. Widział nagiego mężczyznę tańczącego między gwiazdami i ziemią. Wspominał rzeki,

ciemnoskóre dziecko u swoich drzwi, palce spocone od szycia. Osiemnastego października 1866 roku obudził się wcześnie i przekręciwszy głowę na bok w ciepłym łóżku, spojrzął na czerwone i rozproszone jesienne światło, wpadające cicho przez okno. Poczul, że ogarnia go olbrzymi spokój, wyciągnął się łagodnie i czując się bezpiecznie, w przekonaniu, że był dobrym człowiekiem, który pomógł w życiu wielu ludziom, skonał.

Na ostatnie przedstawienie nie było już wolnych miejsc. Ludzie, którzy przyjechali z tak odległych miejsc jak Londyn, błagali koników o litość. Lady Jane miała więcej szczęścia. Wprawdzie nie udało jej się obejrzeć *The Frozen Deep* w Londynie, była bowiem zajęta pozyskiwaniem funduszy na cele dobroczynne gdzie indziej, ale z zachwytem przyjęła zaproszenie na mający odbyć się tego wieczoru występ, które dostała wraz z czarującym listem od samego pana Dickensa.

Podróż do serca Manchesteru tego wyjątkowo upalnego sierpniowego poranka przypominała jej zejście do krateru Wezuwiusza. Światło miało kolor ochry, a gęste jak pot powietrze smakowało siarką; żelazne podkowy i koła omnibusów, powozów, dorożek i fur dudniły wokół niej, a kakofoniczne dźwięki przywodziły na myśl dziesięć tysięcy kuźni. Niczym widz na wulkanie, rozkoszowała się cudownymi wrażeniami z jednego z najnowocześniejszych miast na świecie, kiedy jej lando wjechało w boczną ulicę, żeby okrążyć obsiadłe przez muchy zwłoki konia, i nieoczekiwanie utknęło w kondukcje pogrzebowym.

Zjeżdżiła już cały świat, jej zemsta na uporze męża zyskała powszechną aprobatę jako szlachetna rozpacz, a rola lojalnej wdowy uwolniła ją od mężczyzn i pozwoliła zyskać wolność, którą niewiele kobiet mogłoby sobie choćby wyobrazić. Rozsmakowała się w życiu będącym wystudiowaną melancholią. Przyznać się do szczęścia byłoby niestosownie, lecz kiedy jej klnący na czym świat stoi stangret szukał jakiejś możliwości wyrwania się z pułapki, lady Jane pomyślała, że jest kobietą spełnioną.

Wyciągnęła szyję i zobaczyła, że to dziecięcy karawan, mniejszy o połowę od zwykłego, pomalowany na biało, z mosiężną drabinką i białymi strusimi piórami. Na marach leżała trumienka wielkości zabawki. Za podskakującym karawanem skapywała woda z roztopiającego się lodu upchniętego pod małym smutnym pudełkiem. Krople rozbryzgiwały się na rozgrzanym bruku i zmieniały w parę, a przyjemne myśli lady Jane rozwiały się na ten widok.

– Szybciej! – krzyknęła do stangreta. – Masz jak najszybciej zawieźć mnie na miejsce!

Ellen Ternan w hotelu Great Western też była w gorszym nastroju niż poprzednio. Przez cały dzień miała wrażenie, że Dickens jej unika. Martwiła się, że stracił dla niej szacunek, i przeklinała się w duchu, że pozwoliła sobie na zbyt dużą poufałość. Tymczasem Maria obudziła się niezdrowa i po południu przeziębienie już tak jej dokuczało, że straciła głos. Nie mogła nic na to poradzić i stało się jasne, że nie wystąpi wieczorem jako ukochana Wardoura, czyli Clara Burnham.

Na półtorej godziny przed podniesieniem kurtyny Ellen dostała lapidarny

liścik od Dickensa, który powiadamiał ją, że pan Hueffer znalazł jakąś miejscową aktorkę, żeby zagrała jej postać, Ellen będzie zatem mogła zastąpić chorą siostrę w głównej roli. Zalała się łzami, nie wiedząc, czy płacze z ulgi, ze strachu czy może z obu tych powodów naraz.

Chociaż z przedstawienia na przedstawienie Dickens grał coraz lepiej, to nawet aktorzy nie spodziewali się, że tego ostatniego wieczoru wystąpi z taką werwą i uczuciem.

– To już nie jest sztuka, tylko samo życie – zwrócił się Wilkie do Forstera, kiedy czekali za kulisami, żeby wejść na scenę.

– A ja się tylko cieszę, że to już koniec tych głupstw – odparł Forster, nie odwracając głowy. – Jeśli to potrwa jeszcze trochę dłużej, Charles skończy gorzej niż sir John.

Siedząca w najlepszej łoży lady Jane sapnęła ze zdumieniem, podobnie jak reszta publiczności, kiedy w ostatnim akcie Dickens pojawił się po raz ostatni jako umierający Wardour. Musiała podnieść do nosa uperfumowaną chusteczkę, bo woń przepoconej wełny i zwierzęcy smród bijący spośród rozgrzanych widzów na parterze, zdawały się coraz bardziej nieprzyjemne z każdym sensacyjnym zwrotem akcji. Dickens zmienił się w jakąś straszliwą istotę, jego oczy lśniły groźnie jak oczy dzikiego zwierza, miał długie, siwe i skołtunionie włosy i był w żalosnych łachmanach.

– Kogo chcesz znaleźć? – spytała Ellen Ternan. – Swoją żonę?

Wardour gwałtownie pokręcił głową.

– Więc kogo? Jaka ona jest?

Dickens na scenie mógł sobie wreszcie pozwolić na to, by spojrzeć w oczy Ellen, przyjrzeć się jej policzkom, nosowi, ustom, i nie potrafił przestać na nią patrzeć. Chrapliwy, dudniący głos, który wybrał do roli Wardoura, stopniowo cichł i łagodniał.

– Młoda – odparł – ma piękną smutną twarz i dobre czułe oczy. Jest młoda, kochająca i litościwa – zawołał, nie do publiczności, lecz do Ellen, i już nie głosem Wardoura, co było dziwne, lecz własnym. – Mam jej twarz w pamięci, choć nie pamiętam już niczego więcej. Muszę wędrować, wędrować, wędrować... niespokojny, bezsenny, bezdomny... aż ją w końcu znajdę! Przez lód i śnieg, na przelaj, nie śpiąc ni w nocy, ni w dzień, muszę wędrować, dopóki jej nie odszukam!

Lady Jane, patrząca na nich z wysokości swojej łoży, myślała o tym, że zmanifestowała czystość i cnotliwość swojej miłości niczym Clara Burnham. Była jednak daleka od tego, by mniemać, że swoim życiem dokonała zemsty, i wcale nie myślała szlachetnie o sir Johnie, bo przedstawienie przenosiło ją z powrotem do tamtych ostatnich lat na Ziemi Van Diemena. Było w nich coś tak złego, coś tak straszliwie niegodziwego, że bała się, że zaraz zacznie krzyczeć.

Dickens odwrócił się, świadomy obecności licznej widowni, skrytej w mroku. Wardour przestał istnieć i odpływał w dal wraz z bijącą z jego rozgrzanego ciała parą. Pisarz wyczuwał jednak żar pośród widzów pragnących czegoś więcej. Nie wiedział, co to jest, ale wiedział, że będzie im to dawał, aż nie zostanie już nic, tylko śmierć, która ścigała go aż do teatru i zżerała nawet tutaj, na scenie. Nagle padł na deski – publiczność wstrzymała oddech, ktoś krzyknął z przerażenia. Ellen ukłękła i delikatnie położyła jego głowę na swoich kolanach.

Wyczuwał jej uda na karku, kiedy go tuliła, uświadomił sobie, że zagarnia ich wreszcie białe światło, kiedy otoczyła go ramionami, i chciał już tak pozostać w jej ramionach i w tym świetle na zawsze.

Przyglądając się tej scenie przez swoje grube szkła, Wilkie poczuł się nie tylko wzruszony, ale i zdumiony, gdy Wardour, umierający w ramionach Clary Burnham, w końcu rozpoznaje w niej swoją dawno utraconą kochankę, dla której poświęcił wszystko, żeby jej ukochany, Frank Aldersley, mógł żyć. Collins nigdy w życiu czegoś takiego nie widział.

Ellen patrzyła na Dickensa, kręcąc głową i przygryzając wargi, a Wilkie ku swojemu zdumieniu zauważył, że aktorka płacze, i to wcale nie teatralnymi łzami, lecz ze szczerego serca. Wielu widzów na parterze płakało razem z nią. Lady Jane, mocno przyciskając do twarzy chusteczkę, również zauważyła, że emocje wzbierają w niej jak nieubłagana panika. Daleko w dole ujrzała widoczny jak pod wodą mroczny dziedziniec sierocińca i stojące na nim samotne, obdarte dziecko, które odwzajemniało jej spojrzenie.

– Szukam ciebie – odpowiedział Dickens drżącym głosem.

Lady Jane pochyliła się, podobnie jak widzowie na parterze; wszyscy wyciągali szyje, by lepiej widzieć i słyszeć. Przypominali jakieś żywe stworzenie, przyczajone zwierzę, które na coś czeka. Pisarz zdał sobie sprawę, że nie mówi już tekstem sztuki, która – nieprawdopodobnie, nieubłaganie, nieuchronnie – staje się odbiciem obecnego stanu jego ducha.

– Ciebie – powtórzył, tym razem głośniejszym głosem, bo chciał mieć jej pełne usta, zatracić się pomiędzy jej piersiami, zagubić się w jej brzuchu, gryźć jej uda, pozbyć się tego wszystkiego, czego się lękał, kiedy tkwił w bezruchu i samotności. Dyszał ciężko. Był śmiertelnie przerażony. Dygotał gwałtownie na całym ciele, mówił drżącym głosem, a jego słowa wydawały mu się objawieniem. – Przez całe życie szukałem tylko ciebie!

– Nic nie mów – powiedziała Ellen, jego Nell, wypowiadając kwestię, której nie napisali Dickens ani Wilkie. Po chwili, zrozumiałszy swoją pomyłkę, pokręciła głową, a kiedy ogarnęło ją wyjątkowo przerażające przecucie jego przeznaczenia, próbowała się wycofać w przypisane jej kwestie, mamrocząc pod nosem i myśląc się w taki sposób, że widzowie uznali to za integralną część przedstawienia.

Dickens jednak przyciągał ją ku sobie, ku jakiemuś dziwnemu i straszliwemu nowemu losowi, i Ellen nie potrafiła powstrzymać swojego upadku. Bała się za nich oboje. Rozejrzała się rozpaczliwie wokoło, lecz poza opasującym ich kręgiem światła wszędzie panowała ciemność. „Ściga nas ta kompletnie szalona noc. Ale jak dotąd nie ściga nas nic więcej”. Wokół zebrali się pozostali aktorzy. Mężczyźni z szacunkiem odkryli głowy. Koniec był blisko, wszyscy już to widzieli.

– Pocałuj mnie, siostrze, pocałuj, zanim umrę!

Jego słowa raziły ją w serce niczym niekończąca się kanonada. Nachyliła się nad nim i pocałowała go w czoło. Nie tylko dlatego że tak kazał scenariusz, lecz także dlatego że za tym pocałunkiem stała żelazna logika, z którą walczyła, ale której nie potrafiła się oprzeć. „Pytanie brzmi: czy ciebie na to stać?”. Zrozumiała teraz, że notatnik Dickensa krył jednak całą powieść, chociaż aż do tej chwili nie mogła przecież wiedzieć, że to ona jest jej niepisany centrum.

Czuł dotyk jej ust na czole i niesamowite napięcie pogrążonej w mroku widowni, czarną pustkę promieniującą jakąś energią, która pozwalała mu żyć jeszcze chwilę dłużej. Wyczuwał to, wyczuwał też, że widzowie go dopingują. Przybył tu przez przypadek, zbiegi okoliczności prowadziły go ku jego przeznaczeniu, a przecież wiedział, że w świecie, tak jak w jego opowieściach, nie ma zbiegów okoliczności, że w końcu ujawnia się sens wszystkich rzeczy, zarówno czaszki dzikusa, jak i zaginięcia sir Johna wśród lodowej kry albo tego, że on, Dickens, aż do tej chwili wydawał się sobie taki zagubiony. Pomyślał, że będzie musiał wlec się w jakimś dziwnym śnie na jawie przez resztę życia, które stało się dla niego osobliwą torturą. A może jednak nie?

– Co ci jest? – spytał, chociaż Ellen nigdy wcześniej nie słyszała tych słów, nie figurowały bowiem w scenariuszu. Spojrzała na niego, wstrząśnięta, nie wiedząc, co się dzieje. – Odmawia się nam miłości – ciągnął dalej, a ona wraz z publicznością słyszała, jak trudno przychodzi mu wypowiedzieć te słowa. – I nagle odkrywamy, że zostaje nam dana w całym bólu i nieskończonej męce złamanego serca. I wtedy jednak też mówimy tej miłości „nie”.

Nie zauważył, że pobladła lady Jane wstała raptownie, odwróciła się i wyszła z łoża. Już na ulicy, spiesząc się, by jak najszybciej odejść, przypadkiem wdepnęła w zatkany czymś gęstym i ohydny rynsztok. Upuściła chusteczkę, a wtedy jej nos i usta zalały obrzydliwe wyziewy miasta, sfermentowane od upału i roznoszone wiatrem: ścieki płynące po ulicach, wyschnięty na pył koński nawóz, unoszący się w powietrzu, kaustyczne paskudztwa tysięcy garbarni, warsztatów i fabryk oraz smród miliona niemytych ciał.

Poczuła się zagubiona, wydawało się jej, że zaraz zwymiotuje. Przyszło jej do głowy, że może istniejemy tylko w ludziach, którzy nas kochają. Nie mogła znaleźć swojego landa ani nawet dorożki. Czy powiedziała miłości „nie” tamtego dnia, kiedy patrzyła z góry na dziedziniec? Krzyknęła na dorożkę, potem głośniej,

nie pojawił się jednak żaden powóz. A jeśli człowiek odwróci się od miłości, czy to oznacza, że już przestaje istnieć? Czy ona istnieje? Poczuli się zagubiona i martwa jak kłębiąca się wokół niej jedwabista sadza. Wołała coraz głośniej, nikt jednak nie przychodził.

Jedynym dosłyszalnym dźwiękiem w środku było powolne sapanie i rżenie gigantycznych miechów, ciężko pracujących, aby podtrzymać wapienne oświetlenie, jak gdyby ten pojedynczy blady ogień dyszał wyłącznie dla dwóch tysięcy urzeczonych widzów, którzy pozostali na widowni.

– Nie umieraj, proszę cię – powiedziała Ellen.

Trzymał głowę na jej kolanach, łzy Ellen padały na jego twarz niczym deszcz i jednocześnie wlewał się w niego cały wszechświat. Czuł się otwarty na wszystko; była to wielka myśl, przerażające uczucie, coś, co istniało poza nim, lecz teraz w niego weszło, coś jednocześnie nikczemnego i upajającego. Czuł się tak, jak gdyby przestraszony obudził się ze snu. Przetrwał. Miał wrażenie, że schodzi z wysokiej góry, że śnieżne zasy rzedną, ustępując łąkom, że wzywa go ogromna zielona dolina, przestrzeń tak niezmierną i wolną, że aż zaparło mu dech, kiedy ją kontemplował. Szedł coraz dalej i dalej. Powietrze było słodkie, a oddychanie przypominało łyk wody w gorący dzień. Wracał do domu. To nie miało sensu. Było niepojęte. Leżał w jej ramionach i czuł, jak Ellen oddycha. Czuł smak jej łez. Dochodzące z ciemności łkanie było nie do zniesienia.

– Nie umieraj, proszę – błagała.

Wtulił się policzkiem w jej nieosłonięty gorsetem, pulsujący miękkością brzuch. Nie mógł wiedzieć, że jego małżeństwo się skończy, zanim minie rok. Że przez trzynaście lat życia, które mu pozostały, dochowa wierności Ellen, ale ich związek będzie ukrywany i okrutny. Że jego pisarstwo i życie nieodwracalnie się zmienią. Że tego, co zostało zepsute, nie da się już naprawić. Że nawet ich poronione dziecko będzie tajemnicą. Że jego pragnienia staną się coraz bardziej chimeryczne, że ruch i miłość będą go przerażać coraz bardziej, aż w końcu nie zdoła nawet usiedzieć w pociągu, nie dygocząc ze strachu. Wdychał zapach Ellen, gorący, piżmowy, wilgotny.

– Nelly? – szepnął.

I w tym momencie zrozumiał, że ją kocha. Nie potrafił dłużej dyscyplinować swojego niesfornego serca. On, człowiek, który przez całe życie wierzył, że pożądanemu ulega tylko dzikus, zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie wypierać się dalej swoich pragnień – oraz tego, że czegoś mu brakuje.

– Wymknęliśmy się śmierci – powiedział Walter Talba Bruney. – Tylko na jak długo?

Był pijakiem; utył i rozchorował się wskutek nadużywania alkoholu. Dobiegał dopiero trzydziestki, wyglądał jednak na o wiele starszego. Wojna się skończyła, ale w jego duszy gorzał inny konflikt, który nie dawał mu spokoju. Pijany złościł się na Pana Boga. Trzeźwy – modlił się do Niego, by pomógł mu się upić. Kiedy znów był pijany, krzyczał, że jeżeli tylko będzie miał okazję, to weźmie dzidę i porządnie nią Boga podziurawi, że da Mu nauczki.

Mathinna właściwie nie miała żadnego zdania na temat Pana Boga... Może – jak czasami mówiła swoim kompanom, z którymi popijała rum przy ognisku – dlatego, że była protestantką. Ale Walterowi powiedziała, że nie cierpi, kiedy mówi o śmierci.

– Wszystkie czarnuchy w Wybalenna umierać – odrzekł, nie zwracając uwagi na jej słowa. – Myślmy sobie, że jak wrócić do swój kraj, to my być dobrzy i zdrowi. Ale my tu wrócić i dalej umierać. Diabeł w nas. Diabeł nas zabijać. Bóg nas zabijać. Dlaczego Bóg i diabeł chceć działać razem?

Było ich pięcioro; tego wieczoru pili rum z cukrem. Z Mathinną i Walterem siedziało jeszcze dwóch Aborygenów, a także Krzepki Tom, dawniej wielorybnik, który ostatnio żył z naprawiania sieci. Później jednak zaprzeczał, jakoby spędził tę noc ze swymi towarzyszami.

Mathinna zaczęła mówić o sukniach, jakie w tym sezonie nosi się w Londynie, i chociaż wiedziała, że powtarza tylko to, co słyszała przed laty, starała się prowadzić rozmowę tak jak lady Jane w czasie wydawanych przez nią *soirées*, czyli podnosząc jakiś temat, a potem prosząc kogoś o opinię. Kiedy jednak spróbowała spojrzeć swoim kompanom w oczy, dotarło do niej, że nie jest w Government House, tylko w melinie Iry Bye'a – w dwuizbowej chacie z przepołowionych bali i z glinianą podłogą, w North West Bay – że to nie jest żaden *soirée* i że ci ludzie na pewno nie należą do śmietanki towarzyskiej, bo są tylko śmierdzącymi, łajdackimi i głupimi czarnuchami. Żałowała, że nie ma bambusowej laseczki, jak Wdowa Munro, żeby mogła wsunąć im ją pod brodę i zmusić ich w ten sposób, aby odwzajemnili jej spojrzenie, oni, te łajdackie, niktzemne dzikusy, które na niczym się nie wyznają.

A ponieważ w czasie swojej bytności w Government House nie tylko nauczyła się patrzeć ludziom w oczy, ale i przywykła do myśli, że stanowi przykład dla gorszych od siebie, to zaś oznaczało – zarówno dla niej, jak i dla nich – że jest kimś, zaczęła mówić o nowych tańcach, modnych w tym sezonie w Londynie, chociaż i w tej sprawie jej wiedza była beznadziejnie niewystarczająca i całkowicie

już nieaktualna. Kiedy zapytała Agrestę, co o tym myśli, ta zachichotała tylko w pęknięty kubek, toteż Mathinna, która właściwie nie wiedziała nic o nowych tańcach białych, przeszła do jedyne go tematu, na który mogła się wypowiadać z niejakim autorytetem: powiedziała, że chciałaby polować na lisy, było to bowiem coś, co łączy jej aborygeńskie dziedzictwo z wychowaniem wśród białych.

– Traktowali nas haniebnie, gorzej niż starców w buszu – zauważył Walter Talba Bruney. – A tamte dzikusy nie dobre chrześcijany jak my, tylko dzikusy, co to nigdy niczego się nie uczom. – Zaczął mamrotać niewyraźnie, a potem znowu wypił i zmienił zdanie. Wydawało mu się, że Bóg ponownie jest po jego stronie, nie rozumiał jednak, dlaczego mu nie pomaga. Spojrzawszy na Mathinnę, zobaczył łzy w tych szparkach, którymi stały się ostatnio jej oczy w wielkiej, obrzmiałej twarzy; w jednej z tych łez niczym w pułapce szamotała się wesz.

Mathinna wiedziała, że Walter się ożenił i stara się być przyzwoitym człowiekiem, lecz rząd odebrał mu owce, kiedy opuszczali Flinders Island, i chciał je teraz odzyskać, podobnie jak swoją ziemię, biali zaś nie chcieli mu dać nic, dopóki nie przestanie pić. Wyczuwał jednak, że to kolejne kłamstwo z ich strony, dlatego pił coraz więcej.

– My wiedzieć, że białasy być takie jak czarnuchy, bo jak umieramy, to potem rodzimy się na nowo z białom skóróm. Ale dlaczego... – Zagubił się na chwilę gdzieś między Panem Bogiem, Jezusem, dzikusami, cywilizacją, nieuchronną śmiercią ich wszystkich i dziwną, straszną, niemożliwą pewnością, że odrodzą się jako istoty równie bezmyślne co biali. – Dlaczego? – powtórzył. – Dlaczego?

– Ja nie dzikuska ani niewolnica – powiedziała Mathinna. – Brzydzom mnie tamte łajdackie, leniwe czarnuchy. Ja wyjść za mąż za jakiegoś białasa, patrzaj się tylko, a zobaczysz, ja zostać wielka dama.

– To czemu pijesz z nami, jak niby jesteś białom damom? – spytał Walter Talba Bruney, najwyraźniej z przestraczem wyrwany z zadumy i zmuszony do powrotu do rozmowy. – Powinnaś raczej pić z nimi.

Piła jednak z Walterem, bo nie licząc jeszcze kilku amatorów niebieskiego ginu, nikt inny pić z nią nie chciał. Chociaż bardzo działali sobie na nerwy, Aborygeni dzielili ze sobą coś tak oczywistego, że czasami tego nie zauważali, szukając w wyszczerbionych, podnoszonych i opuszczanych kubkach, w zardzewiałych blaszanych garnuszkach i w zespoleniu starego świata z nowym jakiejś odpowiedzi na pytanie, kim są i kim jeszcze mogliby się stać.

Z kimkolwiek piła, piła coraz więcej. I właśnie dlatego – kiedy Walter szedł z nią tą ciemną drogą z knajpy Iry Bye'a przez las, gdzie światło księżycy ginęło w czerni kopuły wielkich drzew – wpadła w gniew. Nie dlatego że sprawił jej ból, kiedy w nią wszedł, ani nie dlatego że wymawiał się od zapłaty, twierdząc, że nie jest dość mokra i chętna i że straciła urodę, i nie dlatego że wygadywał bzdury,

utrzymując, że to ona powinna mu zapłacić za przyjemność. Rozzłościła się po prostu dlatego, że wbrew obietnicy nie chciał jej dać pół butelki rumu za tę usługę.

I dlatego się z nim pokłóciła. Dlatego go opluła, gdy zaczął na nią wrzeszczeć. Dlatego oddała mu, kiedy ją uderzył. Jednak gdy wcisnął jej głowę do kałuży, krzyząc, żeby w takim razie napiła się z niej, nie mogła zrobić już nic, choć bardzo się starała.

Otaczały ją nie wiadomo jak bardzo stare drzewa. Jeśli przyłożyło się twarz do ich napiętej, omszałej kory, słyszało się wszystko. To było nie do pojęcia; wymykało się słowom i przemawiało w snach. Mathinna leciała wśród wysokich traw, a jej ciało nie było już torturą, lecz radością. Z miękkich niteczek cienkich źdźbeł na jej nogi spływały delikatnie krople rosy. Pod bosymi stopami miała ziemię, mokrą i błotnistą w zimie, suchą i piaszczystą latem.

Głowę udało się jej podnieść tylko raz. Walter Talba Bruney zsunął jej z włosów na szyję brudną czerwoną chustkę i skręcił wytłuszczoną pętlę w garotę, z której dziewczyna już nie była w stanie się uwolnić. Rozciągająca się przed nią droga zadrzała. Czas i świat nie były nieskończone, a wszystko ma swój koniec w ziemi i błocie. Ujrzała nareszcie twarz ojca. Pociągnęła, z nieco zakrzywionym nosem i o dobrotliwych ustach – twarz śmierci, co zaczęła rozumieć z rosnącym przerażeniem, kiedy poczuła, że coś wciąga ją z powrotem w mokrą pustkę.

Walter wracał przez resztki nocy do świata światła, do roześmianych dzieci, do spokojnie pasących się na trawie koni, do ludzi, którzy mieli swoje życie i coś do zrobienia. O brzasku minął poganiacza wołu, odpoczywającego wraz ze swoim zwierzęciem, a kiedy był już blisko domu, zobaczył coś, co przypomniało mu o ukochanej Biblii i przywołało uśmiech na jego usta: zabłąkane jagniątko.

Garney Walch przez dłuższą chwilę stał przed swoim wołem, grzejąc dłonie w parującym tchnieniu, bijącym z otoczonych pierścieniami wilgoci nozdrzy zwierzęcia. Potem Garney, wół i sanie ruszyli. Ich droga wiodła wzdłuż skarpy wychodzącej na kanał d'Entrecasteaux i jego łodzie rybackie, po czym zeszli w dolinę, gdzie Garney miał pomóc pewnemu farmerowi i jego robotnikowi skazańcowi zbudować dom.

Zaczęli rano od wybrania uschłych drzew o prostych i odpowiednio długich pniach, z których można było pozyskać dobre pale, i wzięli się do pracy. Kiedy ścięli drzewa i odarli je z kory oraz gałęzi, wół Garneya zaciągnął drzewa na niewielką łąkę, lśniąca od tak wielu mokrych pajęczyn, że wyglądała jak pokryta welonem z najcieńszej tkaniny na świecie. Siwy szron rozpuszczał się na smukłej trawie, tworząc połyskliwą rosę, a wszystko dookoła, w tym ludzie i wół, parowało w zimowym słońcu, kiedy pracowali, i wszystko wydawało się na swoim miejscu.

Milę dalej stary skazaniec wgramolił się na małą skalistą rafę, przeklinając i drżąc na całym ciele, ale uradowany, że wybrał się na łowy. Wyciągnął z jutowego worka psią łapę i włożył ją do wiklinowego koszyka na homary,

a potem – starannie wybierając miejsce pod skarpą, gdzie rosło dużo wodorostów – opuścił koszyk na długiej konopnej linie. Tak więc słońce wstało, ptaki śpiewały, ludzie pracowali, statki płynęły, a życie toczyło się dalej.

Przez eukaliptusy przedarły się promienie oślepiającego, rubinowo-złotego i ciepłego słońca, które zastały trzech ludzi: farmera martwiącego się o swoją żonę w ciąży z ich czwartym dzieckiem, skazańca mającego nadzieję, że znajdzie sobie małżonkę, kiedy zostanie zwolniony, i Garneya Walcha, od dwudziestu lat niczym kamień w brzuchu noszącego rozpacz po zmarłej na tyfus córce. Zajęli się robotą wokół ściętych drzew prawie w kompletnym milczeniu, przetaczając je, klinując, mierząc i piłując, aż wreszcie zmieniły się w dziewięć dobrych pali.

Ułożyli je na saniach, po trzy na każdą kolejną wyprawę na plac budowy, a Garney za każdym razem klepał wołu po mordzie i zdawał się wymieniać z nim dowcipy. Obchodził się z wielkim zwierzęciem zaskakująco łagodnie, jak gdyby obaj po równi ciągnęli brzemień kłód.

Słońce biegło niskim zimowym kursem, mężczyźni z wolna pozbywali się kurtek i samodzielowych koszul, aż wreszcie zaczęli pracować tylko w spodniach i brudnych podkoszulkach, a kiedy słońce sięgnęło zenitu i wydało im się, że nie są już brudni i cuchnący, tylko świeży, i dobrze się poczuli, zrobili przerwę w pracy. Skazaniec rozpałił ogień z oleistych kolczastych liści żółtaków, a Garney Walch wyciągnął z sakwy kilka szyj młodziutkich jagniąt. Farmer miał chleb i sól, więc przesunęli dwie kłody, żeby na nich usiąść przy ognisku, po czym ze smakiem zjedli zimną jagnięcinę i chleb, które popili czarną herbatą osłodzoną dżemem śliwkowym farmera i radośnie rozmawiali o tym, jak dobrze im się żyje.

Po lunchu wrócili do roboty. Gdy wszystkie pale stanęły już w przygotowanych wcześniej dołach, które zostały następnie zasypane ziemią i ubite, ogarnęła ich radość. Okorowane pale miały kolor obgryzionych kości, matowo białe z wyraźnymi smugami barwy ochry, a ich dziwne ustawienie, wskazujące, że są zarówno częścią świata, jak i czymś do niego nienależącym, sprawiło mężczyznom wielką satysfakcję i dlatego nie mieli ochoty na słowa.

Chcąc zdążyć do domu, by uniknąć największych nocnych chłódów, Garney Walch odjechał godzinę przed zmrokiem. Zarówno on, jak i wół byli już zmęczeni, wybrał więc dłuższą drogę przez las, by nie jechać rankiem przez góry. Ćwierć mili za prawym rozwidleniem błotnistej drogi, prowadzącej do meliny Iry Bye'a, wół stanął i nie chciał iść dalej.

Porzucając wspomnienia oraz sanie, za którymi szedł, jak gdyby to on był głupim, posłusznym zwierzęciem, Walch pomyślał najpierw, jak małe są te boscie stopy o rozcapierzonych palcach, sterczące nad połamanymi liśćmi paproci.

Obszedł sanie i wołu, żeby podejść bliżej. Na plecach zamordowanej, okrytych porozrywany mi łachami, roilo się od wszy tak licznych, że zwłoki przypominały raczej gniazdo insektów niż istotę ludzką. W obnażonym ciele ziało

kilka krwawych otworów, tam gdzie posilały się leśne kruki, których nieczytelne ślady widniały w błocie wokoło. Garney wcisnął nosek buta pod ramię dziewczyny, wytoczył nogą jej ciało z brudnej kałuży i natychmiast zrobiło mu się wstyd, że w taki sposób potraktował człowieka.

Stał w milczeniu. Mgła wypełniała las i wszystko ginęło w miękkim, białym całunie. Krople wody spływały z białych, lśniących pni, nieruchomych niczym słupy soli, wznosiły się, opadały i rozsypywały. Kiedy jego siwe włosy zmokły, a woda zaczęła mu się zbierać na twarzy jak rosa, odniósł wrażenie, że pogrąża się w coraz głębszym śnie.

Bo Garney ją znał. Zaledwie kilka tygodni temu widział, jak puściła się w pijacki taniec na środku ulicy w Hobart, i to jeszcze przed południem – po części była to jakby aborygeńska giga, po części zaś taniec prawdziwej elegantki. Wyglądała trochę jak hiena, a trochę jak księżniczka, ekscentryczna, zagubiona, niby na swoim, a zarazem nie na swoim miejscu. Kilku gapiów zaczęło z niej szydzić, niektórzy rzucali w Mathinnę resztkami jedzenia, a ulicznicy puścili się za nią w pogoń, kiedy zaczęła uciekać niczym ptak z połamanymi skrzydłami.

Nie było trudno odgadnąć, jak zginęła – skręcony łachman, siniaki na szyi, podarta sukienka – Garney wątpił jednak, żeby ktoś miał z tego powodu kłopoty, bo w takiej sprawie nawet by nie wszczęto dochodzenia.

Jego wzrok powędrował w górę, w ślad za spojrzeniem otwartych oczu dziewczyny. Gdzie indziej życie biegło swoim trybem, niepomne tragedii czy radości. Za następnym grzbietem górskim w prymitywnym, samotnym szałasie z gałęzi, jęczała w połogu kobieta, a niżej na skałach przeklinał jakiś rybak, który wyciągnął z wody wiklinowy koszyk i przekonał się, że pozostały w nim tylko odnóża i skorupy homarów pożartych przez złodziejską ośmiornicę.

– Tak to już jest – powiedział cicho Garney Walch, zamykając oczy.

Nie pozostało po niej nic, tylko robota dla niego. Podniósł mokre zwłoki swoimi bardzo dużymi, ale zarazem delikatnymi rękami, i położył Mathinnę na saniach, usunąwszy z nich najpierw resztki kory. Głowa dziewczyny spoczęła pomiędzy jego toporkiem i piłą.

Miała siedem lat, kiedy po raz pierwszy wziął ją na ręce, posadził zamasyście na wozie i uszczypnął w palec u nogi. Przypominała mu wtedy zmarłą córkę. Była piękna.

Usiłował zliczyć minione lata. Świat ciemniał, długa noc dopiero się zaczynała, z drzewa spadła gałąź, sowa pożerała lamparcika, a pod niebo wzbił się czarny łabędź. Dokonawszy obliczeń, Garney spuścił głowę. Niedługo skończyłaby siedemnaście lat.

– Tak to już jest – mruknął – i tak będzie.

Grzbietem szorstkiej niczym kora dłoni przetarł martwe, szkliste oko, pogłaskał wołu po pysku i poprosił zwierzę, żeby pomogło mu zawieźć to biedne

dziecko do domu. Gdy wół pociągnął ładunek, zwieszony z tyłu sań brudne stopy dziewczyny zaczęły podskakiwać, a potem ich jasne podeszwy zniknęły w najdłuższej nocy.

Przypisy

[1] F. Dostojewski, *Notatki z podziemia*, w: tegoż, *Notatki z podziemia. Gracz*, tłum. G. Karski i W. Broniewski, Londyn 1992 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] Biblia Tysiąclecia.

[3] Oryg. *undisciplined heart*; określenie to, które u Dickensa pojawia się po raz pierwszy w 45. rozdziale *Davida Copperfielda*, w pierwszym polskim przekładzie Wilhelminy Kościałkowskiej z 1889 roku oddane zostało jako „niedoświadczone serce”.

[4] W. Szekspir, *Henryk IV*, cz. I, akt I, tłum. L. Ulrich.

[5] Niedokładny cytat z *Book of St. Albans* (1486), kompilacyjnej księgi zawierającej teksty poświęcone różnym zagadnieniom, które interesowały ówczesną szlachtę, takim jak np. sokolnictwo, łowiectwo czy heraldyka.

